cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 12 980 indeks 211060 #166 02/2020

LAUREACI NAGRODY ŚW. GRZEGORZA I WIELKIEGO

śp. Kornel Morawiecki | **Edward Mosberg**

NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

Rozmowa z **Antonim Macierewiczem** o ideologicznych korzeniach formacji Janusza Korwin-Mikkego, Grzegorza Brauna i Krzysztofa Bosaka

KONFEDERACJA

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 3197b25434

NASI LAUREACI ▼ 4–13

FOT. MACIEJ LUCZNIEWSKI/GP
FOT. MARCIN OBARA/PAP

śp. Kornel Morawiecki oraz Edward Mosberg / 4-13

WYWIAD NUMERU ▼ 14–20

FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GP

W Polsce nie ma czegoś takiego jak prorosyjska prawica / 14

IDEE ▼ 22–28

FOT. ADOBE STOCK

Seksting. Niebezpieczna zabawa / 22

HISTORIA ▼ 30–61

FOT. ARCH.

Jak hetman w ornacie zatrzymał bolszewicką szarańczę / 30

KULTURA ▼ 64–73

FOT. WIKIPEDIA

Spójrz w oczy świętej, znajdziesz Filide / 64

ŚWIAT ▼ 76–97

FOT. STEFAN CZERNIECKI

Wioseczka, którą upatrzył sobie Ojciec / 76

Spis treści

NASZ LAUREAT

Sławomir Wieczorek
A jeszcze wczoraj było wesele /4

Ryszard Czarnecki
Mój artykuł o Kornelu – sprzed... 32 lat /9

Piotr Dmitrowicz
Edward Mosberg – bezkompromisowy obrońca prawdy historycznej /10

WYWIAD NUMERU

Z ministrem Antonim Macierewiczem rozmawia Piotr Lisiewicz
W Polsce nie ma czegoś takiego jak prorosyjska prawica /14

IDEE

Małgorzata Matuszak
Seksting. Niebezpieczna zabawa /22

Wespazjan Wielohorski
Welcome to Poland /26

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jak hetman w ornacie zatrzymał bolszewicką szarańczę /30

Dariusz Jarosiński
Herlinga-Grudzińskiego zmagania z komunizmem /36

Magdalena Złotnicka
Złe wybory boksera-literata /42

Agnieszka Kowalczyk
Chopin. Artysta niepojęty /48

Ewa Polak-Pałkiewicz
Arystokrata w sandałach /54

Anatolij Golicyn
Nowe kłamstwa w miejsce starych /60

KULTURA 64–73

Olga Doleśniak-Harczuk
Spójrz w oczy świętej, znajdziesz Filide /64

Krzysztof Karnkowski
Zombie z Duszą /72

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
Wioseczka, którą upatrzył sobie Ojciec /76

Hanna Shen
USA–Chiny: chwilowy rozejm /82

Antoni Rybczyński
Napoleon, sąsiad Raskolnikowa. Była zbrodnia, będzie kara? /86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /92

oprac. Antoni Rybczyński
Putin i spisek złoczyńców. Rozmyślania byłego oficera KGB /94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Solidarność Walcząca i Walczący o prawdę – Laureaci Nagrody Grzegorza I Wielkiego 2019
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... życzliwość
KATECHIZM INTELIGENTA 29

Krzysztof Budka
Skutki leczenia łupieżu gilotyną
SŁOWEM O GOSPODARCE 62

Marek Kalinowski
Syndrom drugiej płyty
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 70

Ryszard Czarnecki
Niemcy: atakują nas – nie rozliczyli siebie...
CZARNECKO TO WIDZĘ 74

Olga Doleśniak-Harczuk
Berlin lat dwudziestych
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Marcin Wolski
Park dinozaurów
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Państwa na rozstajach
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 29 58
prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 3197b25434

Katarzyna Gójska

Solidarność Walcząca i Walczący o prawdę – Laureaci Nagrody Grzegorza I Wielkiego 2019

Nagrody im. Grzegorza I Wielkiego za 2019 rok zostały przyznane. Postanowiliśmy docenić zaangażowanie w walkę o prawdę w życiu publicznym dwóch osób.

Nasz pierwszy Laureat – śp. marszałek senior Kornel Morawiecki – zdobył „Grzegorza" dziesiątkami lat walki i pracy o wolną, suwerenną i solidarną Rzeczpospolitą. Jego aktywność w Sejmie minionej kadencji stała się wręcz symbolem uczciwej debaty parlamentarnej, w której na pierwszym planie są prawda i przyzwoitość, głębokie poczucie służby publicznej i odpowiedzialności przed społeczeństwem. Wystąpienie inaugurujące ówczesną kadencję przeszło już do najlepszej historii polskiego parlamentaryzmu, a wystąpienia podczas licznych debat o potrzebie reformy wymiaru sprawiedliwości wyrażały najbardziej oczywiste pragnienia zdecydowanej większości Polaków. Świętej pamięci Kornel Morawiecki mówił w ich imieniu o tym, iż prawo jest dla ludzi, że ma dać im poczucie sprawiedliwości, uczciwości i zapewnić bezpieczeństwo.

W 2019 roku postanowiliśmy wyróżnić także działania Edwarda Mosberga, który od kilku lat jest dla wielu Polaków symbolem walki o prawdę historyczną, niekiedy wręcz głosem jakże wymownie stającym do walki z manipulacją i kłamstwem o historii II wojny światowej. Misją Pana Edwarda Mosberga jest dawanie świadectwa o tym, co wydarzyło się na ziemiach okupowanej przez najeźdźców Polski, jakie były to czasy, kto był w nich katem, a kto ofiarą. Nasz Laureat powtarza, iż musi mówić, jak wówczas było. I czyni to z niewzruszoną konsekwencją, nie bacząc na głosy krytyki. Przyglądając się jego nadzwyczajnej aktywności, niejeden zadaje sobie pytanie: skąd ten człowiek – jakże doświadczony przez los – czerpie siłę? Odpowiedzi udziela sam Edward Mosberg – z potrzeby głoszenia prawdy, nie tylko w swoim imieniu, lecz także w imieniu swej Żony, której na to sił już nie starcza. Sylwetki obu naszych wyjątkowych Laureatów znajdą Państwo na stronach tego numeru miesięcznika.

Starania o reformę wymiaru sprawiedliwości zdają się wkraczać w decydującą fazę. Walcząca z większością parlamentarną część środowiska sędziowskiego najwyraźniej postanowiła wykorzystać fakt nałożenia się wyborów pierwszego prezesa Sądu Najwyższego na prezydencką kampanię wyborczą i prze do wywołania w polskim sądownictwie chaosu, a w społeczeństwie poczucia niepewności i obaw. W tym szaleństwie przekroczyła już wszystkie granice, jakie narzuca zarówno polskie prawo, jak i poczucie uczciwości. Trudno nawet odgadnąć, kto w tej walce jest siłą napędzającą działania – czy politycy totalnej opozycji instruują sędziów, czy też to właśnie sędziowie kierują polityką partii opozycyjnych. Jedno jest jednak pewne. Jeśli którykolwiek z ośrodków dzisiejszej władzy ugnie się pod naporem buntu części sędziów wobec państwa polskiego, wymiar sprawiedliwości jeszcze bardziej się ukastowi. Dziś walka o uzdrowienie sądownictwa jest również walką o demokrację. ■

fot. Igor Smirnow/Gazeta Polska

eprasa.pl 3197b25434

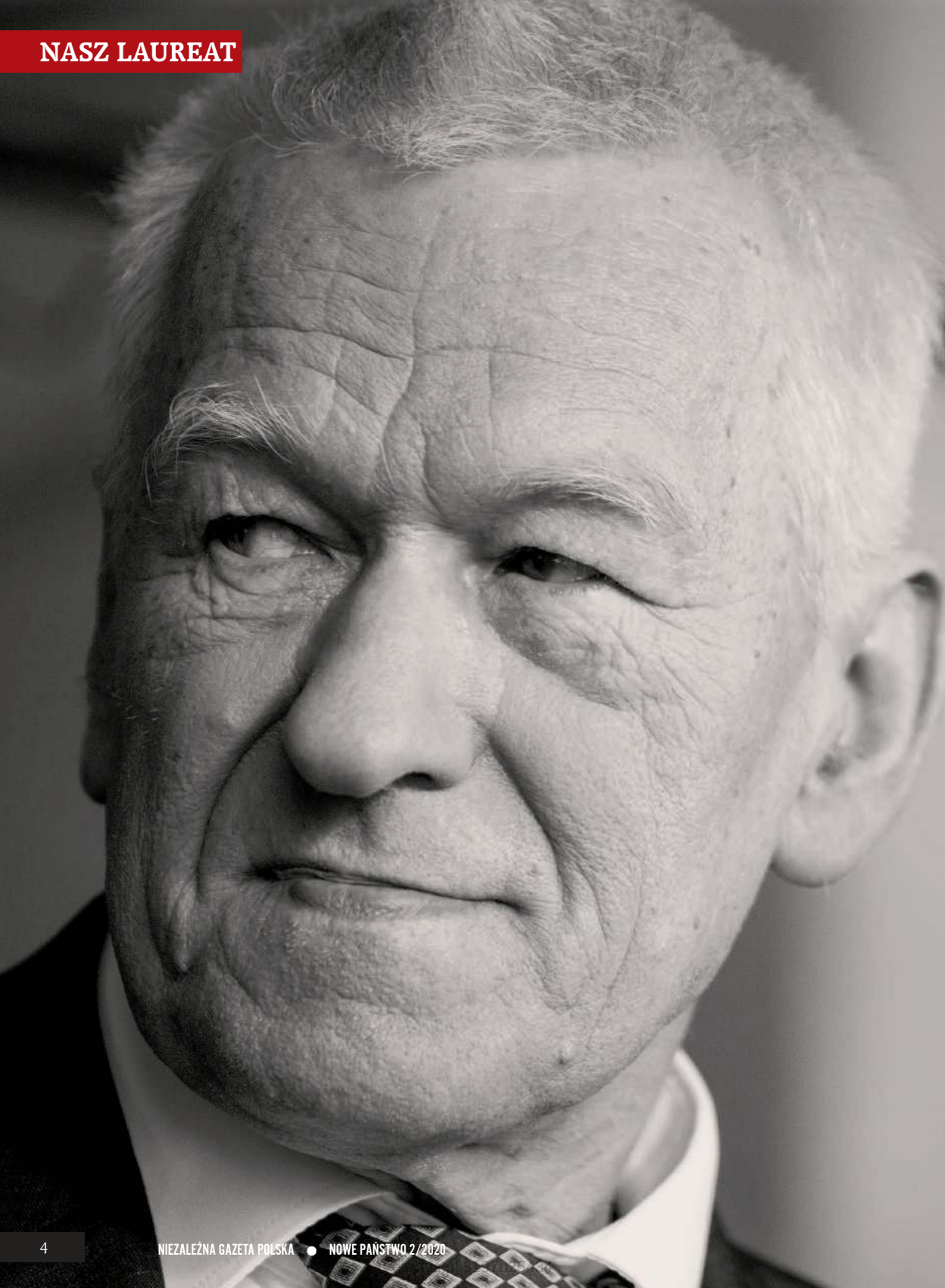

Sławomir Wieczorek

A JESZCZE WCZORAJ BYŁO WESELE

Podczas niemieckiej okupacji trzyletni Kornel lato spędzał w Rakowie na Mazowszu. Był to teren działania oddziałów leśnych, którym mieszkańcy wioski ochoczo pomagali. Pewnego dnia w domu krewnych pojawili się Niemcy. Jeden z oficerów skierował do Kornela pytanie: „Czy byli tutaj Jędrusie?". Ku przerażeniu obecnych malec odpowiedział twierdząco. „Jędrusiami" bowiem nazywano tam partyzantów. Na szczęście udało się Niemców przekonać, że dziecko nie miało na myśli żołnierzy podziemia, lecz rówieśników, z których jeden miał na imię Jędruś.

fot. Maciej Luczniewski/Gazeta Polska

Fotografia z Kornelem Morawieckim zrobiona przed Centrum Historii Zajezdnia we Wrocławiu po Wielkiej Paradzie Motocyklowej jest od początku moim zdjęciem profilowym na Facebooku i zmieniać go nigdy nie zamierzam.

Przysięga

Profesor Andrzej Kisielewicz – najwybitniejszy polski matematyk specjalizujący się w algebrze, wybitny fizyk dr Wojciech Myślecki, Jerzy Pietraszko – jedyny naukowiec na świecie, który podważył teorię jedynki trygonometrycznej, Ludwika Ogorzelec – światowej sławy rzeźbiarka, Władimir Bukowski i Nikołaj Iwanow – sowieccy dysydenci i rosyjscy pisarze, Alfred Znamierowski – najwybitniejszy współczesny weksylolog i heraldyk, przyjaciel prezydenta Ronalda Reagana. Niezłomni ludzie „Solidarności Walczącej".

„Wobec Boga i Ojczyzny przysięgam walczyć o wolną i niepodległą Rzeczpospolitą Solidarną, poświęcać swe siły, czas – a jeśli zajdzie potrzeba – swe życie dla zbudowania takiej Polski. Przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami. Przysięgam rozwijać idee naszego Ruchu, nie zdradzić go i sumiennie spełniać powierzone mi w nim zadania".

Podziemnej przysięgi nigdy nie składałem. W gorzowskich strukturach panował zwyczaj, że członkiem „Solidarności Walczącej" zostaje też ten, kto się nim czuje. Organizacja wzorowana na Armii Krajowej odpokutowywała grzechy dzieciństwa swego założyciela. Podczas okupacji letnie miesiące spędzał w Rakowie na Mazowszu. Był to teren działania oddziałów leśnych, którym mieszkańcy wioski ochoczo pomagali. Pewnego dnia w domu krewnych pojawili się Niemcy. Jeden z oficerów skierował do małego Kornela pytanie: „Czy byli tutaj Jędrusie?". Ku przerażeniu obecnych malec odpowiedział twierdząco. „Jędrusiami" bowiem nazywano tam partyzantów. Na szczęście udało się Niemców przekonać, że mające trzy lata dziecko nie miało na myśli żołnierzy podziemia, lecz rówieśników, z których jeden miał na imię Jędruś.

Wujek Zdzisiek

Kornela Morawieckiego poznałem osobiście jako gorzowski licealista w czerwcu 1991 roku. Przyjechał na spotkanie z mieszkańcami do Miejskiego Centrum Kultury „Chemik". Jeszcze rok wcześniej zmuszony był... ukrywać się. Za najzacieklej tropionym przez bezpiekę opozycjonistą wydany w stanie wojennym list gończy cofnięto dopiero w lipcu 1990 roku. Było ponad sto mieszkań, w których się ukrywał. Także w mojej okolicy, w Lubuskiem. Bezpiecznego schronienia udzielał mu w swym domu w Popowie rolnik Alojzy Weber.

eprasa.pl 8997b25434

Jednym z takich miejsc było też wrocławskie mieszkanie rodziców Mateusza Jerzmańskiego. Dla późniejszego reżysera był to... „wujek Zdzisiek". Zakonspirowanie było tak silne, że filmowiec dopiero jesienią 1991 roku, oglądając w telewizji studio wyborcze Partii Wolności, dowiedział się, kim tak naprawdę był „krewny". Sąsiadami zaangażowanymi w konspirację byli wywiadowca i karateka – gotowi na wszystko.

Ja to studio wyborcze doskonale zapamiętałem. Zwrócił się do telewidzów: „Kornel Morawiecki. Po raz pierwszy na antenie Telewizji Polskiej".

„Raport z oblężonego miasta"

W czerwcu 1992 roku kolportowałem „listę parlamentarzystów oraz najwyższych urzędników państwowych, współpracowników UB i SB w latach 1945–1990". Podpis: „Oświadczam, że zamieszczony tu spis współpracowników UB i SB otrzymałem od osób godnych społecznego zaufania. Warszawa 09.06.1992. Kornel Morawiecki".

Dłuższą osobistą rozmowę przeprowadziłem 4 czerwca 1993 roku. Znowu wozy opancerzone, armatki wodne, broń gładkolufowa, gaz łzawiący. Marsz na Belweder w pierwszą rocznicę obalenia rządu Jana Olszewskiego. Trzymając się za ręce, na czele pochodu szli: Adam Glapiński, Jarosław Kaczyński, Jan Parys, Edmund Krasowski, Kornel Morawiecki, Wojciech Ziembiński, Seweryn Jaworski.

Odprawa w biurze Partii Wolności na ul. Smolnej w Warszawie. Kornel Morawiecki golący się maszynką elektryczną. Profesor Romuald Kukołowicz, doradca Prymasa Tysiąclecia, oznajmił: „Ucieknę przed ZOMO". Mnie ucieczka się nie udała. Dopadli mnie na placu na Rozdrożu. Ale wtedy były już Jednostki Prewencji Policji. Co z tego. Z sadystyczną satysfakcją, wyraźnie pobudzeni środkami psychotropowymi, wlekli mnie bezwolnie po trawniku, by dokonać linczu. I wtedy zdarzył się cud. Na trasie pojawiły się starsze panie z parasolkami i torebkami, które stanęły w mojej obronie. Gdy kobiety ich niemiłosiernie okładały, działaczowi NZS, który na bezpieczną odległość podbiegł i o to zapytał, zdążyłem wykrzyknąć, skąd jestem i jak się nazywam. Bitwę przerwał wbiegający w środek zmagań starszy pan z okrzykiem: „Dajcie spokój chłopakowi! Przecież tylko robi zdjęcia". Na szyi miałem przewieszony poczciwy rosyjski aparat fotograficzny Zenit. Wystraszony wracałem na Smolną. I wtedy Kornel wysiadł z miejskiego autobusu oblegany przez tłum. Dalszą część trasy pokonywaliśmy już tylko we dwójkę.

Mezalians

W kwietniu 1994 roku, jako wyróżniający się słuchacz studium turystycznego, pojechałem na wycieczkę do Wrocławia. Postanowiłem choć na chwilę spotkać się z Kornelem i zabrać do Gorzowa Wielkopolskiego patriotyczne wydawnictwa. Było to jeszcze przed epoką wszechobecnego dziś Internetu i telefonii komórkowej. W restauracji, w której zatrzymaliśmy się na obiad, poprosiłem o dostęp do telefonu stacjonarnego. Zadzwoniłem na domowy telefon Kornela. Umówiliśmy się pod Panoramą Racławicką. Czekał już tam na mnie ze stosem czasopism. Odłączyłem się od grupy. Myślałem, że poświęci mi chwilę, a rozmawialiśmy tak długo, aż prymusi nie wyszli ze zwiedzanego obiektu. Byłem zdziwiony jego skromnym ubiorem. Zszokowało mnie to, że legenda podziemia, wybitny naukowiec komuś takiemu jak ja zechciał poświęcić tyle czasu. Z nieśmiałością podjąłem polemikę. „Panie Kornelu! Pańskie poglądy gospodarcze trącą etatyzmem, wręcz ocierają się o socjalizm" – powiedziałem. Odpowiedział: „Ale czy jak ktoś zarabia tysiąc razy więcej niż ja, czy to oznacza, że jest ode mnie tysiąc razy zdolniejszy?". Powalił mnie tym argumentem, choć po latach paradoksalnie sam padł ofiarą własnych słów. Jego syn oraz Zbigniew Jagiełło, kurier „Solidarności Walczącej", który u schyłku PRL-u przewoził przez zieloną granicę wyrzuconego z kraju Kornela, za duże pensje zostali prezesami banków.

Oszołom

W sierpniu 1995 roku zaprosiłem go na zorganizowany przez „Gazetę Polską" II Zlot Młodzieży Prawicowej w Sopocie. Relację zdałem we wrześniowym inauguracyjnym numerze Młodzieżowego Pisma poza Cenzurą „OSZOŁOM". W logo mieliśmy kotwicę „Solidarności Walczącej" i dewizę: Wolni i Solidarni. Oto fragmenty artykułu: „Z zapartym tchem oglądamy kolejne sekwencje filmu Jacka Kurskiego pt. »Nocna zmiana«. Wypowiedzi kolejnych agentów SB pokazywanych na ekranie w czasie obalania rządu Jana Olszewskiego recenzowane są przez zlotowiczów salwami śmiechu. Jednak obecny również na tej emisji, przybyły z Wrocławia Kornel Morawiecki powie na drugi dzień młodym ludziom: »Sceny z 'Nocnej zmiany' były dla mnie w większości bolesne«".

„Żyjemy w niesamowicie ważnych, ciekawych czasach, takiego zakrętu ustrojowego, cywilizacyjnego. Jeśli chodzi o wiek XX, to nie ma on żadnych precedensów, żadnych odnoszeń do przeszłości" – zwraca się do młodzieży Kornel Morawiecki, który zamierza ubiegać się o prezydenturę. „Politycy »naszej strony« wykazali się brakiem wyobraźni, woli i konsekwencji. Oni się bali, aby nie posunąć się tak daleko, żeby nie urazić układów sił dawnego reżimu". Nawiązując do „Nocnej zmiany", mówi: „Gdyby Olszewski podał wówczas w telewizji te nazwiska, Polska dziś byłaby inna".

Przyjaciele

Od tego czasu zacząłem regularnie odwiedzać go w jego wrocławskim mieszkaniu. Zostaliśmy dozgonny-

eprasa.pl 3197b25434

mi przyjaciółmi. Mecenas sztuki. Córka Marta i wnuczka Ula to pianistki, zaś syn Mateusz gitarzysta. Gdy podniosłem klapę pianina i zacząłem grać polonez „Pożegnanie Ojczyzny" Michała Kleofasa Ogińskiego, wyraźnie urzeczony wszedł do pokoju i oznajmił: „Jak ty ładnie grasz". Zaczął też składać rewizyty w mym rodzinnym domu w Różankach, jego młodsi członkowie rodziny spędzali u mnie wakacje, wspólnie dorośli z dziećmi graliśmy w podwórkową piłkę nożną.

W Sopocie, ku zaniepokojeniu wzmiankowanych złotowiczów, zniknął gdzieś na horyzoncie w morzu. Gdy po długim oczekiwaniu pojawił się na plaży, odetchnęliśmy z ulgą. Ku przerażeniu obserwujących płynęliśmy ongiś razem na odległy skrawek ziemi za Różankami, który miejscowi nazywają Jeziorem Wyspowym, a w oficjalnej nomenklaturze to Ostrowite.

Wracając z krakowskich Oleandrów z Sympozjum w Obronie Ojczystego Domu zorganizowanym przez Annę Walentynowicz zatrzymaliśmy się w Chrzanowie u mojej siostry, która podjęła nas obiadem i kawą. Z nią i szwagrem jadąc z Małopolski w Lubuskie, gdy był w potrzebie, podwieźliśmy go też z Wrocławia do Lubina.

W 2010 roku miałem zaszczyt być jego pełnomocnikiem wojewódzkim w wyborach prezydenckich. Kornel przyjechał na spotkania z mieszkańcami Gorzowa Wielkopolskiego i Krzeszyc. Specyfika regionów Polski. Gdy w dużej podhalańskiej wiosce Ząb w wyborach prezydenckich w 1995 roku padł jeden jedyny głos na Aleksandra Kwaśniewskiego, bacowie chodzili po chałupach i robili dochodzenie, który to się wychylił. Gdy w moim obwodzie, obejmującym również Różanki-Szklarnię i Zdroisko, padł osamotniony głos na Kornela Morawieckiego, cała okolica wiedziała, że to ja.

Kurier z PKS

Przez lata był redaktorem naczelnym „Gazety Obywatelskiej". 1 sierpnia 2016 roku Kornel wydał okolicznościowy numer. Chwytający za serce wstępniak. Pragnęliśmy, aby trafił do rąk uczestników gorzowskich uroczystości rocznicy Powstania Warszawskiego. Poczta Polska ani żadna firma kurierska na czas by już tego nie dostarczyły. Zdeterminowany pojechał na wrocławski dworzec PKS i poprosił kierowcę rejsowego autobusu, by przekazał przesyłkę. Później zadzwonił do mnie i prosił, żeby podziękować szoferowi. Kilkaset egzemplarzy pisma na Cmentarzu Komunalnym pod Pomnikiem ku Czci Armii Krajowej rozeszło się.

Ambasada w Berlinie, porwanie i snajper

Zostałem wyróżniony, otrzymując zaproszenie od ambasadora RP w Niemczech, prof. Andrzeja Przyłębskiego, na promocję w Ambasadzie Polskiej w Berlinie książki „Twierdza" napisanej przez urodzonego w Żaganiu redaktora Igora Janke, w niemieckim tłumaczeniu dokonanym przez dr Hannę Labrenz-Weiss „Festung". Uzyskałem wzruszający wpis: „Sławkowi, po długiej współpracy, z pozdrowieniem Kornel Morawiecki. 12.10.2018 Berlin".

Ale posiadam też wcześniejszą dedykację. „Dla Pana Sławomira i Pana MAMY z życzeniami pięknej i silnej Polski. Mateusz Morawiecki". Ten wpis od prezesa Rady Ministrów w książce „Kornel Morawiecki autobiografia. Rozmawia Artur Adamski" uzyskałem, gdy byłem w Muzeum Powstania Warszawskiego. Tylko w tak pozytywnie zakręconej dla Ojczyzny organizacji mogło się zdarzyć, że zamiast bohatera z wpisem spieszy syn.

Cytat z tylnej okładki: „O kosztach walki: Ciągła inwigilacja, śledzenie, zatrzymania, przesłuchania, rewizje. SB często robiła je podczas nieobecności domowników. Bywało, że np. któreś z moich dzieci wracało do domu, a drzwi nie dawało się otworzyć, bo ktoś włożył w zamek klucz od środka. W czasie takich przeszukań straciliśmy m.in. wszystkie fotografie rodziny czy znajomych. Najbardziej ucierpiał mój syn Mateusz, przesłuchiwany, szantażowany, zastraszany. Nie miał czternastu lat, kiedy się to dla niego zaczęło. Wspominał, że najbardziej się bał, jak grozili, że zgwałcą jego siostrę... Mówił, że było to dla niego gorsze od tego dnia, kiedy go porwali i wywieźli do lasu".

Po bestialskim porwaniu, gdy był okrutnie torturowany i kazano mu kopać grób, a dzielny chłopiec nie wydał ukrywającego się ojca, „Solidarności Walczącej" w sukurs przyszedł snajper. Gdyby przyszłego premiera wolnej Polski wówczas zamordowano, ze strychu wrocławskiej kamienicy miał zostać zastrzelony pilnie obserwowany szef dolnośląskiej komunistycznej bezpieki.

Kornel zaś niezwykle dumny był z napisanych wiecznym piórem złożonych mu w 1954 roku przez dziadków Morawieckich jakże proroczych imieninowych życzeń, by został „Bohaterem w Ojczyźnie".

Chwile grozy

14 września 2018 roku w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu trwała Konferencja Popularnonaukowa IPN. W auli przemawiał premier. Oczekiwaliśmy na przyjazd jego ojca. Przed obiektem, po drugiej stronie ulicy, zgromadził się KOD. Przez uchylone okna i drzwi słychać było głośne obelgi. Wyszedłem na zewnątrz. Kornel, jak to Kornel, jak zwykle przyjechał spóźniony. Żartowaliśmy, że ta niewątpliwa przywara przez wiele lat pozwalała mu... nie dać złapać się esbekom. Wysiadł z sejmowej limuzyny i, ku naszemu przerażeniu, zamiast wejść do budynku, wkroczył w sam środek rozwścieczonej grupy. Funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa i Policji postawieni w stan najwyższej gotowości. My, skromni działacze, z niepokojem, również w bezruchu, obserwowaliśmy rozwój wyda-

eprasa.pl 3197b25434

rzeń. A Kornel... zwyczajnie uspokoił wzburzonych demonstrantów.

Opłatek

Co roku jeździłem do Centrum Historii Zajezdnia we Wrocławiu na spotkania wigilijne środowisk „Solidarności Walczącej". Nie zapomnę, jak „BOR-owiki" szczelnie obstawiały premiera, a Kornel uśmiechnięty szczerze oznajmił: „Proszę, pozwólcie mi dojść do syna".

W grudniu ubiegłego roku ja, Kazimierz Potyrała, represjonowany w stanie wojennym, i Piotr Żebracki, wychowany już w wolnej Polsce, obaj z Jasła, oraz aktor Michał Kuźma po opłatku udaliśmy się na ul. Barlickiego, gdzie mieści się biuro poselskie Kornela Morawieckiego, by kontynuować spotkanie. Gdy po północy dowiedział się, iż jeszcze nie wyjechaliśmy, poprosił Zbigniewa Bieńka, by ten go zawiózł. Schorowany (był już po zawale serca i miał założone by-passy) z ojcowską troską odwiedził nas na biesiadzie.

Wnukowie „Klamry"

12 sierpnia odbył się pogrzeb Romualda Lazarowicza. Kornel, walczący już wtedy dzielnie z nowotworem, przyjechał na wózku inwalidzkim, ale przy ambonie wygłaszając w świątyni płomienną mowę pożegnalną, znalazł siły, by wstać. Przy grobie ofiarnego dziennikarza i wydawcy znów był na wózku inwalidzkim. Pierwszy też raz widziałem go w okularach. Wzruszające nagranie zdecydowałem się udostępnić dopiero po śmierci. Wraz z premierem i jego ojcem uczestniczyłem w stypie w restauracji „Konspira", której wystrój oddaje klimat walki podziemnej. Zmarły był wnukiem legendarnego „Klamry" – Adama Lazarowicza – zastępcy prezesa IV Zarządu WiN, straconego przez komunistów po brutalnym śledztwie 1 marca 1951 roku w więzieniu mokotowskim. „Klamra" jest też dziadkiem Stanisława Iwana, wojewody lubuskiego, w którego gabinecie pracowałem.

„Augustowskie noce"

2019 rok. Usłyszawszy, że legendarny założyciel „Solidarności Walczącej" ma kandydować na północno-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, byłem przerażony. Ale okręg wyborczy nr 59 do Senatu jest absolutnie wybieralny dla antykomunistów, senatorem została tu Anna Maria Anders.

Nie wyobrażałem sobie przyszłego Senatu bez takiego marszałka seniora. Chciałem wspólnie wypełnić testament Polski Walczącej. Zaapelowałem, by we właściwym urzędzie pobrać kartę do głosowania upoważniającą do oddania głosu w dowolnym miejscu w Polsce, i sam tak uczyniłem, oraz w niedzielę wyborczą udać się na Podlasie.

Już wtedy o godzinie 20 środowiska „Solidarności Walczącej" w całym kraju organizowały krucjatę modlitewną w intencji schorowanego Kornela Morawieckiego. Najmłodszy doktor fizyki w historii polskiej nauki rozbrajająco oznajmiał, iż zawsze staje przed tajemnicą niepojętego Boga.

„A jeszcze wczoraj było wesele"

Piotr Żebracki zaprosił go na swoje wesele, a Kornel potwierdził swą obecność. Kilkanaście dni przed uroczystością zadzwonił do pana młodego i przeprosił, że ze względu na stan zdrowia raczej nie przyjedzie. Podczas mszy ślubnej ksiądz Gerard Stanula wzniósł piękną intencję modlitewną o cudowne uzdrowienie „tatusia premiera". Wyciskacz łez.

Kornel miał siedzieć obok kapłana Kazimierza Potyrały i mnie. Jedno miejsce w restauracji „Artis" pozostało puste. Zadzwoniłem do Marty Morawieckiej. Czuwała przy nim w szpitalu.

Nadeszła tragiczna informacja. Zdecydowano o wspólnym wyjeździe na pogrzeb. Z Jasła wykonałem telefony do Andrzeja Serafina i księdza Henryka Grządki ze Stowarzyszenia Pomocy im. Brata Krystyna. Lubomir Fajfer z Ruchu Młodzieży Niezależnej zorganizował autokar z Gorzowa Wielkopolskiego. Zapłakanego, z rozbitym jestestwem, ksiądz Gerard zaprosił mnie do siebie na kolację. Ikona Podkarpacia, kustosz Sanktuarium na Górze Liwocz, utulił mnie w bólu. Andrzej Stachurski, wójt Gminy Osiek Jasielski, załatwił busa na uroczystości pogrzebowe do stolicy.

Tydzień po śmierci Anna Morawiecka zaprosiła mieszkańców Pęgowa, Zajączkowa, Golędzinowa, wszystkich tych, którzy znali i cenili jej śp. tatę, na spotkanie do Kornelówki, by przy ognisku powspominać zmarłego, dla którego dom w lesie był jednym z ważniejszych miejsc na świecie. Owiane magią miejsce w podwrocławskim gaju. W Kornelówce spotykali się opozycjoniści jeszcze przed Sierpniem '80. Zbudowana ofiarnie z poniemieckich bali. Podpalana przez Służbę Bezpieczeństwa, troskliwie odbudowywana.

Msza święta w kościele pw. św. Mikołaja w Pęgowie. I tylko patron parafii mógł sprawiać takie prezenty. Nocne Polaków rozmowy z proboszczem ks. dr. Wojciechem Gryglewiczem, mieszkańcami, którzy pamiętali Kornela Morawieckiego spacerującego po lesie z dziećmi. Siostra premiera przygotowała przepyszny poczęstunek.

Wyśmienity pływak utonął po śmierci! Jego mogiła zatonęła w kwiatach, on sam zaś we wspomnieniach. Spoczął na Powązkach między grobami premiera Jana Olszewskiego i generała Ryszarda Kuklińskiego. Klamra. ■

eprasa.pl 3197b25434

Ryszard Czarnecki

Mój artykuł o Kornelu – sprzed... 32 lat

Chciałem napisać o kimś wyjątkowym, jakim był Kornel Morawiecki. Ale potem pomyślałem, że... już to zrobiłem. I tak naprawdę niewiele więcej chciałbym do tego tekstu dodać – mimo że upłynęły już przeszło trzy dekady. Artykuł o Kornelu ukazał się w podziemnej „bibule" studenckiej we Wrocławiu pod moim konspiracyjnym pseudonimem „Aleksander Wołyński" – pod nim właśnie przez kilka lat kierowałem podziemnymi strukturami NZS na Uniwersytecie Wrocławskim i współkierowałem „krajówką" Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Aresztowanie Kornela Morawieckiego, przywódcy Organizacji Solidarność Walcząca (co jest znane), ojca czworga dzieci i dziadka dwojga wnuków (co znane nie jest), jest dramatem. Dramatem dla jego rodziny, współpracowników, ale także dla nas. Dla wszystkich zmierzających – różnymi drogami – do suwerenności i niepodległości naszego państwa.

O jakim Morawieckim pisać? O tym uczniu „ogólniaka" piszącym zaskakujące, świetne wypracowania z polskiego, na tyle niekonwencjonalne, że zawsze oceniane za nisko przez schematycznego nauczyciela? O absolwencie szkoły średniej, który koniecznie chciał iść na medycynę – by w ten sposób najpełniej pomagać innym? O dobrym fizyku – naukowcu i dydaktyku z Politechniki Wrocławskiej? O ojcu gromadki dzieci, z którymi robił – ot, po prostu – rowerowe, wakacyjne wyprawy z Wrocławia nad morze? O działaczu opozycji przedsierpniowej, redaktorze jednego z najstarszych, a istniejącego do dzisiaj „Biuletynu Dolnośląskiego", w którym częściej i więcej pisano o anachronicznym wtedy dla niektórych pojęciu „niepodległość", niż w dysydenckiej „warszawce"?...

O delegacie na I Krajowy Zjazd „Solidarności", współpracowniku Zarządu Regionu Dolny Śląsk, zapamiętanym, jak siedząc na schodach budynku ZR przy Mazowieckiej we Wrocławiu, pisze coś na chybcika, pytając przechodzących znajomych: „No i co, dobre?", a może jego pierwszym procesie, jednym z bardzo nielicznych przed 13.12.81 r. za wydawanie właśnie „Biuletynu Dolnośląskiego" i kolportowanie go m.in. przez kioski „Ruchu"?

Choć pewnie najważniejsze było to, co po Grudniu – ale to znowu wybór: pisać o organizacji, którą założył, jej rozwoju i ogólnopolskim zasięgu, jej pismach, radiu, pomocy innym strukturom, czy o facecie, zawsze rozpieranym przez energię, biegającym w nocy po podwrocławskich ogródkach działkowych, o jego osobistym powitaniu Ojca Świętego w czasie drugiej pielgrzymki do Ojczyzny w Krakowie i Częstochowie, gdzie wśród milionowego tłumu przypadkowo spotkał rodzinę... czy w czasie trzeciej pielgrzymki, po czterech następnych, długich latach, na pięć miesięcy przed aresztowaniem?

Można – i nawet trzeba – polemizować z programem jego „Solidarności Walczącej", o wszystkich jego niekonsekwencjach, sprzecznościach, płyciznach programowych, o „myśleniu życzeniowym". Można podkreślić wszystkie dobre strony, których nie było mało, z których najważniejsza to ta, że Morawiecki i SW idą samodzielną drogą, mówią własnym językiem, są po prostu sobą.

Ten tekst nie będzie się kończył konwencjonalnym „żądamy uwolnienia...". Ale żądamy: od ludzi mieniących się naszymi przywódcami – zajęcia stanowiska, protestu, tego minimum przyzwoitości. Od redakcji podziemnej prasy, zwłaszcza tej wielkonakładowej, centralnej – przerwania milczenia. Milczenia, które jest hańbą, które w wymiarze moralnym, niepolitycznym, określić można jedynym słowem: obrzydliwe. Od niezależnych polityków, z prawa i z lewa, zrozumienia, że polityka bez sumienia, które zmusza do obrony innych, także o odmiennych poglądach, jest grą bez nadziei i bez perspektyw. Od nas samych – protestu indywidualnego i zbiorowego, petycji, artykułów i spektakularnych akcji. Od wszystkich – solidarności. Tej prawdziwej, najprostszej, z małej „s".

Chodzi nam o Morawieckiego, ale chodzi nam także o nas samych, naszą godność.

„Trzeba gonić, trzeba gonić swe marzenia..." – rozpoczyna się jedna z najpiękniejszych piosenek o tęsknocie, wolności i o tym, że trzeba iść – nawet pod wiatr. Pewnie nie przypadkiem tak bardzo lubi ją K. Morawicki.

Wierzę Kornelu, że my wszyscy dogonimy nasze marzenia – wspólnie. I na wolności. ■

eprasa.pl 3197b25434

Edward Mosberg

bezkompromisowy obrońca prawdy historycznej

Piotr Dmitrowicz

Święty Grzegorz I Wielki, patron nagrody przyznawanej przez redakcję „Nowego Państwa", powtarzał: „Nikt na świecie nie żyje wyłącznie dla siebie. Jesteśmy tu także dla innych". Te słowa być może jak żadne inne charakteryzują cel i publiczną działalność Edwarda Mosberga. Ocalały z Holocaustu Żyd odważnie i bezkompromisowo od lat staje w obronie prawdy i coraz częstszych prób fałszowania historii.

fot. Marcin Obara/PAP

Edward Mosberg protestuje, kiedy pojawiają się próby zacierania odpowiedzialności za potworne zbrodnie II wojny światowej. Broni Polski przed fałszywymi oskarżeniami o antysemityzm i współudział w Holokauście. Buduje mosty pomiędzy Polakami i Żydami, przypominając o naszych wspólnych wielowiekowych doświadczeniach. Wyciąga z mroków historii tych Polaków, którzy z narażeniem życia pomagali w czasie wojny swoim żydowskim współbraciom, a nie zostali nigdy w żaden sposób docenieni. Edward Mosberg, pomimo osobistych dramatycznych przeżyć w trakcie II wojny światowej, każdego dnia wraca do tych historii, po to, by szczególnie młodym ludziom dać świadectwo prawdy, aby nie zapomnieli oni o tym, co się stało, i aby nigdy więcej do tego nie doszło.

Swastyki nad Krakowem

Trzynaście lat, tyle miał Edward Mosberg, kiedy we wrześniu 1939 roku najpierw Hitler, a później jego sojusznik Stalin napadli na Polskę. Urodził się w Krakowie w 1926 roku w żydowskiej rodzinie. Jego rodzicami byli Leiser Mosberg i Bela Blumenkranz. Przed wojną mały Edward zdążył skończyć siedem klas. Jak sam mówi, do 1939 roku nie wiedział, czym jest antysemityzm i nigdy nie doświadczył nienawiści ze strony Polaków. Wszystko zmieniło się w momencie wkroczenia Niemców do dawnej stolicy Polski. Kraków stał się stolicą utworzonego przez Niemców Generalnego Gubernatorstwa, na którego czele stanął pozbawiony jakichkolwiek skrupułów, bezwzględny wykonawca morderczych rozkazów Hans Frank. Jego siedzibą stał się Wawel, nad którym złowrogo zaczęły powiewać nazistowskie flagi. „W stosunku do Żydów – mówił Hans Frank na posiedzeniu rządu Generalnego Gubernatorstwa w grudniu 1941 roku – zasadniczo oczekuję tylko jednego – że zupełnie znikną [...]. Musimy unicestwić Żydów, gdziekolwiek ich znajdziemy i gdzie tylko to jest możliwe". Jedną z dróg eksterminacji ludności żydowskiej było tworzenie gett. W Krakowie przed wojną żyło około 64 tysięcy Żydów, była to czwarta część mieszkańców miasta. Wiosną 1940 roku Niemcy rozpoczęli akcję wysiedlania Żydów z Krakowa. Trafiali oni do mniejszych miejscowości w Generalnym Gubernatorstwie. Wywózki dotknęły około 50 tysięcy Żydów.

W krakowskim getcie

W marcu 1941 roku Niemcy podjęli decyzję o „umieszczeniu ludności żydowskiej Krakowa w żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej, w wydzielonej części Krakowa". Decyzja władz niemieckich argumento-

eprasa.pl 3397b25434

wana była „względami sanitarnymi, gospodarczymi i porządkowymi". Getto krakowskie powstało w dzielnicy Podgórze, był to obszar około 20 hektarów z fatalną infrastrukturą i o wiele za małą liczbą mieszkań jak na zamkniętych tam ludzi. Tutaj właśnie trafił razem z dziadkami, matką i dwiema siostrami młody Edward Mosberg. W szczytowym momencie funkcjonowania getta za jego murami znajdowało się blisko 20 tysięcy Żydów. Warunki, w jakich przyszło im żyć, były podobne do tych z innych urządzanych przez Niemców gett. Głód, choroby, przeludnienie, które w ekstremalnych sytuacjach w krakowskim getcie wynosiło nawet dziesięć osób na jedną izbę, ale przede wszystkim niemiecki terror i powtarzające się pytanie co z nami będzie. Getta były przedsionkami piekła, to stamtąd Żydzi trafiali do niemieckich obozów zagłady. Nie inaczej było przypadku krakowskich Żydów. Pierwsza deportacja z krakowskiego getta nastąpiła w czerwcu 1942 roku, kierował nią szef sztabu w urzędzie Dowódcy SS i Policji w dystrykcie krakowskim – SS-Sturmbannführer Wilhelm von Haase. Żydom wmawiano, że jadą do pracy na Ukrainę, w rzeczywistości wszyscy deportowani, czyli ponad 7 tysięcy Żydów, trafili do niemieckiego obozu zagłady w Bełżcu. Druga fala deportacji nastąpiła pod koniec października 1942 roku, tym razem objęła około 5 tysięcy osób, wśród których były również dzieci, osoby starsze i chore. Niemiecka akcja przebiegała w sposób niezwykle brutalny, na miejscu zamordowano z zimną krwią około 300 Żydów. Na te wszystkie okropieństwa musiał patrzeć szesnastoletni Edward Mosberg, którego najbliżsi również zostali wywiezieni. Dwanaście lat temu podczas obchodów 65. rocznicy likwidacji getta krakowskiego. chwiejąc się z emocji, drżącym głosem, Edward Mosberg mówił: „Miałem dziadków, wujostwo, kuzynostwo, rodziców, siostry. Ja jestem jedyny, co przeżyłem z całej mojej rodziny". Ostatni akt dramatu mieszkańców krakowskiego getta rozpoczął się 13 marca 1943 roku, kiedy to Niemcy przystąpili do likwidacji getta. Pozostali przy życiu Żydzi mieli przemaszerować do utworzonego w październiku 1942 roku na terenie dawnych cmentarzy żydowskich obozu w Płaszowie. W trakcie drogi działy się dantejskie sceny. Niemcy zakazali zabierać ze sobą dzieci poniżej czternastego roku życia, obiecując, że zostaną one tam przetransportowane później. Edward Mosberg widział, jak niemieccy zwyrodnialcy rozbijali główki dzieci o mur, jak strzelali bez skrupułów do plecaków, w których rodzice ukrywali swoje małe dzieci. „Kiedy 14 marca wróciłem do getta, widziałem trupy na ulicach, widziałem to!" – mówił Edward Mosberg, wspominając likwidację getta. W tym dniu Niemcy wymordowali m.in. dzieci z sierocińca i chorych ze szpitali, w sumie ponad 2 tysiące ludzi.

W niemieckich obozach śmierci

W Płaszowie, gdzie trafił Mosberg, osadzano nie tylko Żydów, lecz także Polaków. Płaszów powstał jako obóz pracy, ale w styczniu 1944 roku został przekształcony w obóz koncentracyjny – KL Plaszow. Przez cały okres istnienia obozu więziono w nim około 30 tysięcy ludzi. Zamordowano tutaj według różnych szacunków od 5 do 10 tysięcy osób. W Płaszowie Mosberg pracował w biurze komendanta tego obozu Hauptsturmführera SS Amona Götha, który wcześniej odpowiadał m.in. za budowę niemieckich obozów śmierci w Sobiborze i Bełżcu, a także za likwidację krakowskiego getta. Gorliwy i słynący z okrucieństwa Göth został przedstawiony w filmie „Lista Schindlera" Stevena Spielberga. Widzimy tam sadystę strzelającego do ludzi i szczującego bezbronnych psami. Taki też obraz tego niemieckiego mordercy zapamiętał Edward Mosberg. „Ten sadysta zabijał ludzi. Powieszono dziewczynkę za to, że ukradła kawałek chleba – wspominał. – Dwa razy sznur się urywał. Dopiera za trzecim razem ją powieszono. Byłem tam i jestem tego świadkiem!". Po wojnie Götha skazano na śmierć. Proces odbywał się w Krakowie. Był na nim Mosberg, który po latach pokazując zdjęcia z tego procesu, omal nie zemdlał z emocji. W sierpniu 1944 roku Niemcy rozpoczęli likwidację obozu w Płaszowie, ostatnia grupa blisko 600 więźniów w styczniu 1945 roku została pognana w kierunku KL Auschwitz. Mosberg trafił do położonego w Austrii obozu Mauthausen-Gusen, tutaj oraz w kilku podobozach zginęło co najmniej 90 tysięcy więźniów, z czego blisko połowa w ostatnich miesiącach funkcjonowania obozu. Przez założony w 1938 roku obóz przeszło blisko 200 tysięcy więźniów. Wśród zamordowanych było 28 tysięcy Polaków, głównie inteligencji. Z tego powodu historycy często mówią, że był to „niemiecki Katyń". Mosberg w Mauthausen-Gusen nosił numer 85454, do dzisiaj nosi bransoletkę z takim numerem, jak mówi po to, aby inni pamiętali. Kiedy ludzie pytają go o bransoletkę, opowiada za każdym razem swoją dramatyczna historię. Przebywając w obozie, Mosberg pracował w fabryce Hermanna Göringa w Linzu. Tutaj cudem dotrwał do końca wojny, kiedy to na te tereny dotarły wojska amerykańskie. Wojna się skończyła, a Edward Mosberg został sam. Niemcy zamordowali 16 najbliższych członków jego rodziny.

Życie po Zagładzie

Po zakończeniu II wojny światowej w fatalnym stanie zdrowia, chory na gruźlicę płuc i kości, Edward Mosberg wrócił do Krakowa. Wiedział, że większość jego rodziny została wymordowana. Wierzył jeszcze,

eprasa.pl 3197b25434

że zdoła odnaleźć swoje siostry. Wkrótce nadzieja prysła, okazało się, że i one zostały zgładzone. Mosberg nie chciał i nie potrafił żyć na grobach przodków w kraju rządzonym przez komunistów. W 1947 roku razem ze swoją przyszłą żoną, która również przeszła przez piekło obozów, a życie kilka razy uratowali jej Polacy, opuścili Polskę i wyjechali do Belgii, a następnie do Stanów Zjednoczonych. Początki nie były łatwe – młode małżeństwo z półtoraroczną córeczką w obcym świecie. Mosberg, który zdążył przed wojną skończyć kilka klas, imał się różnych zawodów, aby po latach odnieść sukces w branży deweloperskiej. Obecnie państwo Mosberg mieszkają w New Jersey, a Edwarda Mosberga od lat całkowicie pochłonęła walka o pamięć i prawdę historyczną związaną z II wojną światową.

▶ Strażnik pamięci. Obrońca prawdy

O swojej życiowej misji tak mówi Edward Mosberg: „Jestem ocalonym z Zagłady i moim obowiązkiem jest mówienie światu o tragedii Holocaustu. Jestem częścią Marszu Żywych, Fundacji Shoah oraz From the Depths. To trzy organizacje, które edukują ludzi na świecie na temat Holocaustu. Miałem tylko 13 lat, kiedy wybuchła wojna. Z mojej rodziny przeżyłem tylko ja". Wielokrotnie w trakcie Marszu Żywych wspierał polskie władze w walce z niemieckimi kłamstwami. Nie tak dawno stwierdził: „Jestem tu po to, żeby powiedzieć, że zgadzam się z tym, co mówił polski premier Mateusz Morawiecki, że hitlerowskie Niemcy są odpowiedzialne na Holocaust". W ubiegłym roku nie zawahał się w niezwykle mocny sposób odpowiedzieć na słowa pełniącego obowiązki szefa izraelskiej dyplomacji, który stwierdził, że Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki. „P.o. ministra spraw zagranicznych Izraela jest »głupim idiotą«, bo uwłacza Polakom" – mówił Mosberg w rozmowie z ambasadorem USA w Izraelu Davidem Friedmanem przed Marszem Żywych. I dodawał: „Niestety nie ma lekarstwa na głupotę". Prezydentowi Andrzejowi Dudzie doradzał zaś, by nie przyjeżdżał do Izraela, dopóki Katz nie przeprosi. Przy okazji Mosberg podkreślał, że w takich sytuacjach trzeba jeszcze mocniej przypominać historię Polaków ratujących Żydów. Choćby rodziny Ulmów z Markowej, która za pomoc Żydom została cała, łącznie z dziećmi, przez Niemców zabita. O przywracanie pamięci Polaków, którzy ratowali w trakcie wojny Żydów, a nie zostali uhonorowani medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, dba Fundacja From The Depths, w której aktywnie działa Mosberg, i właśnie odznaczenie jego imienia przyznawane jest bohaterskim, nieznanym i zapomnianym Polakom. W 2019 roku pośmiertnie taką nagrodą zostali uhonorowani wiceprezydent okupowanej Warszawy i przedwojenny zastępca Stefana Starzyńskiego, Julian Spitosław Kulski, jego żona Eugenia z Kulska oraz jej siostra Zofia Zembrzuska. Między innymi dzięki działaniom Kulskiego tysiące obywateli pochodzenia żydowskiego uzyskało fałszywe dowody tożsamości. Mosberg wraz z Fundacją From The Depths wspiera polską stronę także w innych działaniach. Kiedy władze miasta Jersey City chciały usunąć pomnik Ofiar Katyńskich, Mosberg i inni apelowali w specjalnym liście do burmistrza tego miasta: „Pamięć o masakrze w Katyniu jest istotną częścią pamięci i wspomnień o Holocauście i zachęcamy do ponownego rozważenia swojej decyzji o usunięciu tego pomnika [...]. Błagamy pana burmistrza oraz radę miejską o to, aby pomnik dla tych 22 tys. obywateli polskich zamordowanych w serii masowych egzekucji przeprowadzonych przez NKWD, sowiecką tajną policję w kwietniu i maju 1940 r. w Katyniu, pozostał widoczny i stał się wiecznym pomnikiem dla tych brutalnie zamordowanych". 27 kwietnia 2019 roku prezydent Andrzej Duda postanowił odznaczyć Edwarda Mosberga Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi Rzeczpospolitej Polskiej. W uzasadnieniu napisano m.in.: „[...] za wybitne zasługi w rozwijaniu polsko-żydowskiego dialogu, za upowszechnianie wiedzy o roli Polaków w ratowaniu Żydów". Odznaczenie Edward Mosberg odbierał w Krakowie, co jak podkreślił, było dla niego bardzo poruszającą okolicznością. Przyjmując odznaczenie, mówił, że odbiera je w imieniu swojej żony, dzieci i wnuków, a co najważniejsze rodzeństwa i 6 milionów zamordowanych Żydów. Odznaczenie dedykował też Polakom, którzy w czasie niemieckiej okupacji ratowali Żydów, często za cenę własnego życia. „Ważne aby ci, którzy przychodzą po nas, byli naszymi świadkami i mieli pewność, że tragedia Holocaustu nigdy nie zostanie zapomniana" – podkreślał 93-letni Edward Mosberg.

▶ Wypróbowany przyjaciel

Edward Mosberg wielokrotnie udowadniał, że jest wypróbowanym przyjacielem Polski i Polaków. Zawsze kiedy pojawiają się kłamstwa na temat „polskich obozów koncentracyjnych", naszego współudziału w Holocauście czy niemal zoologicznego antysemityzmu, możemy liczyć na świadectwo prawdy ze strony człowieka, który przeżył piekło na ziemi, stracił wszystkich swoich najbliższych, ale mimo to z niewiarygodną siłą i energią walczy o prawdę i pamięć. Wielokrotnie swoje wystąpienia Edward Mosberg kończy apelem: „Nie zapominajcie o Nas!". I tym słowom mamy obowiązek pozostać wierni. ■

eprasa.pl 3197b25434

W POLSCE NIE MA CZEGOŚ TAKIEGO JAK PROROSYJSKA PRAWICA

W Polsce jest, owszem, grupa polityków wywodzących się ze środowiska pana Romana Giertycha, która próbuje wykorzystać polską myśl patriotyczną do zbudowania prorosyjskiej prawicy. Ale ta manipulacja nigdy nie udawała się w przyszłości i nie uda się także teraz. W Polsce nie ma podstaw do powstania prorosyjskiej prawicy. Nie ma prorosyjskiej myśli niepodległościowej, bo obecna, współczesna Rosja jest formacją kontynuującą doświadczenia sowieckie. Jest rządem wywodzącym się wprost z aparatu sowieckiego. Blisko 90 proc. ludzi podejmujących najważniejsze decyzje w aparacie rosyjskim to ludzie z komunistycznych służb, ci, którzy mordowali Polaków, niszczyli polskość, dla których polskość jest największym wrogiem – z ministrem **Antonim Macierewiczem** rozmawia **Piotr Lisieiwcz**.

FOT. FILIP BLAZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

epr... 4634

▶ Powiedział Pan o młodych wyborcach Konfederacji: „Młodzież, która na nich głosowała, to najlepsi synowie i córki polskiej ziemi. To są ludzie bardzo patriotyczni, tylko z małym rozeznaniem rzeczywistości”.

To się odnosiło przede wszystkim do tej młodzieży, która stworzyła Marsz Niepodległości. To naprawdę wielka manifestacja polskości, patriotyzmu i woli niepodległości. Inicjatorami marszu byli ludzie, którzy potem niestety zostali z tej struktury wyeliminowani i została ona przejęta przez kogoś innego. Ale ich dorobek pozostał. Wielu nie pamięta dziś, że to dramat smoleński spowodował to przebudzenie się patriotyzmu wśród polskiej młodzieży, po latach niszczenia go, próbach wyeliminowania go z myślenia młodych ludzi.

▶ Przed 10 kwietnia 2010 roku w marszach 11 listopada brało udział tylko po kilkaset osób.

Bo to Smoleńsk spowodował zrozumienie przez młodzież, że coś nieprawdopodobnego się z Polską dzieje. Że mamy do czynienia z jakimś państwem fikcyjnym, pozornym, które niby ma być niepodległe, ale jest nim tylko na papierze, bo tak naprawdę jesteśmy cały czas w cudzych rękach. Że los polskich przywódców, ale i całego polskiego narodu, jest trzymany na nitce przez ludzi obcych, którzy mogą w odpowiednim momencie tę nitkę przerwać, tak jak to się stało w czasie tragedii smoleńskiej. Pokłosiem tego przebudzenia młodzieży był nie tylko Marsz Niepodległości, lecz także były nim ruchy paramilitarne, które stały się punktem odniesienia dla powołania Wojsk Obrony Terytorialnej. To wszystko był dorobek młodzieży, która przywróciła Polsce patriotyczny dynamizm i pamięć o wielkości Polski. Ale potem niektórzy z tych młodych ludzi – bo oczywiście nie wszyscy – dali się zmanipulować liderom o zupełnie odmiennych dążeniach, tych, którzy w Rosji widzieli swój punkt odniesienia. Ten wielki patriotyczny ruch został w jakiejś części przejęty przez ludzi, którzy działają na rzecz dokładnie przeciwnych celów.

▶ Jadwiga Chmielowska, w latach 80. przez dziewięć lat ścigana listem gończym, powiedziała do młodych narodowców ważne słowa: to, że was inwigilują i próbują wami sterować za pomocą mających nieczyste intencje liderów, to jest w gruncie rzeczy akt uznania dla was. Agentów wysyła się tam, gdzie siły antypolskie widzą autentyczne zagrożenie. W taki sposób inwigilowano za komuny najbardziej nieprzejednanych antykomunistów.

To prawda. Podczas pierwszych Marszów Niepodległości mieliśmy nie tylko do czynienia z inwigilacją, lecz także całym szeregiem prowokacji, które miały przedstawić tych ludzi jako kogoś o zupełnie innych intencjach i dążeniach, zrobić z tego jedną wielką awanturę. To się nie udało. A gdy chodzi o tych liderów, którzy część tej młodzieży zmanipulowali, to ich pierwsze głosowania w Sejmie pokazują, że teraz de facto bronią rządów Brukseli w Polsce.

▶ W jaki sposób?

Najbardziej dramatycznie było to widać podczas głosowania w sprawie reformy sądownictwa, gdy posłowie Konfederacji wstrzymali się od głosu, faktycznie popierając w ten sposób rządy Brukseli w Polsce. Zawsze głosili, że są im przeciwni, a gdy przyszło co do czego, umyli ręce.

▶ Może chcieli pokazać, że są wyrazistą opozycją.

No to się im udało! Wybrali Brukselę zamiast PiS-u. Tyle że to z pewnością nie ma nic wspólnego z patriotycznymi dążeniami polskiej młodzieży. A tym bardziej z ruchem narodowym. Bo ruch narodowy widzi wyraźną różnicę nawet pomiędzy, powiedzmy, błądzącymi formacjami patriotycznymi a zależnością od zewnętrznego decydenta.

▶ *A propos elektoratu Konfederacji, to w swojej rubryce „Zyziu na koniu Hyziu” w „Gazecie Polskiej” wysunąłem niedawno postulat: „Macierewicz na ministra nauki i szkolnictwa wyższego”.

Wyjaśnijmy, że nie pytał pan mnie o to, choć przyznaję, iż byłoby tam co zmieniać.

▶ Pisząc tekst do felietonowej rubryki, wyobraziłem sobie miny postkomunistycznych sitw uczelnianych na taką wieść. Tam trzeba z pewnością „zlikwidować WSI”, czyli owe sitwy odsunąć od pieniędzy. I „powołać Wojska Obrony Terytorialnej”, czyli nowe uczelnie zarządzane przez innych ludzi. No i gdy testowałem ten pomysł na znajomych wyborcach Konfederacji, to od razu u wszystkich uśmiech na twarzy: właśnie o to nam chodzi, żeby dekomunizacja była głęboka, a odbudowa polskości jak najdalej idąca.

Tymczasem politycy Konfederacji jakoś zamilkli w ostatnim czasie, gdy Putin wylał na Polskę całą tę brud-

eprasa.pl 3197b25434

ną wodę, zaczął wygłaszać tezy najstraszliwiej niszczące polską pamięć, dorobek i wielkość. Nie słyszeliśmy – poza bardzo ogólnymi wypowiedziami – adekwatnej reakcji Konfederacji w tej sprawie. A Janusz Korwin-Mikke powiedział, żeby się nie przejmować tym, co mówi Putin. Że to niepoważne wypowiedzi. Tymczasem to, co mówi pan Putin, nie jest niepoważne. Putin chce zlikwidować w świadomości międzynarodowej polską wielkość, wielki dorobek narodu polskiego, okupiony milionami ofiar. Gdyby Konfederacja naprawdę reprezentowała tę młodzież, która stworzyła Wojska Obrony Terytorialnej oraz cześć Żołnierzy Niezłomnych, to by odpowiednio odpowiedziała panu Putinowi.

▶ Grzegorz Braun o wspomnianych Wojskach Obrony Terytorialnej mówi: „awansowali do roli tańszego mięsa armatniego" i „ochotnicy do Obrony Terytorialnej mogą być rzuceni wszędzie w charakterze jakichś orląt lwowskich czy przemyskich, nie daj Boże".

To bardzo ważna wypowiedź pana Brauna, nie ze względu na bełkot, który jest w niej zawarty i jakieś dziwaczne sformułowania. Jest ważna, bo Wojska Obrony Terytorialnej to jedna z najbardziej groźnych dla Rosji zmian, jaka dokonała się w Polsce. I to nie tylko, chociaż przede wszystkim, ze względu na ich rolę militarną. Jednym z największych problemów polskiej armii po 1989 roku było nie tylko zmniejszanie uzbrojenia czy potencjału wojskowego, lecz także utrzymywanie zakłamania sowieckiego, utrzymywanie antypatriotyzmu w wojsku. W tym całej rzeszy ludzi wywodzących się z aparatu politycznego wojska sowieckiego, jako nadal istotnych ludzi kształtujących myśl codzienną żołnierzy w Polsce. Czyli utrzymywanie sowieckiej myśli w kształtowaniu patriotycznego, a właściwie antypatriotycznego nastawienia Wojska Polskiego. Otóż to wszystko zostało złamane przez Wojska Obrony Terytorialnej, a także przez zmiany kadrowe w wojsku. Grzegorz Braun zwalcza właśnie odbudowę myśli patriotycznej Wojska Polskiego. I to jest rzecz charakterystyczna dla operacji, jakie Rosjanie na Polsce chcą wykonać. Chcą zniszczyć odbudowę patriotyzmu, siły i potencjału militarnego narodu polskiego. Braun w tym bierze udział. Ta wypowiedź pana Brauna jest świadectwem, że tam z tyłu, za nimi, pracują ludzie, którzy zmierzają do tego, żeby polską myśl narodową skierować na tory wykonawstwa rosyjskiego.

▶ Liderzy Konfederacji chętnie udzielają wywiadów rosyjskiemu portalowi Sputnik. Nie tylko Korwin-Mikke, lecz także wspomniany Braun czy kandydat na prezydenta Krzysztof Bosak.

Zauważmy, że ten sam Braun, który atakuje Wojska Obrony Terytorialnej, wypowiada absurdy na temat dramatu smoleńskiego. To jest działanie nie tylko szkodliwe, lecz gruntownie niebezpieczne. Ono jest zgodne z całym torem działań po roku 1945. Gdy najbardziej patriotyczny, najbardziej bohaterski nurt w polskiej historii, który wyrósł z Narodowych Sił Zbrojnych, próbowano przekształcić w nurt prorosyjski. To samo robią przedstawiciele Konfederacji, którzy zasiadają w Sejmie. Z tym trzeba raz na zawsze skończyć, bo to niszczy cały wielki potencjał polskiej młodzieży. Jeżeli mam do czynienia z błędami popełnianymi przez Prawo i Sprawiedliwość, a niewątpliwie takie są, to trzeba je krytykować, korygować, lecz z pozycji patriotycznych, a nie prorosyjskich.

▶ Salezjanin ksiądz Jarosław Wąsowicz, organizator pielgrzymek kibiców na Jasną Górę, mówi o tym, że nie da się łączyć powoływania się na Żołnierzy Wyklętych z udzielaniem wywiadu Sputnikowi, który pisze o nich per „niezłamasy", a o księdzu Zychu, który był ofiarą komunizmu, że zapił się na śmierć.

Dlatego uważam, że w Polsce nie ma czegoś takiego jak prorosyjska prawica. Jest, owszem, grupa polityków wywodzących się ze środowiska pana Romana Giertycha, która próbuje wykorzystać polską myśl patriotyczną do zbudowania prorosyjskiej prawicy. Ale ta manipulacja nigdy nie udawała się w przyszłości i nie uda się także teraz. W Polsce nie ma podstaw do powstania prorosyjskiej prawicy. Nie ma prorosyjskiej myśli niepodległościowej, bo obecna, współczesna Rosja jest formacją kontynuującą doświadczenia sowieckie. Jest rządem wywodzącym się wprost z aparatu sowieckiego. Blisko 90 proc. ludzi podejmujących najważniejsze decyzje w aparacie rosyjskim to ludzie z komunistycznych służb, ci, którzy mordowali Polaków, niszczyli polskość, dla których polskość jest największym wrogiem.

▶ Rosja buduje wspierające ją ugrupowania prawicowe w wielu państwach europejskich. Ale jest różnica pomiędzy wspieraniem Rosji przez prawicę we Francji, która leży daleko od Rosji, a wspieraniem jej przez Polaków.

To dwie zupełnie różne sytuacje. Francja jest zainteresowana tym samym, czym jest zainteresowana Rosja, czyli wyrzuceniem Amerykanów z Europy. Dlatego że chce zainstalować tu własną dominację – imperium europejskie pod przywództwem francuskim i niemieckim, w sojuszu z Rosją. Dla Francji Stany Zjednoczone są rywalem i szuka przeciwko nim sojuszników. Ale szuka ich kosztem Polski i Europy Środkowej.

eprasa.pl 3197b25434

▶ Polscy przedwojenni rosjoznawcy, jak Włodzimierz Bączkowski, Jerzy Niezbrzycki czy Henryk Józewski, pokazywali świetnie to, że Rosja nie jest państwem takim jak wszystkie inne imperia, co sugerują politycy Konfederacji. Odwrotnie, jest zupełnie inna. Że czynnik militarny nie jest najważniejszy w jej działaniu, a dużo ważniejszy jest czynnik rozkładowy, korumpowanie i obezwładnianie narodów, które chce podbić. Jurij Bezmienow mówił, że tylko 10–15 procent działań KGB dotyczyło klasycznej agentury, szpiegów zdobywających tajemnice wroga. A zdecydowana większość to były działania z pozoru legalne – tworzenie ugrupowań politycznych, instytutów naukowych, mediów. Jak jest dzisiaj?

Pan odwołuje się do tego wszystkiego, co nazywa się agenturą wpływu i co rzeczywiście jest specjalnością sowiecką. Do tych nazwisk, które Pan wymienił, trzeba dodać Anatolija Golicyna, który kiedyś był funkcjonariuszem KGB, uciekł z Rosji w 1962 roku i jest twórcą pewnej analizy działania aparatu sowieckiego, przygotowującego wielką zmianę z roku 1989. W roku 1984 wyszła po angielsku jego książka „Nowe kłamstwa w miejsce starych". Ona zapowiadała to, co nazwano później pieriestrojką. Trudno w to uwierzyć, ale tam jest opisany rząd, który powstał w wyniku Okrągłego Stołu w Polsce. Także z udziałem współpracujących niegdyś z komunistami organizacji chrześcijańskich i katolickich.

▶ Jak to przygotowywano?

Od lat 70. pracowano nad środowiskami chrześcijańskimi, próbowano przekształcić środowiska narodowe czy też wydobyć z nich ludzi, którzy będą gotowi poprzeć myśl rosyjską. Potem Maciej Giertych, ojciec Romana, pisał publikacje wychwalające stan wojenny i pana Jaruzelskiego. Tłumaczące, że tylko sojusz z Moskwą i popieranie stanu wojennego jest najlepszym rozwiązaniem dla Polski. To geneza ideologii głoszonej przez liderów Konfederacji.

▶ Kandydat na prezydenta Krzysztof Bosak był asystentem Macieja Giertycha. Jak ma się ideologia Giertychów do myśli Dmowskiego? Oni twierdzą, że Dmowski był prorosyjski.

To jest oczywiste kłamstwo. Dmowski był antyniemiecki, a nie prorosyjski. Dmowski szukał rozwiązania, które w ówczesnej geopolityce pozwalało odbudować siłę polską po to, żeby w momencie, gdy nadejdzie odpowiednia sytuacja geopolityczna, wykorzystać ją dla budowy niepodległego państwa polskiego. Dokładnie tak samo jak Piłsudski będąc antyrosyjskim, szukał takich możliwości po stronie austriackiej, a potem także niemieckiej. Co skończyło się uwięzieniem go w Magdeburgu. Podobnie w przypadku Dmowskiego skończyło się to tym, że musiał emigrować na Zachód. Obaj się spotkali w sytuacji takiej, która pozwoliła odbudować niepodległe państwo polskie. Przypisywanie Romanowi Dmowskiemu prorosyjskości jest absolutną aberracją. Prawdziwym kontynuatorem myśli Dmowskiego były walczące z Moskwą Narodowe Siły Zbrojne, byli Żołnierze Niezłomni. To była realizacja myśli Dmowskiego, na pewno nie działania panów Giertychów. Nie jest też przypadkiem, że Janusz Korwin-Mikke nazwał swoją partię Unią Polityki Realnej, nawiązując do Stronnictwa Polityki Realnej, działającego na przełomie XIX i XX wieku. Było ono stronnictwem popierającym panowanie caratu w Polsce. Dmowski był najostrzejszym krytykiem tego właśnie Stronnictwa.

▶ Ci, którzy chcą w Polsce zbudować prawicę prorosyjską, grają także na sprawach pokoleniowych. Wiadomo, młodzież lubi wspólnie ze sobą imprezować, przebywać, działać. Pan też tak kiedyś działał, tworząc ruch harcerski, który stawał się takim zalążkiem niezależnej myśli, opozycji.

Za mocno powiedziane, współtworzyłem taki ruch w ramach Pierwszej Warszawskiej Drużyny Harcerzy imienia Romualda Traugutta.

▶ A teraz na sprawach pokoleniowych chcą grać zwolennicy stworzenia prawicy prorosyjskiej. Wiadomo, że każda partia władzy, w tym również PiS, może ulegać takiemu otłuszczeniu...

Tak, to jest zjawisko zawsze bardzo niebezpieczne.

▶ Dlatego twórcy Konfederacji wysyłają przekaz, że oto jest taka nowa energia, która skuteczniej przeprowadzi zmiany.

Ale ten przekaz przestaje mieć związek z rzeczywistością, gdy właśnie oni przedstawiają jako błędy największe osiągnięcia ostatnich lat. Jeśli atakuje się Wojska Obrony Terytorialnej czy dążenie do prawdy na temat dramatu smoleńskiego, jeżeli atakuje się budowę jedności polskiej formacji patriotycznej, która jest jednym z najważniejszych osiągnięć tych lat, wielką siłą, to działa się na rzecz przeciwnika. Mamy od 300 lat największą szansę, by zbudować niepodległe państwo polskie. Nie państwo, w którym będą na zawsze stacjonowały obce wojska. Ale wojska amerykańskie są nam teraz potrzebne, żeby zbudować własną siłę. Jest bardzo charaktery-

eprasa.pl 3197b25434

styczne, że jeden z głównych tzw. geopolityków przedstawiających de facto prorosyjskie tezy, pan Sykulski, udowadnia, że budowa Międzymorza jest bez sensu, że to się nie uda, bo jesteśmy za słabi, gdyż Rosja jest tak wielką potęgą, że jest to bez sensu. Co to za myśl narodowa, która bazuje na udowadnianiu, że my jesteśmy za mali, za słabi i do niczego? Przecież to jest właśnie myśl Donalda Tuska, przecież to Platforma Obywatelska niszczyła polski patriotyzm przez dziesiątki lat, tłumacząc, że jesteśmy tacy malutcy, że możemy tylko słuchając innych, coś osiągnąć. Że sami nie umiemy niczego zorganizować. Jest dokładnie przeciwnie. Wejście wgłąb narodu, odwołanie się do polskiej młodzieży, do polskiej twórczości, do wielkich zasobów, jakie są na polskiej wsi, na polskiej prowincji, szukanie tam kadr, które będą Polskę budowały – to jest rzeczywisty kierunek myśli narodowej. A nie udowadnianie, że potęga rosyjska jest tak wielka, iż jesteśmy przy niej bezradni. Jak by pan Sykulski działał w roku 1920, gdy bolszewicy szli na Warszawę? Zapewne radziłby, żeby uciekać. A okazało się, że ta wielka potęga sowiecka przegrała z polskimi żołnierzami, uległa wielkim zdolnościom nie tylko Piłsudskiego, lecz także generałów Rozwadowskiego, Sikorskiego i wielu innych, którzy potrafili zorganizować polską młodzież. Na przykład Legię Akademicką. Oni potrafili zorganizować polską siłę, bo sięgali do polskich zasobów, do wszystkiego, czego pan Sykulski i jego pseudogeopolityczna myśl nie chce w ogóle widzieć.

▶ Dochodzimy do ważnego pytania: czym mają być ta świeżość, radykalizm, pragnienie głębokich zmian? Bo z jednej strony jest Macierewicz, który oskarżany jest o to, że jest jastrzębiem i radykałem. I w ramach tego radykalizmu chce ostatecznego pokonania fatalizmu naszego położenia między Rosją a Niemcami, co jest marzeniem pokoleń Polaków. Ale tu pojawia się inny radykalizm, który polega na tym, że jesteśmy przeciwni wszelkim obcym wpływom, czyli przeciwni wojskom amerykańskim w Polsce.

Dramat Polski od 300 lat polega na tym, że w wyniku powstania dwóch potęg, niemieckiej i rosyjskiej, Polacy są skłonni dzielić się na tych, którzy uważają, że powinniśmy być podporządkowani Niemcom, i tych, którzy chcą naszego podporządkowania Rosji. Rzecz w tym, żeby wydobyć z narodu polskiego taką siłę, która będzie w stanie zbudować strukturę, zarówno wewnętrzną, polską, jak i geopolityczną, zdolną utrzymywać niepodległość niezależnie od woli niemieckiej i rosyjskiej. Tym jest właśnie Międzymorze, porozumienie państw pomiędzy Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym, które mają dosyć podobną historię, doświadczenie kulturowe i ideowe. Plany stworzenia Międzymorza powstały w latach 30., ale po raz pierwszy, od czterech lat, udaje nam się wprowadzać je w życie. I one uzyskały gigantyczne wsparcie prezydenta Trumpa. My chcemy korzystać z tego wsparcia, dopóki nie odbudujemy własnej siły.

▶ Konfederacja odpowiada teoriami na temat ustawy 447, twierdzeniami, że Amerykanie będą na nas chcieli wymusić odszkodowania. Do jakiejś części jej elektoratu to trafia.

Oczywiście są takie siły w Stanach Zjednoczonych i nie tylko, które dążą do tego, żeby Polskę przy pomocy kłamliwych oskarżeń, absurdalnych zarzutów, które notabene ostatnio sformułował pan Putin, zmusić do takich odszkodowań. I to te siły doprowadziły do uchwalenia ustawy 447. Protest przeciwko tej ustawie jest jak najbardziej słuszny i konieczny. W sprzeciwie wielkie znaczenie miały także działania i znakomite wypowiedzi prezesa Jarosława Kaczyńskiego i premiera Mateusza Morawieckiego. To ich głos był decydujący i spowodował, że podobne żądania musiały być cofnięte.

▶ Czyli podział w tej sprawie jest taki, że Konfederacja mówi: nie chcemy 447...

A my działamy, robimy to...

▶ Czyli PiS deklaruje to samo, na co Konfederacja odpowiada: nie wierzymy, i sugeruje, że PiS zawiera w tej sprawie jakieś tajne pakty. Wprawdzie trwa to już dosyć długo i skutków istnienia rzekomych paktów nie widać, ale na pewno zaraz się pokażą.

Nie wiem, o jakich tajnych paktach mówi Korwin-Mikke, on sam popiera Putina, i to jawnie. W polityce słowa, owszem, mają znaczenie, ale decyduje o ocenie polityków czyn, ich działania. Jak spojrzymy na formację giertychowską, to jej istotą od czasów Jędrzeja Giertycha po Konfederację jest prorosyjskość. To nie ma nic wspólnego z ruchem narodowym, to jest ruch podległości, a nie ruch narodowy.

▶ Konfederacja stara się trafić z prorosyjskim przekazem także na stadiony piłkarskie, do kibiców. Na stadiony, które kochały Stanisława Królaka za to, że miał przylać ruskiemu pompką, Władysława Kozakiewicza – za jego gest – i Gerarda Cieślika znoszonego na rękach

eprasa.pl 3197b25434

przez tłum w 1957 roku, gdy wbił Sowietom dwie bramki. Po Smoleńsku to kibice Legii Warszawa pojechali do Moskwy z odpowiednimi transparentami.

W to, żeby kibice pokochali Rosję, nikt nie uwierzy, przecież wiedzą, z kim walczyli Żołnierze Wyklęci. Oczywiście to nie oznacza, że we wszystkich Rosjanach widzimy wroga. Widzimy go w myśli sowieckiej. I największy problem z ruchem giertychowskim polega na tym, że on jest gotowy podporządkować Polskę Rosji sowieckiej.

▶ **PiS wygrał wybory w 2015 roku w dużym stopniu dzięki Internetowi i młodym ludziom popierającym go na portalach społecznościowych. Ale jednocześnie Internet jest miejscem, gdzie łatwo dopuszczać się fałszerstw. Tematem tabu jest to, że łatwo tam fałszować choćby liczbę odsłon na YouTube. Do niedawna można je było wykupić nawet na Allegro. Zarówno w Ameryce, jak i w Polsce raperzy oskarżali się wzajemnie o wykupywanie odsłon, by dowodzić, jacy są popularni. Piotr Stalka, były szef sztabu Mariusza Max Kolonko, gdy ten chciał zostać politykiem, też zaczął o tym mówić. Czy nie jest tak, że u nas prorosyjskich wideoblogerów nie lansuje się tą samą metodą?**

Zawsze warto zapytać, czy mamy tu do czynienia z prawdziwymi odsłonami, czy z operacją technologiczną. Gdy chodzi o Rosję, to mamy do czynienia nie tylko z wojskami cybernetycznymi. W 2017 roku pan Putin powołał wojska informacyjne. Czyli zorganizowane militarnie zespoły ludzi, którzy wyszukują tematy, które trzeba upowszechniać, przedstawiać jako atrakcyjne dla grup ludności krajów, które się zwalcza. A potem fałszuje się liczbę odsłon, żeby ludzie sądzili, iż takie poglądy są powszechnie akceptowane.

▶ **Efekt kuli śnieżnej.**

Rosja ma na to olbrzymi budżet. W ten sposób w Polsce jako myśl narodową lansuje się coś, co w istocie działa przeciwko narodowi. Warto o tym pamiętać, oglądając niektóre programy, że ich celem jest zniszczyć polskie państwo.

▶ **Pojawiła się nawet kategoria „prawicowych" internetowych celebrytów, takich jak Grzegorz Braun. Ta marka gwarantuje określoną ilość kliknięć. I dla części oglądającej go młodzieży nie ma większego znaczenia, co mówi, lecz jak mówi. Idę o zakład, że gdyby Braun zaczął nagle wyzłośliwiać się nad propagandą Putina, głosząc tezy o 180 stopni przeciwne do poprzednich, większość jego publiki nie przestałaby go chwalić. Gorzej, w ogóle nie zauważyłaby, że zmienił poglądy. On jest fajny, bo mówi o Yodzie, „Gwiezdnych Wojnach" i wypowiada swoje „Szczęść Boże", chociaż bardziej pasowałoby „Boże, cara chrani".**

Nie, to przypomina działania Lecha Wałęsy z 1980 roku, w spektakularny sposób katolickie. W przypadku Wałęsy miało się wbić w świadomość społeczną: to jest przywódca katolicki z Matką Boską w klapie. I to jest bardzo podobne w przypadku pana, o którym mowa.

▶ **Wspomniany Włodzimierz Bączkowski napisał przed wojną o przyczynach naszej słabości: „Brak poczucia historyzmu powoduje, iż gotowi jesteśmy walczyć obłędnie na wszystkie fronty lub przerażeni ogromem tej walki złożyć ręce i rozpaczliwie szukać obrony u obcych. Walczyć z Zachodem i Wschodem naraz, z wpływami Watykanu i z imperializmem Moskwy [...]. To znamienne równoważenie dwóch zjawisk, małych i odległych, bliskich i groźnych, pokrewnych i biegunowo odmiennych, posłużyć może za najlepszą miarę naszego duchowego przesunięcia się w kierunku wschodnim, dokonanego w wiekach upadku. To duchowe kalectwo Polski". Przecież to jest o tym, co dziś stanowi pole dla Konfederacji.**

To słowa niestety w dużym stopniu prawdziwe. Ale antidotum na to znajdowała właśnie myśl narodowa, którą tworzyli Balicki, Popławski czy Dmowski, oraz ludzie z obozu piłsudczykowskiego, jak choćby Kazimierz Sosnkowski. Warto pamiętać, że my już dziś nie musimy patrzeć na polską politykę w kategoriach sporu piłsudczyków z dmowszczykami. Musimy patrzeć na nią w kategoriach: patriotyzm i antypatriotyzm, polskość i obcość, budowa wielkiej siły polskiej kontra ci, którzy myślą o Polsce jako kraju, który musi być zależny, musi się podporządkować imperium niemieckiemu albo rosyjskiemu. Mamy unikalną szansę, by zbudować niepodległą Polskę, i sięgajmy do tej myśli, która zaczyna się od Chrobrego, która miecz Chrobrego traktuje jako swój punkt odniesienia i swój symbol. To trafny symbol w budowie nie tylko siły militarnej, lecz także państwowej, i siły duchowej poprzez chrześcijaństwo. To chrześcijaństwo, którego dzisiaj trzeba bronić, bo jest zewsząd atakowane – niszczone zarówno przez Wschód, jak i Zachód. A w nim jest nasza wielka siła, skupiona dziś w obozie patriotycznym. ■

Wywiad jest zapisem rozmowy z programu „Wywiad z chuliganem" w TV Republika.

eprasa.pl 3197b25434

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 37625434

Małgorzata Matuszak

SEKSTING

NIEBEZPIECZNA ZABAWA

eprasa.pl 3197b25434

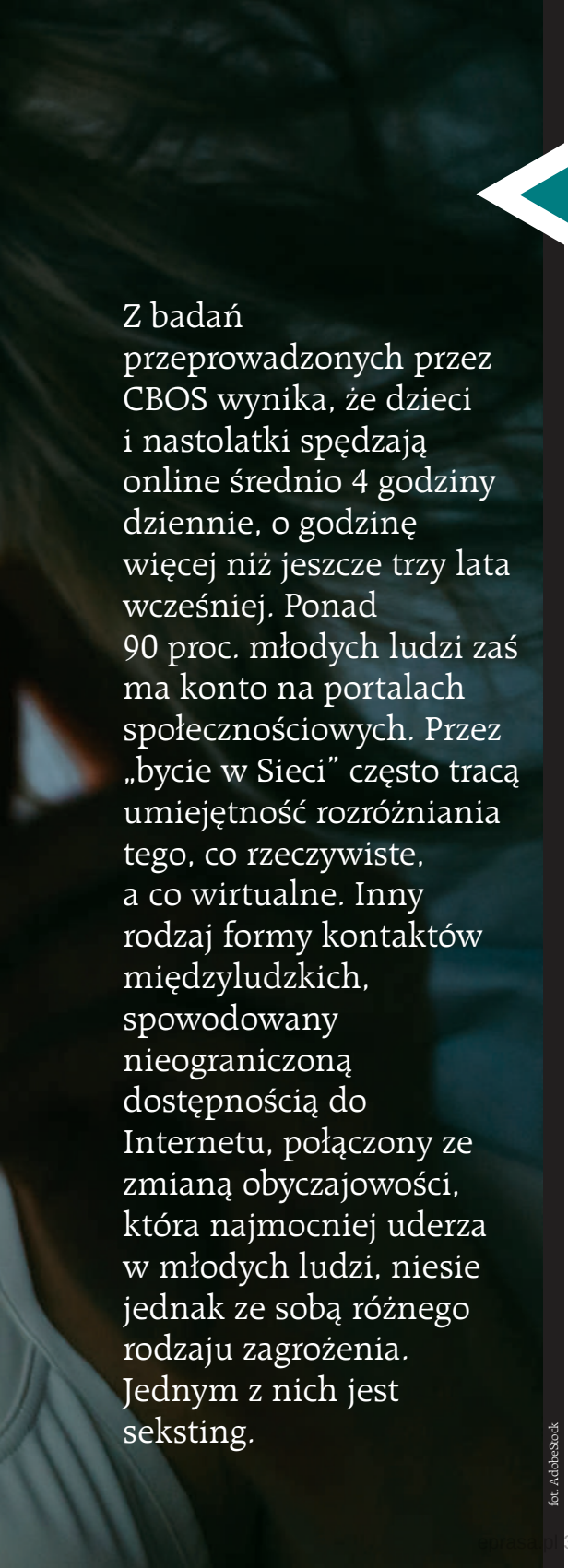

Z badań przeprowadzonych przez CBOS wynika, że dzieci i nastolatki spędzają online średnio 4 godziny dziennie, o godzinę więcej niż jeszcze trzy lata wcześniej. Ponad 90 proc. młodych ludzi zaś ma konto na portalach społecznościowych. Przez „bycie w Sieci" często tracą umiejętność rozróżniania tego, co rzeczywiste, a co wirtualne. Inny rodzaj formy kontaktów międzyludzkich, spowodowany nieograniczoną dostępnością do Internetu, połączony ze zmianą obyczajowości, która najmocniej uderza w młodych ludzi, niesie jednak ze sobą różnego rodzaju zagrożenia. Jednym z nich jest seksting.

fot. AdobeStock

Seksting (ang. sexting) to zjawisko polegające na przesyłaniu do innych osób za pomocą Internetu i nowoczesnych technologii komunikacyjnych swoich zdjęć, filmów bądź wiadomości o seksualnym charakterze. Sam termin powstał z połączenia słów „sex" i „textig" i początkowo odnosił się tylko do erotycznych wiadomości SMS, wraz z rozwojem technologii został zaś rozszerzony o inne komunikatory, aplikacje i narzędzia, które umożliwiają wysyłanie plików multimedialnych. Kilkanaście lat temu seksting pojawiał się głównie między osobami będącymi w związkach, dorosłymi, jako jeden z przejawów aktywności seksualnej ludzi będących w stałych związkach oraz jako niezależny, bezpieczny – przynajmniej w założeniu – aspekt praktyki seksualnej, dodający jej pikanterii bądź zastępujący bezpośredni kontakt fizyczny.

Dzisiaj seksting staje się zjawiskiem modnym wśród osób nastoletnich. One też najczęściej ponoszą jego konsekwencje. Wysyłanie półnagich czy nagich zdjęć, intymnych i erotycznych treści zaczęło być traktowane jako normalna, codzienna aktywność w Sieci, a nie coś bulwersującego czy zaskakującego. Materiały tego typu rozsyłane są też do różnych osób, niekiedy nawet świeżo przez ich autora poznanych. Zespół Dyżurnet.pl, zajmujący się przyjmowaniem zgłoszeń nielegalnych treści w Internecie, szczególnie tych związanych z seksualnym wykorzystywaniem dzieci, w swym ostatnim raporcie zwraca uwagę na to, że w ostatnim czasie zwiększyła się liczba tego typu materiałów, które prawdopodobnie zostały wyprodukowane samodzielnie przez osoby na nich występujące. Jeszcze bardziej niepokoi fakt, iż coraz częściej występują w nich dzieci i młodzież poniżej 13. roku życia, i to, że treści te często są powszechnie dostępie.

Oprócz materiałów o charakterze stricte sekstingowym, które zostały przekazane do kogoś, a następnie rozpowszechnione bez zgody i wiedzy ofiary, obecne w Internecie są także treści powstałe w wyniku: child groomingu (działania podejmowanego przy użyciu Internetu celem zaprzyjaźnienia się z dzieckiem, tak aby zmniejszyć jego opory i później je seksualnie wykorzystać), sekstortion (zjawiska polegającego na wykorzystaniu materiałów o charakterze erotycznym do szantażu i wyłudzeń, na przykład pieniędzy lub zgody na seks) lub innej aktywności osób trzecich. Częste są tzw. screenshoty (zrzuty ekranu) zrobione podczas pokazu online, a następnie rozpowszechnione i opublikowane na różnego rodzaju stronach internetowych. Treści te mogą być również skutkami sekstingu.

Skala zjawiska

O skali zjawiska sekstingu mogą świadczyć badania przeprowadzane na świecie, a także, od ja-

epraso.pl 3197b25434

kiegoś już czasu, w Polsce. Badanie „Seksting wśród polskiej młodzieży", zrealizowane we wrześniu 2014 roku przez Fundację Dzieci Niczyje, przyniosło jedne z pierwszych podstawowych danych ilościowych o skali zjawiska wśród polskich nastolatków w wieku 15–19 lat. Najważniejsze ustalenia badawcze z nich wypływające można podsumować następująco: (1) Ponad połowa badanych (55 proc.) deklaruje, że „nikt z ich znajomych" nie wysyła takich materiałów; 45 proc. deklaruje, że przynajmniej niektórzy ich znajomi tak robią; (2) Nieco ponad jedna trzecia respondentów (34 proc.) deklaruje, że choć raz w życiu otrzymała wiadomość tego typu. Odsetek ten jest większy wśród chłopców; (3) Nadawcami takich wiadomości najczęściej byli znajomi, a najpopularniejszym motywem „podrywanie" czy próba zwrócenia na siebie uwagi; (4) W znaczącym procencie przypadków nadawcami były także zupełnie obce osoby; (5) Co dziewiąty nastolatek (11 proc.) deklaruje, że sam wysłał taką wiadomość ze swoim zdjęciem bądź filmem. Odsetek ten był wyższy wśród dziewcząt; (6) Odbiorcami wiadomości byli najczęściej chłopak/dziewczyna respondenta i były one wysyłane przede wszystkim w ramach flirtu w związku; (7) Tylko 1 proc. osób spośród tych, którzy wysłali zdjęcia, zadeklarowało, że spotkało je z tego powodu coś przykrego.

Z nowszego badania „Nastolatki 3.0" przeprowadzonego przez Państwowy Instytut Badawczy NASK, którego wyniki opublikowano niedawno, wynika, że aż 42 proc. młodych ludzi w wieku 15–18 lat zadeklarowało, że otrzymało kiedyś nagie, intymne materiały, a 13 proc. przyznało, że wysłało swoje nagie zdjęcia/filmy innej osobie. Z danych tych wynika, że skala zjawiska sekstingu wśród polskich nastolatków się powiększa. Dzieci i młodzież nie tylko coraz częściej rozbierają się do zdjęć czy filmów, lecz także podejmują odważne akty seksualne, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, jakie może mieć to konsekwencje, gdzie i do kogo mogą one trafić i w jaki sposób mogą zostać wykorzystane.

Dlaczego to robią?

Młodzi ludzie przesyłają sobie materiały o zabarwieniu erotycznym z różnych przyczyn. Sami najczęściej deklarują, że robią czy zrobili to przede wszystkim dla zabawy, z powodu chęci rozrywki, doświadczenia czegoś nowego, ekscytującego. Bo chciałam/chciałem zaistnieć w Sieci, by mnie ktoś zauważył. Bo prosił mnie o to chłopak – tak często mówią dziewczyny. Przesyłają więc mu swoje zdjęcia, które on rozpowszechnia wśród osób z klasy czy szkoły. Nagle okazuje się, że coś, co miało być przeznaczone tylko dla tego wybranego i jedynego, stało się dostępne dla wszystkich. Albo ktoś chce się pochwalić swoim ciałem, efektami diety czy treningu, nowym, niewiele zakrywającym ubraniem, umieszcza więc na profilach społecznościowych swoje zdjęcia, nie zdając sobie do końca sprawy, że trafiają one nie tylko do tych, dla których były przeznaczone.

Bardzo istotny wpływ na zjawisko sekstingu ma także wszechobecna seksualizacja. Młodzi ludzie są cały czas bombardowani erotyką, runęły mury intymności. Kult ciała, seksualność, prezentowanie siebie w odważnych pozach, roznegliżowanie – z tym młodzież spotyka się na co dzień. Jeśli nastolatek widzi, że jakiś celebryta czy jego idol zbudował swoją karierę na prowokacyjnych zachowaniach i wizerunku przesyconym seksualnością, pragnie go naśladować. Młodzi ludzie czują się w takim świecie zagubieni, a nie mając w sobie wyraźnie wbudowanego systemu wartości, wiedzy o tym, co można, a czego nie powinno się robić, łatwo ulegają wpływom innych.

Na seksualizację dzisiejszej młodzieży wielki wpływ ma także łatwy i powszechny dostęp do pornografii. Jak pokazują badania przeprowadzone przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę w 2017 roku na grupie 3943 uczniów w wieku 11–18 lat, aż 43 proc. dzieci i młodzieży w Polsce miało kiedykolwiek kontakt z treściami pornograficznymi lub seksualizującymi. Najczęściej miało to miejsce w Internecie (92 proc.), z którym łączyli się za pośrednictwem swojego telefonu komórkowego (79 proc.).

OFIARY SEKSTINGU SPOTYKAJĄ SIĘ NAJCZĘŚCIEJ Z OLBRZYMIM HEJTEM, CZUJĄ SIĘ ZAŻENOWANE I UPOKORZONE. PRZYTŁACZA JE WSTYD I POCZUCIE WINY. STĄD JUŻ TYLKO KROK DO TRAGEDII. PRZEŚLADOWANIA, AKTY NIENAWIŚCI, DEPRESJA, A NAWET SAMOBÓJSTWO – HISTORIE OFIAR SEKSTINGU PRZERAŻAJĄ, ALE TEŻ SKŁANIAJĄ DO REFLEKSJI.

eprasa.pl 3197b25434

Podkreślić trzeba to, że 31 proc. badanych poszukiwało tych treści celowo, a 60 proc. uczniów widziało materiały przedstawiające stosunek seksualny. Według tego badania osoby, które miały kontakt z pornografią, trzy razy częściej zaś otrzymują oraz pięć razy częściej wysyłają nagie lub prawie nagie zdjęcia.

Nieprzewidziane skutki

W raporcie o sekstingu opracowanym przez Dyżurnet.pl i NASK możemy przeczytać taką opinię ekspertów: „W Sieci często publikowane są materiały, na których dzieci lub nastolatki rozbierają się, przyjmują erotyczne pozy, naśladują ruchy charakterystyczne dla różnych czynności seksualnych. Mimo że osoby występujące na nich nie chciały zrobić nic złego, ich zabawy mogą przyczynić się do powstawania nielegalnych treści, z których mogą korzystać osoby o skłonnościach pedofilskich. Niestety zdarza się, że pod wpływem nacisku ze strony społeczności danego portalu młodzi ludzie decydują się na pokazanie swoich intymnych części ciała, a w niektórych przypadkach na podjęcie różnych czynności seksualnych".

Sekstingu może być wstępem do cyberprzemocy. Coraz częściej mówi się dziś chociażby o zjawisku „revenge porn", czyli „pornografii z zemsty", polegającym na rozsyłaniu erotycznych lub pornograficznych treści z byłym partnerem lub partnerką. Dotyka to także młodych ludzi, w szczególności w społeczności szkolnej. Nastolatkowie działają impulsywnie, często pod wpływem chwili, mocnych emocji. Robią rzeczy, których później żałują. Dla dziewczyny, której intymne zdjęcia zobaczyła cała jej szkoła, może być to – i najczęściej jest – sytuacja, z którą nie będzie w stanie sobie poradzić. Ofiary sekstingu spotykają się najczęściej z olbrzymim hejtem, czują się zażenowane i upokorzone. Przytłacza je wstyd i poczucie winy. Stąd już tylko krok do tragedii. Prześladowania, akty nienawiści, depresja, a nawet samobójstwo – historie ofiar sekstingu przerażają, ale też skłaniają do refleksji.

Jedną z najbardziej znanych na świecie ofiar sekstingu jest kanadyjska uczennica Amanda Todd. Kiedy dziewczyna miała niespełna 16 lat, poznała na wideoczacie mężczyznę, który namówił ją do pokazania przed kamerą piersi, a później szantażował i prześladował – grożąc upublicznieniem jej nagich zdjęć, domagał się kolejnych pokazów. Kiedy zdjęcia trafiły do Sieci, Amanda stała się obiektem drwin ze strony rówieśników. Przeszła załamanie nerwowe i depresję. Przeprowadziła się, zmieniła szkołę, ale nie potrafiła odciąć się od tego, co się wydarzyło. Kiedy ktoś na Facebooku założył jej fałszywe konto ilustrowane jej nagą fotografią, podjęła próbę samobójczą. Później opublikowała na YouTube dramatyczny film, w którym opisała swoją historię, on jednak jeszcze nasilił falę nienawiści pod jej adresem. Po miesiącu odebrała sobie życie. Film Amandy wciąż jest na YouTube i za zgodą rodziny jest wykorzystywany w akcjach na rzecz przeciwdziałania przemocy w Sieci.

Z NOWSZEGO BADANIA „NASTOLATKI 3.0" WYNIKA, ŻE AŻ 42 PROC. MŁODYCH LUDZI W WIEKU 15–18 LAT ZADEKLAROWAŁO, ŻE OTRZYMAŁO KIEDYŚ NAGIE, INTYMNE MATERIAŁY, A 13 PROC. PRZYZNAŁO, ŻE WYSŁAŁO SWOJE NAGIE ZDJĘCIA/FILMY INNEJ OSOBIE. Z DANYCH TYCH WYNIKA, ŻE SKALA SEKSTINGU WŚRÓD POLSKICH NASTOLATKÓW SIĘ POWIĘKSZA.

Przede wszystkim: chronić

Zjawisku sekstingu znacznie łatwiej przeciwdziałać, niż usuwać jego skutki. Przede wszystkim młodzi ludzie muszą wiedzieć, że internet nie zapomina. Tymczasem lekceważą fakt, że to, co zostanie umieszczone w Sieci, już z niej nie zniknie, że po naciśnięciu przycisku „wyślij" stracą kontrolę nad tym, co wysyłają.

W przeciwdziałaniu zjawisku seksingu wielką rolę odgrywają szkoła i dostawcy usług internetowych, a przede wszystkim – rodzice. Warto mieć pieczę nad tym, co dzieci i młodzież robią w internecie, z jakimi treściami się stykają. Tymczasem z badań przeprowadzonych przez Fundację Dbam o Mój Z@sięg wynika, że rodzice około 10 proc. młodzieży kompletnie niczym się nie interesują w kontekście świata cyfrowego, a ponad 60 proc. nigdy nie uczyło dzieci odpowiedzialnego korzystania z Sieci. Najważniejsze jednak, by dziecku wpajać właściwy system wartości, by znało granicę między dobrem i złem. Musimy z dziećmi rozmawiać, także o tym co trudne. ■

eprasa.pl 3197b25434

Wespazjan Wielohorski

Spojrzenie na Polskę oczyma przybysza z zewnątrz, wyznawcy innej religii, wychowanego w odmiennym kręgu kulturowym stało się w ostatnich latach łatwiejsze dzięki coraz popularniejszym internetowym vlogom. Przy czym nie chodzi tu o powierzchowne relacje turystów, lecz o refleksje osób, które w naszym kraju pracują, uczą się lub wiążą z nim plany na przyszłość.

WELCOME TO POLAND

Nie powinno dziwić, że wśród vlogerów (od słowa „vlog", czyli wideoblogu – cyklicznie publikowanego w internecie krótkiego filmu kręconego przy pomocy kamery cyfrowej lub smartfona) opowiadających o Polsce przeważają Ukraińcy, których – biorąc pod uwagę imigrację zarobkową – jest w naszym kraju najwięcej. Według danych ZUS pracujących legalnie obcokrajowców (opłacających składki emerytalne i rentowe) było w zeszłym roku ponad 628 tys., z czego 468 tys. stanowili obywatele Ukrainy. Na drugim miejscu, lecz daleko w tyle, uplasowali się Białorusini (niespełna 38 tys.), a kolejne miejsca w rankingu (poniżej 10 tys,) zajęli obywatele Gruzji, Mołdawii, Rosji, Wietnamu i Indii.

Poradniki dla rodaków

W Sieci znajdziemy różne rodzaje imigranckich vlogów. Część z nich są internetowe poradniki dla rodaków zawierające informacje o poszukiwaniu pracy, wynajmie mieszkania, transporcie publicznym czy zakupie samochodu w Polsce. Popularnością cieszą się też filmy z gatunku „co można kupić za 5 dolarów w Kijowie i w Warszawie", porównujące ceny i jakość podobnych produktów w supermarketach . Vlogerki wrzucają filmiki z wyprzedaży w polskich centrach handlowych czy polowań na markowe stroje czy kosmetyki.

Jednak zdarzają się też interesujące z polskiego punktu widzenia, prowadzone przez kilka lat videopamiętniki, będące często zapisem historii emigracji od momentu decyzji o wyjeździe do chwili obecnej, zawierające ciekawe, a czasem zaskakujące obserwacje.

Obok filmów wrzucanych do Sieci przez typowych gastarbajterów czy studentów można znaleźć vlogi rodzin przyjeżdżających do Polski z zamiarem osiedlenia się na stałe. Często autorzy (a najczęściej autorki, bo tego rodzaju diariusze przeważnie prowadzą kobiety) podkreślają, że chcą zapewnić lepszą przyszłość swoim dzieciom.

Oczywiście w filmikach młodych matek przeważają tematy odnoszące się do dzieci – place zabaw, parki, przygody ich pociech, pierwsze dni w polskim przedszkolu czy szkole itp. Czasami nieco starsze dzieci opowiadają o różnicach między szkołą polską a ukraińską.

Irina – imigrantka z Białorusi – zamieszcza filmik z wizyty w dziecięcym centrum zabaw (batuty, zjeżdżalnie, baseny z piłkami), gdzie jej dwuletni synek wyszalał się do woli. Innym razem pokazuje park z huśtawkami, gdzie filmuje stolik do przewijania: „Pierwszy raz widzę coś takiego" – padają słowa. Generalnie udogodnienia dla mam z małymi dziećmi (w transporcie, instytucjach, przestrzeni miejskiej) i podejście do dzieci w Polsce wzbudzają entuzjazm vlogerek. „Tu mogę swobodnie korzystać z miejskich autobusów. Wyobrażam sobie wejście z wózkiem do marszrutki [mikrobusu, który w krajach postsowieckich pełni rolę transportu miejskiego – przyp. aut.] – tam to niewykonalne!" – mówi jedna z mam.

To nie przypadek – szkoła i świątynia

Walery, który cztery lata temu przyjechał do Polski z Charkowa, jest jednym z ciekawszych ukraińskich vlogerów. Ten były przedsiębiorca, obecnie pracujący w fabryce części samochodowych, oprócz materiałów pełnych praktycznych rad skierowanych do rodaków pracujących w Polsce czy rozważających przyjazd, zamieszcza w Sieci filmiki, w których snuje ogólne refleksje na temat obydwu krajów i ich rozwoju. Myślą przewodnią tych rozważań jest próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego Polsce startującej w 1990 roku z podobnego poziomu jak Ukraina udało się zbudować solidne europejskie państwo z prężną gospodarką i dobrą infrastrukturą, a Ukrainie (Rosji, Białorusi) to nie wyszło.

Walery twierdzi, że istotną rolę odgrywają tu przywiązanie do wiary i patriotyzm, zarówno jeśli chodzi o państwo, jak i społeczności lokalne. To powoduje, że Polacy nie tolerują nieuczciwości i odsuwają od władzy skorumpowanych polityków, a pieniądze, którymi dysponują władze, nie są rozkradane.

„Jednym z elementów decydującym o pomyślności kraju jest sposób, w jaki wychowuje się dzieci. Jeśli dzieci wychowuje się bez szkodliwych przyzwyczajeń i jeśli szkoła stoi obok Kościoła [w kadrze widać budynek szkoły, boisko i kościelną wieżę – przyp. aut.], to wszystko jest jasne, bo dziecko ucząc się w szkole, patrzy na duchowość. Patrzy i rozumie, że to część jego kultury, że jest coś, co jest wyższe, i coś, co zabronione. Że rzeczywiście jest coś, co ludzkie i święte. Jeśli w państwie tego nie ma, jest ono skazane na upadek. W Polsce dbają o sumienia swoich dzieci. Dlatego, że [Polacy] już zbudowali swoją teraźniejszość. A ich przyszłość będą budować te dzieci, które uczą się w tej szkole. Naturalnie kraj będzie się rozwijać bez względu na opinie sąsiadów. Polskę oskarżają, że rozwinęła się, bo były tu włożone kolosalne środki [chodzi o tego rodzaju komentarze pod vlogiem autora]. Przyjaciele, środki powierza się tym ludziom, którzy będą nimi prawidłowo dysponować, którzy mają pojęcie o finansach i dla których istnieje coś świętego, czyli rozumieją, czym jest dobro i zło – rozumieją od dziecka. To nie przypadek – szkoła i świątynia". Walery snując rozważania o walce z korupcją, infrastrukturze czy transporcie, zachęca rodaków, by zamiast zazdrościć Polakom, zastanowili się, jak wprowadzić podobne rozwiązania na Ukrainie.

fot. Adobe Stock

eprasa.pl 3197b25434

Ceniony przez imigrantów rosyjskojęzyczny vloger Maks zauważa ciekawy trend – w ostatnim czasie wzrosła liczba Rosjan odwiedzających jego kanał (poświęcony głównie pracy i życiu w Polsce). O ile wcześniej wśród setek Ukraińców pojawiało się ledwie kilka osób z Rosji, to teraz internauci z tego kraju stanowią około 20 proc. zainteresowanych tematyką emigracji zarobkowej do Polski. Jak zauważa, nawet nieźle zarabiający Rosjanie prowadzący własne firmy wobec niepewnego jutra, korupcji i często zmieniających się reguł prowadzenia biznesu rozważają wyjazd z Rosji i zaczynają postrzegać Polskę jako kraj docelowy lub pierwszy etap przed dalszą emigracją na przykład do Kanady czy USA. Swój materiał zatytułował: „Rosjanie uciekają do Polski w 2019. Co ma do tego Putin?" (w oryginale brzmi to bardziej dosadnie).

Zwierzenia nietypowego Irańczyka

Wśród materiałów mniej typowych wyróżnić można polskojęzyczny vlog prowadzony przez bardzo nietypowego Irańczyka. Muhammad, przedstawiający się swoim polskim znajomym jako Michał, w ciągu trzech lat pobytu w naszym kraju zdążył się nieco spolonizować. Całkiem dobrze radzi sobie z naszym językiem, lubi schabowego (!) z mizerią i mocno zakrapiane (!) imprezy (ze szczególnym uwzględnieniem polskich wesel).

Jeden ze swoich filmów zapowiada intrygującą frazą: „Moja Mama Iranka pierwszy raz ściąga hidżab w Polsce". Spacerując po Krakowskim Przedmieściu w letniej sukience, mama Michała z zachwytem mówi o tym, jak pierwszy raz chodząc po ulicy, czuje wiatr we włosach. Szczególne zainteresowanie internautów wzbudził kolejny materiał zatytułowany „Muzułmanka pierwszy raz w kościele" (kilka ujęć przedstawiających zwiedzanie poznańskiej katedry oraz zdjęcia przy pomniku Jana Pawła II).

Takich ciekawostek jest więcej. W jednym z wcześniejszych filmów Michał przeprowadza wywiad ze swoim pochodzącym z Iranu kolegą, który dopiero po przeprowadzce do Polski mógł popływać w basenie ze swoją żoną, jako że w jego ojczyźnie kobiety i mężczyźni korzystają z pływalni oddzielnie i nie ma wyjątków nawet dla małżeństw.

Inny wyjątkowy bloger to Ignacy z Japonii, czyli Iwata Kohei – student anglistyki, który najpierw sam nauczył się podstaw polskiego (początkowo chodziło o tłumaczenie tekstów jednego z polskich zespołów rockowych), a później wybrał się do Polski na 10-miesięczny kurs językowy. Nienaganne gramatycznie wypowiedzi stuprocentowego Japończyka wzbudzają podziw polskich internautów. Ignacy opowiada zarówno o kulturze Japonii, jak i o wrażeniach z wyjazdów do Polski. Czasem wrzuca do Sieci materiały w rodzaju: „Co piszą w japońskim internecie na temat Polski?". Jak zapowiada, po skończeniu studiów w Japonii zamierza poszukać pracy w Polsce. ■

W Sieci znajdziemy różne rodzaje imigranckich vlogów. Część z nich są internetowe poradniki dla rodaków zawierające informacje o poszukiwaniu pracy, wynajmie mieszkania, transporcie publicznym czy zakupie samochodu w Polsce.

Okiem przybyszów z Dalekiego Wschodu

Wśród vlogów skierowanych do osób zainteresowanych przyjazdem do pracy w Polsce są też te prowadzone przez internautów pochodzących z Indii, Nepalu czy Filipin. Tematami filmów są przede wszystkim rady dotyczące załatwiania formalności wizowych, poszukiwania pracy czy warunków życia w Polsce (trafiają się także minireportaże pokazujące na przykład świętowanie Nowego Roku). Filipińczyk Olly Louie Castillo przeprowadza wywiady z pracującymi w Polsce rodakami, którzy opowiadają o codziennym życiu, zarobkach czy kosztach wynajmu mieszkań. Ale są też kadry z Wigilii czy reportaż pokazujący, jak wyglądają polskie cmentarze w dniu Wszystkich Świętych. Generalnie można odnieść wrażenie, że katoliccy Filipińczycy całkiem dobrze się w naszym kraju integrują.

Swoje filmy o życiu i pracy w Polsce zamieszczają też pochodzący z Indii Paritosh i Nepalczyk Prawesh. Materiał dotyczący polskich wiz pracowniczych dla Nepalczyków miał ponad 30 tys. wyświetleń i kilkaset komentarzy. Widać, że wielu mieszkańców tego położonego u stóp Himalajów państwa jest zainteresowanych Polską jako krajem, z którym chętnie związaliby swoją przyszłość. Dla porównania film „Poland Visa for Indians – India to Poland" obejrzało ponad 260 tys. internautów!

eprasa.pl 3197b25434

Małgorzata Matuszak

Czym jest... życzliwość

Współczesne słowniki języka polskiego definiują życzliwość jako „cechę kogoś, kto lubi innych ludzi, chce ich dobra i gotów jest działać w tym celu, aby działo im się dobrze". To „sprzyjanie komuś, przychylność". Rzeczownik „życzliwość" wywodzi się od przymiotnika „życzliwy", czyli „dobrze komuś życzący, przyjaźnie usposobiony, przychylny". Za człowieka życzliwego uznamy tego, kto odnosi się do nas z sympatią, sprzyja nam, jest gotów nam pomóc i cieszyć się z naszych sukcesów. „Życzliwy" i „życzliwość" wywodzą się od słowa „życzyć", które kiedyś znaczyło „radzić coś komuś życzliwie", a dzisiaj „pragnąć, chcieć czegoś dla kogoś lub dla siebie" i najczęściej są to pragnienia dobre.

Słowem „życzliwość" tłumaczymy łaciński termin „benevolentia", będący złożeniem słów „bene" i „volens", oznaczające „dobrowolnie życzyć komuś dobrze" i dobrze czynić. Jest to zatem takie usposobienie woli, które ma na celu dobro i szczęście każdego człowieka. Życzliwość odrywa się od interesowności – jest bezinteresowna. Bycie życzliwym to nie jednorazowy akt, lecz postawa życiowa. To coś więcej niż bycie dla kogoś miłym – to filozofia życia. Życzliwość cechuje ludzi, którym zależy na dobrostanie innych, dlatego wyróżniają się dobrą wolą i gotowością do niesienia pomocy. To ich wewnętrzna, naturalna postawa, która przejawia się na kilku płaszczyznach: mentalnej, werbalnej i niewerbalnej, a także aktywnościowej. Na życzliwość, według psychologów, składają się: (1) empatia, (2) współczucie wobec samego siebie, (3) zdolność do troskliwego dbania o siebie, (4) uważność i (5) wdzięczność.

Dla Roberta Spaemanna życzliwość jest podstawowym pojęciem etyki, która pozwala – jego zdaniem – na przezwyciężenie opozycji między eudajmonizmem, czyli stanowiskiem, które w dążeniu do szczęścia upatruje podstawowe kryterium wartości moralnej, i uniwersalistyczną etyką powinności. Życzliwość staje się w ten sposób fundamentem zarówno spełnionego życia, jak i moralnej powinności. Życzliwość, polegającą na uznaniu rzeczywistości drugiego na równi z rzeczywistością własnego „ja", postrzega Spaemann jako podstawową postać stosunku człowieka do świata, do siebie, do drugiego i do Boga. W książce „Szczęście a życzliwość" pisze: „Człowiek jest miejscem objawiania się bytu. Bezwarunkowy szacunek dla człowieka jest równoznaczny z afirmacją rzeczywistości. [...] Byt jest tym, co objawia się jedynie życzliwości. To objawianie się poprzedza wszelką powinność. Jest tym, co dane, i jako takie leży u podstaw wszelkiego zadania. Życzliwość jest darem dla samego człowieka życzliwego. Jest eudajmonią, spełnieniem życia". Życzliwością nazywamy bycie ku temu, co jest dobrem, co spełnia człowieka.

Życzliwość to afirmacja bytu. Tyko człowiek pobudzony do rzeczywistości jest zdolny do spełnienia swojego życia, ponieważ siebie i innych zdolni jesteśmy odkryć jedynie w horyzoncie bytu. Stąd też działanie moralne nie jest samą życzliwością, lecz jej wyrazem.

PRZYJAZNE NASTAWIENIE, ŻYCZLIWA TROSKA O SIEBIE I INNYCH SĄ TYM, CO CZYNI NASZE ŻYCIE LEPSZYM, PEŁNIEJSZYM, SENSOWNYM. SPRAWIA, ŻE CZUJEMY SIĘ DOBRZE ZE SOBĄ I Z INNYMI.

Z zasady życzliwości nie wynika, co należy czynić, jednak – z drugiej strony – bezwarunkowy charakter życzliwości nazywa Spaemann doświadczeniem moralnym. Życzliwość kategoralizuje się zaś i hierarchizuje poprzez „ordo amoris", porządek miłości.

W dzisiejszym świecie, w którym często doświadczamy obojętności przybierającej różne formy, temat życzliwości staje się niezwykle aktualny i wymagający nieustannego podejmowania, nie tylko w życiu religijnym i duchowym, lecz także ogólnospołecznym. Dlatego wezwanie „Życzliwymi bądźmy" stało się hasłem tegorocznego Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan, podczas którego rozważany był tekst zaczerpnięty z Dziejów Apostolskich 27,18–28,10.

Życzliwość to bezinteresowny dar, którym możemy darzyć inne osoby. Posiada wielką moc. Henryk Elzenberg pisał: „Należy w imię wielkiej miłości praktykować drobną życzliwość". Przyjazne nastawienie, życzliwa troska o siebie i innych są tym, co czyni nasze życie lepszym, pełniejszym, sensownym. Sprawia, że czujemy się dobrze ze sobą i z innymi. ■

eprasa.pl 3197b25434

Jak hetman w ornacie zatrzymał bolszewicką szarańczę

Piotr Lisiewicz

„Nie martwcie się. Bóg i Matka Boska Częstochowska, Królowa Korony Polskiej, nie opuści nas i ześle nam człowieka, jak ksiądz Kordecki, jak Joanna d'Arc we Francji. Człowiek ten stanie na czele armii, doda odwagi i nastąpi zwycięstwo. Bliskim jest ten dzień. Nie minie dzień 15 sierpnia, dzień Matki Boskiej Zielnej, a wróg będzie pobity" – mówił proroczo ksiądz Ignacy Skorupka w dniu swoich 27. urodzin oraz imienin Ignacego 31 lipca 1920 roku. Cenzura PRL zakazywała publikacji o księdzu Skorupce „ze względu na skojarzenia religijne niezgodne z duchem ustroju". W tym roku minie 100. rocznica jego bohaterskiej śmierci.

fot. Raczyński/arch

W chwilę po tym, jak zginął, bolszewicy obrabowali go z krzyża, butów i zegarka. A zaraz potem zaczęła się ich klęska. „Chwila śmierci ks. Skorupki jest punktem zwrotnym w bitwie pod Ossowem w dziejach wojny 1920 r. Do tej chwili Polacy uciekali przed bolszewikami, odtąd uciekali bolszewicy przed Polakami. Nie dla innych przyczyn, ale dlatego właśnie cały naród czci ks. Skorupkę, jako bohatera narodowego" – pisał kardynał Aleksander Kakowski, prymas Polski.

Czy w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej wróci sprawa jego beatyfikacji? W każdym razie odprawiane są msze w tej intencji, także z udziałem hierarchów. „Był on kapłanem niewygodnym, walczył z bolszewikami, dlatego w czasie komuny nie było o nim głośno. Ksiądz Ignacy wraz z księdzem Popiełuszką spinają dwiema klamrami czas prześladowania Kościoła w XX wieku przez komunę" – mówił po jednej z nich Radiu Maryja ks. Michał Misiak, wikariusz parafii Przemienienia Pańskiego w Łodzi.

„Bohaterscy duchowni w końcu od początku naszych dziejów towarzyszą walczącym w obronie wiary i ojczyzny. Do tego tak jak z symbolem ks. Popiełuszki, tak i z symbolem ks. Skorupki usilnie walczyli komuniści. Pamięć o nim została przez nich zniszczona tak jak pomnik pod Ossowem, który upamiętniał jego śmierć" – stwierdził w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" historyk Janusz Kotański.

► „Za Boga i Ojczyznę!" lub „Bij czerwoną zarazę"

„Za Boga i Ojczyznę!" – tym okrzykiem ks. Ignacy Skorupka porwać miał do ataku wycofujących się żołnierzy. Według innej wersji miał krzyknąć po prostu: „Bij czerwoną zarazę!". Ci żołnierze byli nietypowi – ks. Skorupka był kapelanem Legii Akademickiej, czyli I Batalionu 236. Ochotniczego Pułku Piechoty im. Weteranów 1863 roku. Byli to głównie gimnazjaliści i studenci, nie zawsze doświadczeni w boju.

Kardynał Kakowski, który po bitwie zbierał relacje u rannych pod Ossowem, pisał: „W bitwie pod Ossowem młodociany żołnierz nie wytrzymał ataku i zaczął się cofać. Cofali się oficerowie i dowódca pułku. Wtedy ks. Skorupka zebrał koło siebie kilkunastu chłopców i z nimi poszedł naprzód. Widząc cofającego się dowódcę pułku, krzyknął do niego: »Panie pułkowniku, naprzód!«. »A ksiądz?« – zapytał pułkownik... Poszli naprzód. Wielu poległo; padł rażony granatem i ks. Skorupka".

Obraz księdza trzymającego wysoko krzyż naprzeciw bolszewickich hord do dziś porusza wyobraźnię. Tak utrwalił go malarz Jerzy Kossak, autor obrazów „Śmierć ks. Ignacego Skorupki" oraz „Cud nad Wisłą". To tą sceną zainspirował się 15-latek Jakub Baryła, który

eprasa.pl 5997b25434

trzymając uniesiony krzyż, próbował zatrzymać „marsz równości" w Płocku w sierpniu 2019 roku. Dodajmy, że według innej z wersji ks. Skorupka zginął w chwili, gdy udzielał rannemu ostatniego namaszczenia.

Bolszewicy widzieli księdza z krzyżem, a nad nim Matkę Boską

Wieść o bohaterskiej śmierci księdza rozeszła się lotem błyskawicy. Na warszawskich ulicach rozlepiano ulotki opisujące jego bohaterstwo i zagrzewające do walki. Został on natychmiast odznaczony przez Józefa Piłsudskiego pośmiertnie orderem Virtuti Militari. Nastroje w dniu pogrzebu księdza tak opisywał „Tygodnik Ilustrowany": „Kapłan – obywatel – nauczyciel, który nie opuścił swoich uczniów, ale przy ich boku jako ochotnik-kapłan poszedł walczyć, śmiercią swoją stwierdził, że miłość, którą głosił, była uczynkiem, zasłużył sobie na ten Krzyż Virtuti Militari, który do trumny jego w dniach pogrzebu podczas wzruszającej uroczystości przypiął gen. Haller. Patrzącym na to łzy nabiegały do oczu, ale jednocześnie rosły im serca dumą, napełniały się dusze otuchą". Jak podkreślał autor tekstu: „Naród, który ma takich synów, takich obywateli, takich kapłanów i nauczycieli, potrafi być obrońcą swojej wolności, potrafi ją zdobywać, zachować dla przyszłych pokoleń".

„Kurier Warszawski" podkreślał inny aspekt tej symbolicznej śmierci: „Zgon jego na polu chwały świadczy wymownie przed światem o zgodzie serdecznej między polskim ludem prawowiernym a polskim klerem narodowym. Zgon ów podtrzymuje rycerską tradycję bojów za naszą wolność, w których ręka kapłańska niosła zawsze sztandar z hasłem: Bóg i Ojczyzna".

To wtedy zaczęto nazywać ks. Skorupkę nowym ojcem Kordeckim – znanym z „Potopu" Sienkiewicza obrońcą Jasnej Góry. To do postaci z Trylogii odwoływali się wówczas młodzi legioniści Piłsudskiego. Przekonanie, że tego dnia dokonał się cud, tak opisywał kardynał Kakowski: „Bolszewicy wzięci do niewoli opowiadali znowu, że widzieli księdza w komży z krzyżem w ręku, a nad nim Matkę Boską. Jakżeż mogli strzelać do Matki Boskiej, która szła przeciwko nim".

Dodajmy, że kult dla postaci ks. Ignacego Skorupki propagował gorąco papież Pius XI, który jako nuncjusz apostolski w 1920 roku był w Warszawie i nie opuścił jej w chwili, gdy była zagrożona przez bolszewików. W sanktuarium Najświętszej Maryi Panny w Loreto, na freskach w kaplicy polskiej polecił on umieścić obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a przy niej obraz przedstawiający ks. Skorupkę. Z kolei w letniej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo za sprawą Piusa XI umieszczono wielki fresk batalistyczny przedstawiający scenę spod Ossowa namalowany przez polskiego malarza Jana Henryka Rosena, z księdzem Skorupką w centrum obrazu.

Poezja i spory polityczne

Przed wojną o księdzu Skorupce słyszało w Polsce każde dziecko. Kopie obrazu lwowskiego malarza Antoniego Bartkowskiego „Śmierć ks. Skorupki pod Ossowem" trafiły chyba do większości polskich szkół. Ten i inne obrazy reprodukowane były też na pocztówkach, trafiając do setek tysięcy zwykłych Polaków. Mieczysław Zielenkiewicz napisał o księdzu w wierszu:

Nie wódz, nie żołnierz, sługa jeno boży,
A imię jego między święte włoży
Naród rycerzy i naród poetów,
Albowiem o tych pieśń królewska śpiewa,
Których czyn stwarza, olśni i zdumiewa.

Jego chwałę opiewały powieść „Bój pod Radzyminem" Józefa Relidzyńskiego oraz utwory „Bitwa pod Radzyminem, czyli śmierć księdza Skorupki" Stefana Wiecheckiego i „Ksiądz Skorupka" Tadeusza Konczyńskiego.

Dodajmy, że gdy pył bitewny opadł i zaczęły się spory polityczne o autorstwo wiktorii 1920 roku, endecy chcący pomniejszyć rolę Józefa Piłsudskiego, chętniej mówili o „cudzie nad Wisłą" i eksponowali rolę sił nadprzyrodzonych w czasie bitwy. Tym samym ksiądz Skorupka trafiał bardziej do ich „narracji", jak powiedziano by dziś.

Ten dawny spór nie ma już dziś znaczenia, znacznie bardziej aktualna jest konstatacja, że komuniści postaci ks. Skorupki nie znosili wyjątkowo, bo ucieleśniał on najgorszy z możliwych z ich punktu widzenia wzorzec: przedstawiciela reakcyjnego kleru powstrzymującego – co najgorsze skutecznie! – nacierające siły postępu.

Marta Nadolna-Tłuczykont w książce „Powrót książek »zakazanych« do współczesnych odbiorców" odnotowuje, że w katalogu książek „zakazanych", opracowanym na podstawie materiałów zebranych w Archiwum Państwowym w Katowicach, znalazła się przedwojenna książka Marii Bogusławskiej „Dziedzictwo Kordeckiego. Ks. Ignacy Skorupka".

„Wychowany w duchu wspomnień o dziadku walczącym w powstaniu styczniowym"

Ignacy Skorupka urodził się 31 lipca 1893 roku w Warszawie, w domu przy ulicy Ciepłej 3, w robotniczej dzielnicy Wola. Najbardziej szczegółowy opis historii rodziny Skorupków dała Joanna Kiwilszo na łamach „Nowej Gazety Praskiej" w artykule z cyklu „Historia praskich rodów". Jak czytamy, ród Skorupków wywodził się z drobnej szlachty zagrodowej z Podlasia. Pochodzący z miejscowości Kożuchówka Józef Skorupka, około 1877 roku przeniósł się do Warszawy. Jego syn Adam, pracujący w stolicy jako urzędnik to-

eprasa.pl 3197b25434

warzystwa ubezpieczeniowego, a następnie jako kasjer magistratu, ożenił się z córką powstańca z 1863 roku, Eleonorą z Pomińskich. Przyszli rodzice księdza zamieszkali na Woli przy ul. Ciepłej 3. Tam właśnie, w skromnym mieszkaniu, urodził się ich pierwszy syn Ignacy. Niedługo potem rodzice przenieśli się do troszkę większego, ale również skromnego mieszkania, przy Grzybowskiej 21.

Jak pisze Kiwilszo, jego mama Eleonora od początku marzyła, by został on księdzem. „Już jako mały chłopiec Ignacy został więc ministrantem w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych przy placu Grzybowskim, znanym z carskich pacyfikacji demonstracji robotniczych podczas rewolucji 1905 roku. Demonstracje te musiał oglądać jako uczeń, początkowo Gimnazjum Pawła Chrzanowskiego (późniejsze Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego) przy Smolnej, a następnie Gimnazjum Rocha Kowalskiego przy ul. Świętokrzyskiej" . Dodajmy, że młodszym bratem Ignacego był znany działacz harcerski okresu międzywojennego, harcmistrz Kazimierz Skorupka.

Ukończył seminarium i jesienią 1914 roku został skierowany do Akademii Duchownej w Petersburgu, przeniesionej do owego miasta, które „zbudowały szatany" w 1842 roku z Wilna. Akademia była katolicką wyższą szkołą teologiczną, kształcącą polskich księży z obszarów cesarstwa rosyjskiego. „Zaraz po przyjeździe do Akademii założył wraz z kolegami Polakami kółko literackie »Polonia« i wygłaszał w nim odczyty, między innymi o Warszawie w poezji Artura Oppmana (Or-Ota). Pisał też patriotyczno-religijne wiersze" – pisze Joanna Kiwilszo.

Od lipca 1915 roku opiekował się ewakuowaną do Petersburga w czasie wojennej zawieruchy rodziną. 26 stycznia 1916 roku przyjął święcenia prezbiteriatu z rąk arcybiskupa Jana Cieplaka. Ale potem z powodu kłopotów rodzinnych nie zaliczył jednego z egzaminów i stracił prawo do kontynuowania nauki w Akademii.

Kiwilszo relacjonuje: „Matka, zazwyczaj zaradna i wykazująca w Warszawie dużą przedsiębiorczość, w Petersburgu była bezradna i zaczęła podupadać na zdrowiu. Kłopoty rodzinne oraz opieka nad matką spowodowały, że Ignacy nie zaliczył jednego z egzaminów... Matka niezbyt długo cieszyła się kapłańską godnością syna. Zmarła 6 maja 1916 roku". Ignacy bardzo przeżył jej śmierć. „Załamał się psychicznie, jednak wkrótce obowiązki duszpasterskie wyzwoliły w nim nowe siły... Przez kilka miesięcy w 1917 roku był proboszczem parafii w Bogorodsku koło Moskwy, a następnie, niemal przez rok, od września 1917 roku do sierpnia 1918, był proboszczem w Klińcach koło Homla, w guberni czernihowskiej" – czytamy. Girzyński pisze, że w Klincach prowadził tajną polską drużynę harcerską i wiele innych inicjatyw patriotycznych, aż do zorganizowania w 1918 roku powrotu swoich podopiecznych w Polski.

Kiwilszo opisuje, jak Ignacy wraz z bratem Kazimierzem zajęli się organizacją repatriacji. Ignacy „jeździł do Kijowa, czyniąc starania o przyspieszenie ewakuacji swoich podopiecznych do Polski. Kazimierz nie chciał

„Bolszewicy wzięci do niewoli opowiadali znowu, że widzieli księdza w komży z krzyżem w ręku, a nad nim Matkę Boską. Jakżeż mogli strzelać do Matki Boskiej, która szła przeciwko nim".

Ksiądz Józef Makłowicz, autor broszury poświęconej bohaterskiemu księdzu, opisywał: „Był przystojnym blondynem, oczy miał piękne, jasne, wyraziste. Ludzie lgnęli do niego, miał w swej postaci coś sympatycznego, zapewne szczerość jego i życzliwość zniewalała wszystkich ku jego osobie". „Wychowanego w duchu wspomnień o dziadku walczącym w powstaniu styczniowym, młodego chłopaka pociągały dwie pasje, służba Ojczyźnie i Bogu" – pisze z kolei historyk Zbigniew Girzyński, były poseł, w szkicu poświęconym ks. Skorupce.

Po ukończeniu wspomnianej szkoły Ignacy wstąpił w 1909 roku do warszawskiego seminarium duchownego. W czasie wakacji trzykrotnie wyjeżdżał na praktykę do parafii w Klembowie. W listopadzie 1912 roku otrzymał niższe święcenia kapłańskie, a dwa lata później – święcenia subdiakonackie.

Wśród Polaków, których los rzucił na Wschód

eprasa.pl 3197b25434

czekać – w czerwcu 1918 powrócił samotnie wozem konnym do Warszawy. Ignacy, kiedy tylko nadarzyła się okazja, wyjechał w końcu sierpnia 1918 roku z jedną z wracających do Polski grup".

Dwa razy odrzucony akces kapelana

Po powrocie do Polski od września 1918 roku ks. Skorupka pracował jako wikary w parafii Przemienienia Pańskiego w Łodzi. Jednocześnie działał społecznie – założył Towarzystwo „Oświata", zajmujące się rozwojem szkolnictwa polskiego i został jego prezesem. We wrześniu 1919 roku ks. Skorupka został przeniesiony do Warszawy, gdzie objął stanowisko notariusza i archiwisty Kurii Metropolitalnej Warszawskiej. Jednocześnie był kapelanem Ogniska Rodziny Maryi przy ul. Zamoyskiego, prowadzonego przez franciszkanki. Był utalentowanym kaznodzieją – wygłaszał kazania w wielu warszawskich kościołach. Wiadomo, że w Wielkim Poście w 1920 roku jego kazania można było usłyszeć w katedrze warszawskiej św. Jana Chrzciciela.

„Towarzysze! Runął Bóg, ten największy ciemiężca proletariatu. Legli nasi wrogowie. Wy teraz wolni, ale oto tam, na Zachodzie ciemiężona i krępowana brać Wasza ręce ku nam wyciąga... Po trupie Polski wiedzie droga do światowej rewolucji. Idźcie i we krwi zmiażdżonej armii polskiej utopcie zbrodnicze rządy Polaków. Na Wilno, Mińsk i Warszawę – marsz, Towarzysze!" – głosiła bolszewicka odezwa wzywając do podboju Polski.

W odpowiedzi polscy biskupi w liście „Do biskupów świata" z 7 lipca 1920 roku pisali: „Nie szukała Polska tej walki, narzucona jej ona została. I nie walczymy zupełnie z narodem, walczymy raczej z tymi, którzy Rosję zdeptali, jej krew i duszę wyssali, idąc po nowe zabory. Jak szarańcza, zniszczywszy wszelkie życia ślady w jednym miejscu, wędruje do miejsc innych, pędzona z dawnych granic własnym dziełem zniszczenia, podobnie bolszewizm, zatruwszy Rosję, splądrowawszy ją, na Polskę swoje otwiera gardziele. Nie upadamy wcale na duchu, bo znamy żywotność naszego narodu, bo żywo ufamy opatrznym rządom Bożym, ale jednak w ciężkiej potrzebie czujemy się całkiem odosobnieni".

Biskupi polscy tak opisywali cele komunizmu, których świat jeszcze nie rozumiał: „Bolszewizm idzie istotnie na podbój świata. Rasa, która nim kieruje, już przedtem podbiła sobie świat przez złoto i banki, a dziś, gnana odwieczną żądzą imperialistyczną, płynącą w jej żyłach, zmierza już bezpośrednio do ostatecznego podboju narodów pod jarzmo swych rządów... Polska w pochodzie bolszewizmu na świat jest już ostatnią dla niego barierą, a gdyby się ta załamała, rozleje się on po świecie falami zniszczenia".

Gdy ks. Ignacy Skorupka zgłosił się do kardynała Kakowskiego, by ten pozwolił mu wstąpić do wojska, kardynał odmówił. Jak uzasadnił, ochotników był nadmiar – w konsystorzu leżało już 40 wniosków innych kapłanów archidiecezji warszawskiej. 31 lipca ksiądz ponowił prośbę, znowu bez skutku. Zdeterminowany poprosił o kapelański przydział biskupa polowego, ks. Stanisława Galla. W końcu za jego pośrednictwem udało się uzyskać zgodę kardynała – warszawskiego metropolity. „Zgadzam się, rzekłem, ale pamiętaj, abyś ciągle przebywał z żołnierzami w pochodzie w okopach, a w ataku nie pozostawał w tyle, ale szedł w pierwszym rzędzie. Właśnie dlatego, odrzekł, chcę iść do wojska" – tak rozmowę z księdzem zrelacjonował kardynał Kakowski.

> Po śmierci księdza kontratak 236. pułku pod Ossowem trwał jeszcze kilka godzin. Polskie straty wyniosły około 100 zabitych i 500 rannych, jednak wroga, ze wsparciem sprowadzonych posiłków, udało się zatrzymać. Pierwsza porażka Armii Czerwonej pod Warszawą była faktem!

Jak bolszewicy ograbili księdza z krzyża, butów i zegarka

Z jakichś powodów 12 sierpnia ks. Skorupka sporządził testament, w którym napisał: „Dług za szkołę spłacam swym życiem. Za wpojoną mi miłość do ojczyzny płacę miłością serca. Proszę mię pochować w albie i ornacie... Papiery proszę zniszczyć! Pieniądze na pogrzeb i stypendia, drobiazgi – do uznania Matki Przełożonej".

Oddział, do którego przydzielony był ks. Skorupka, stacjonował na warszawskiej Pradze. Późnym wieczorem 13 sierpnia wyruszył on na front. Przez Ząbki i Rembertów żołnierze dotarli do Ossowa.

eprasa.pl 3197b25434

14 sierpnia, w czasie, gdy Legia Akademicka wycofywała się, według wielu relacji, w tym cytowanych słów kardynała Kakowskiego, ksiądz zatrzymał ten odwrót i zginął z krzyżem w rękach. Żołnierze pod dowództwem podporucznika Mieczysława Słowikowskiego atakowali tyralierą. Ksiądz Skorupka miał iść w pierwszej linii. Walczył tam na osobistą prośbę. „Jako kapelan nie miał ścisłego obowiązku iść w pierwszej, szturmowej linii atakującej, a tem mniej iść przed frontem, prowadzić atak. On jednak dobrowolnie poszedł na pewną śmierć" – pisał ks. Makłowicz.

O śmierci duchownego poinformowało w meldunku dowództwo Frontu Północnego: „W 236 pułku piechoty ochotniczym [...] bohaterską śmiercią poległ kapelan tego pułku, ks. Ignacy Skorupka, który w stule i z krzyżem w ręku prowadził żołnierzy do ataku". Ciało księdza odnalazł płk Dobrowolski, który tak wspominał ten moment: „Obchodziłem pobojowisko po odrzuceniu bolszewików. Zobaczyłem na ścierniscu między trupami leżącego księdza, twarzą do ziemi, krzyż trzymał w ręku". Jak relacjonował potem dowodzący atakiem podporucznik Słowikowski, bolszewicy ograbili księdza z krzyża, butów i zegarka, kapelan miał liczne rany kłute. „Był przez ludzi, którzy dopadli ciała, a być może zrywali właśnie krzyż, zegarek, buty, z wściekłością przebijany bagnetem" – zapisał oficer. Ciało leżało na polu należącym do mieszkańca wsi Romana Orycha. Przetransportowano je chłopskim wozem do Warszawy.

Po śmierci księdza kontratak 236. pułku pod Ossowem trwał jeszcze kilka godzin. Polskie straty wyniosły około 100 zabitych i 500 rannych, jednak wroga, ze wsparciem sprowadzonych posiłków, udało się zatrzymać. Pierwsza porażka Armii Czerwonej pod Warszawą była faktem!

Hetmański pogrzeb

17 sierpnia w kościele garnizonowym przy ulicy Długiej w Warszawie, a następnie na Powązkach miały miejsce uroczystości pogrzebowe z udziałem najwyższych przedstawicieli duchowieństwa oraz rządu i generalicji.

Pismo Archidiecezji Warszawskiej, wystosowane po śmierci księdza, głosiło: „Ten cichy i świątobliwy kapłan, którego tak świeżo jeszcze widzieliśmy między nami, powołany został do spełnienia w przełomowej chwili naszych dziejów z obecnej wojny posłannictwa Joanny d`Arc [...] Niestety wielkie rzeczy nie dopełniają się bez wielkich ofiar. Ofiarą, którą wybrał Bóg przed innymi dla odkupienia wolności i zwycięstwa Polski, była świątobliwa dusza ks. Ignacego Skorupki. Zmarł z podniesionym w górę krzyżem z modlitwą na ustach, dając przykład wiary, patriotyzmu i zaparcia się siebie. Warszawa zrozumiała znaczenie tej śmierci. Umarłemu dla wyzwolenia milionów zgotowało wojsko i społeczeństwo hetmański pogrzeb".

Polska – zbrojne obozowisko ludzi ofiarnych a czujnych

W czasie pogrzebu ks. Skorupki generał Józef Haller wypowiedział aktualne do dziś słowa: „Polska i w przyszłości ostać się może tylko jako czuwające a zbrojne obozowisko ludzi ofiarnych i czujnych".

W czerwcu 1991 roku Jan Paweł II w czasie spotkania z Wojskiem Polskim mówił: „Niepodległość Rzeczypospolitej została wywalczona z bronią w ręku, a zamknięciem tej żołnierskiej epopei stała się zwycięska bitwa pod Warszawą 15 sierpnia 1920 r., która miała znaczenie przełomowe nie tylko dla Polski, ale także dla Europy. Porównuje się ją pod tym względem do wiktorii wiedeńskiej, a dawniej jeszcze (za czasów piastowskich) do bitwy pod Legnicą w XIII wieku, gdzie został odparty zalew tatarski idący na Europę od strony Azji [...] Dzieje ukazują nie tylko wspaniałe postaci bohaterskich żołnierzy i dowódców, ale także bohaterskich kapelanów wojskowych. Symbolem może być ks. Skorupka z 1920 r., ale jest ich wielu w dalszej i bliższej przeszłości. W tym kontekście warto może wspomnieć, że w ramach tolerancji religijnej oraz swobody wyznawania wiary w armii doby Konstytucji 3 maja służyli kapelani trzech wyznań. W wojsku II Rzeczypospolitej kapelani wszystkich uznawanych wyznań mogli bez przeszkód sprawować posługę religijną według potrzeb żołnierzy. Z ostatnich czasów wspomnijmy arcybiskupa Stanisława Galla oraz arcybiskupa-tułacza Józefa Gawlinę".

Z kolei w czasie pielgrzymki do Polski papież powiedział: „Wspominamy, między innymi, bohaterskiego kapłana Ignacego Skorupkę, który zginął niedaleko stąd, pod Ossowem. Dusze wszystkich poległych polecamy miłosierdziu Bożemu".

W 2005 roku z udziałem prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego odbyła się uroczystość odsłonięcia i poświęcenia pomnika ks. Ignacego Skorupki przed katedrą warszawsko-praską. Uroczystość zgromadziła kilkudziesięciu biskupów i przedstawicieli innych wyznań. Lech Kaczyński powiedział wówczas, że pomnik jest upamiętnieniem nie tylko narodowego bohatera, lecz także duchowego związku narodu polskiego i Kościoła rzymskokatolickiego.

Antoni Macierewicz w rocznicę bitwy w 2017 roku w Ossowie podkreślił, że uczestnicy uroczystości stoją pod Golgotą ks. Skorupki, ale też pod jego wielkim zwycięstwem: „Zwycięstwem ducha polskiego żołnierza, ale i zwycięstwem chrześcijaństwa, wielkim zwycięstwem cywilizacji chrześcijańskiej nad złem, nad przemocą, nad bolszewizmem". ■

eprasa.pl 3197b25434

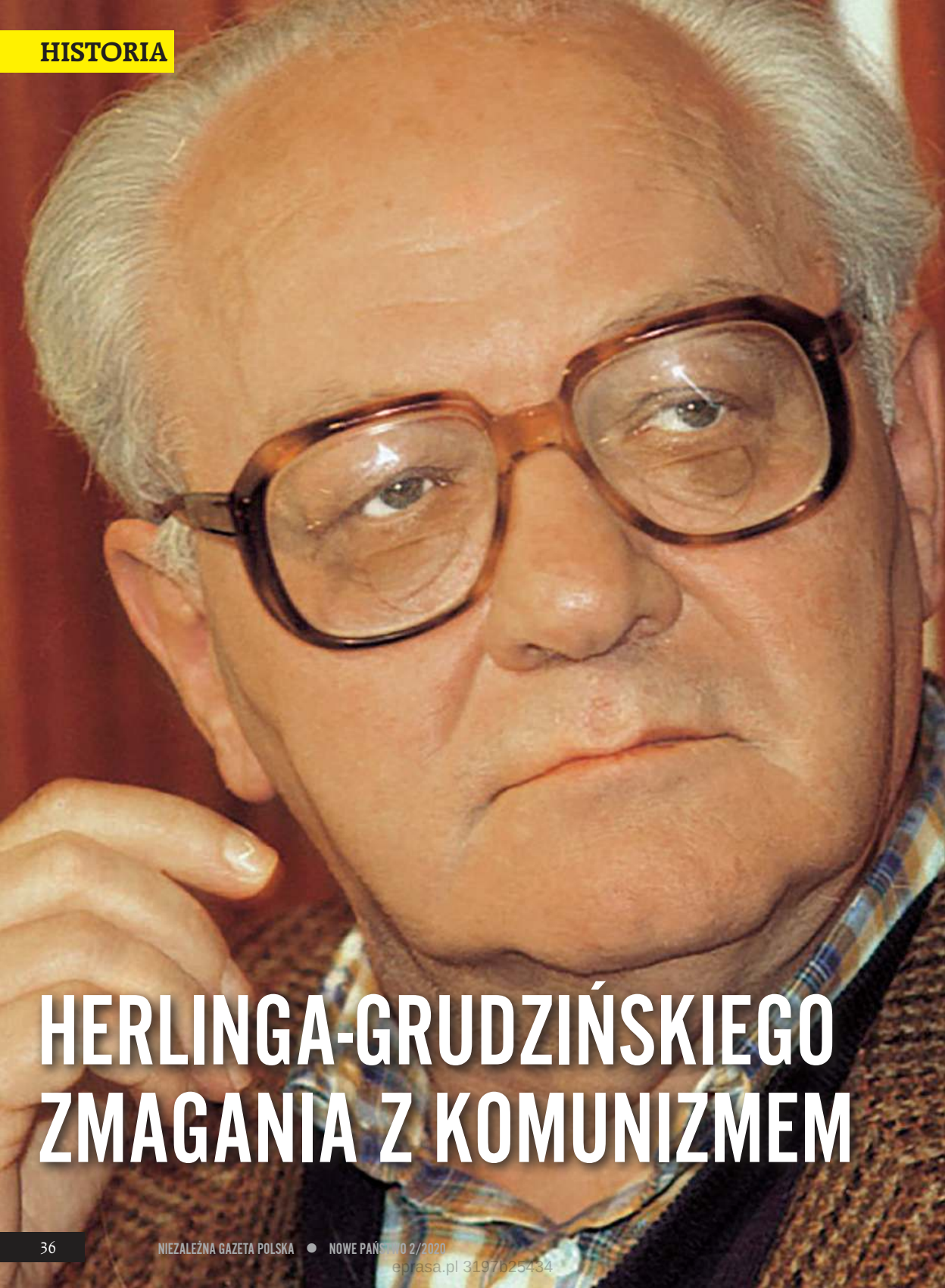

HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO ZMAGANIA Z KOMUNIZMEM

eprasa.pl 3197b25434

Dariusz Jarosiński

Gustaw Heling-Grudziński nigdy nie spodziewał się, że jego zmagania z komunizmem, które zaczęły się w 1940 roku w więzieniach i łagrach sowieckich, będą trwały do końca życia. Toczył je z komunistami we Włoszech, Francji, a pod koniec życia przyszło mu je prowadzić w Polsce.

W ubiegłym roku obchodziliśmy 100. rocznicę urodzin Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – łagiernika, żołnierza, pisarza, autora „Innego świata", „Dziennika pisanego nocą". W tym roku, 4 lipca, przypada 20. rocznica jego śmierci. „Inny świat" to z całą pewnością jedno z najważniejszych polskich świadectw literackich piekła na ziemi zgotowanego przez komunistów, piekła sowieckich obozów koncentracyjnych. W przedmowie do pierwszego wydania „Innego świata" filozof Bertrand Russell napisał: „Spośród wielu książek, jakie czytałem na temat przeżyć ofiar więzień i obozów sowieckich, »Inny świat« Gustawa Herlinga zrobił na mnie największe wrażenie i jest najlepiej napisany. Posiada on spotykaną w bardzo rzadkim stopniu siłę prostego i żywego opisu, i jest rzeczą zupełnie niemożliwą zakwestionować w jakimkolwiek miejscu jego prawdomówność".

Motto z „Zapisków z martwego domu"

Prawdomówność we Włoszech, dokąd rzuciły wojenne losy pisarza, gdzie walczył z 2. Korpusem gen. Władysława Andersa w bitwie o Monte Casino, za co otrzymał krzyż Virtuti Militari, była źle widziana przez komunistycznych ideologów, pożytecznych idiotów. Temat obozów koncentracyjnych w Sowietach był przez długie lata we Włoszech tematem tabu. Podobnie rzecz się miała choćby w sąsiedniej Francji. A przecież całe Sowiety były jednym wielkim obozem koncentracyjnym. Zdaniem historyków ofiar komunizmu było czterokrotnie więcej niż ofiar niemieckiego narodowego socjalizmu. W czasie swoich ponad 70-letnich rządów komuniści zamordowali około 100 mln ludzi, w samych tylko sowieckich łagrach w latach 1918–1956 uśmiercono 60 mln (taką liczbę podawał Aleksander Sołżenicyn).

Zdaniem zachodnioeuropejskich „intelektualistów" długo by można było wymieniać ich nazwiska, jedynie faszyści mogli podważać „zdobycze komunizmu sowieckiego". Faszystami określano wszystkich bez wyjątku przeciwników komunizmu. Komunistyczna ideologia stała się po wojnie, po zwycięstwie Stalina, nową religią, której dogmaty były niepodważalne. Autor „Innego świata" płacił wysoką cenę za pisanie prawdy o komunizmie, o „bliźniaczych totalitaryzmach", jakimi były według niego – i nie tylko według niego – narodowy socjalizm (nazizm) i komunizm. Skazany był przez środowiska komunistyczne, lewicowe przez wiele lat na anatemę. Pierwsze wydanie „Innego świata" Herlinga ukazało się w Londynie w języku angielskim w 1951 roku, we Włoszech pod koniec lat 50., czyli kilka lat po śmierci Stalina. We Francji „Inny świat" mógł zostać opublikowany dopiero w latach 80., mimo wielu wcześniejszych starań Alberta Camusa. W 1998 roku włoski wydawca usunął wstęp Herlinga do opowiadań rosyj-

fot. Grzegorz Rogiński/PAP

97b25434

skiego łagiernika Warłama Szałamowa, ponieważ porównał w nim sowieckie łagry do niemieckich obozów koncentracyjnych.

Mottem „Innego świata" z podtytułem „Zapiski sowieckie" Herling-Grudziński uczynił słowa rosyjskiego pisarza Fiodora Dostojewskiego zaczerpnięte z książki „Zapiski z martwego domu": „Tu otwierał się inny, odrębny świat, do niczego niepodobny; tu panowały inne, odrębne prawa, inne obyczaje, inne nawyki i odruchy; tu trwał martwy za życia dom, a w nim życie jak nigdzie i ludzie niezwykli". Nieprzypadkowo akurat te słowa stały się mottem „Innego świata". Trafem losu, a może Niebios, książkę tę pożyczyła mu jedna z więźniarek pracująca w administracji łagru. Książka Dostojewskiego wywarła duży wpływ na postawę Herlinga w łagrze, pomogła mu w przetrwaniu.

Opowiedz to, co przeżyliśmy

Herling nigdy nie zdradził, nie zawiódł swoich towarzyszy z sowieckiego łagru w Jercewie nad Morzem Białym na Dalekiej Północy. Kiedy wychodził z obozu w 1942 roku, po podpisaniu umowy Sikorski–Majski, aby pokonać nieznaną drogę do tworzonej polskiej armii gen. Andersa, prosili go: „Opowiedz to, co przeżyliśmy". I opowiedział w „Innym świecie". Jednak jego opowieść o „innym świecie" nie skończyła się wraz z postawieniem końcowej kropki w książce. Bo ten „inny świat", który zaczął się w życiu 21-letniego, niedoszłego absolwenta polonistyki, trwał nadal po 1945 roku również za drutami łagrów – co prawda zmieniał się, ewoluował, lecz jego komunistyczne jądro zawsze pozostawało to samo.

Tym jądrem ideologii komunistycznej, marksistowskiej jest walka z religią, chrześcijaństwem, z tradycyjnymi wartościami, chęć wyhodowania „nowego człowieka" bez tożsamości, bez historii, akceptującego każdy najbardziej utopijny, nieludzki pomysł, przyjmującego odwrócenie wartości. W „Zwycięstwie prowokacji" Józef Mackiewicz dowodził: „Istotą komunizmu jest uniwersalistyczna niewola ducha, wobec której tradycyjne metody kulturowej obrony nie działają". Szczytową postacią marksistowskiej i leninowskiej wersji komunizmu był stalinizm. Na Zachodzie Europy aby wyhodować „nowego człowieka", jak to robili u siebie i w krajach okupowanych bolszewicy, łagry okazały się zbędne. Europa Zachodnia odrzuciła religię chrześcijańską, wypełniła pustkę duchową utopijnymi wcieleniami marksizmu. Odrzuciła dotychczasowy świat „czytelnych reguł, norm i praw". Zjawiska zachodzące w społeczeństwach Zachodniej Europy, prowadzące do samozagłady, św. Jan Paweł II nazwał cywilizacją śmierci.

Herling podkreślał w swoich wypowiedziach, że w łagrach nie utracił nadziei na zwycięstwo dobra nad złem, wiary w człowieka, w przeciwieństwie choćby do Tadeusza Borowskiego, autora zbioru opowiadań „Pożegnanie z Marią". W rozmowie z prof. Włodzimierzem Boleckim („Rozmowy w Dragonei") pisarz mówił: „[...] Borowski wyszedł z Oświęcimia wypalony i cyniczny i dlatego jego dalsze losy już mnie nie dziwiły. Dziwiło mnie tylko, że tak daleko posunął się w tym cynizmie. Bo przecież w tych jego słynnych stalinowskich felietonach była potworna zaciekłość, fanatyzm polityczny najgorszego rodzaju. [...] Wyszedłem z obozu fizycznie przygnębiony, straszliwie poraniony i psychicznie obolały. Miałem rany nie tylko na nogach, ale przede wszystkim w duszy. Ale wyszedłem z Jercewa z iskierką nadziei, której z Oświęcimia nie wyniósł Borowski, nie straciłem wiary w podstawowe wartości ludzkie. To brzmi patetycznie lub banalnie, ale to jest istota rzeczy".

Herling, choć był nieufny wobec instytucji Kościoła, prezentował w życiu postawę chrześcijańską: człowiek ma prawo do słabości, ale nie może dać się złamać, ulec złu. „Zło jest immanentne" – mówił. „Ale realne jest też jego przeciwstawienie, czyli dobro, dzięki któremu żyjemy i możemy coś robić". Jego doświadczenia z sowieckich łagrów, doświadczenia życiowe nie pozwalały mu na odejście od przyjętych zasad. Jak mówił, jego „prawdziwe" życie zaczęło się w łagrach, tam też narodził się jako pisarz, tam została uformowana jego postawa moralna. Był człowiekiem nad wyraz uczciwym wobec siebie, wobec innych, obdarzonym niebywałą wręcz odwagą cywilną – potrafił stanąć w obronie zasad, wartości, własnych racji, nawet jeżeli wiązało się to z kosztami społecznymi, utratą korzyści materialnych, a nawet utratą przyjaciół, jak to było choćby w przypadku redaktora paryskiej „Kultury" Giedroycia. Był m.in. z tego powodu człowiekiem samotnym, uważanym za wyniosłego, trudnego – bo niewiele osób lubi ludzi mówiących prawdę o nich samych.

Napiętnował z całą mocą relatywizm moralny. Nie zawahał się być krytycznym wobec „Zniewolonego umysłu" Czesława Miłosza, w „Dzienniku pisanym nocą" napisał: „Miłosz uważa kryterium »moralistyczne« za mało tu przydatne, zbyt płytkie. Ja za główne, jeśli nie jedyne. Wiem coś o tym z własnych obserwacji, ze Lwowa pod okupacją sowiecką, który był swego rodzaju poligonem powojennej rzeczywistości krajowej: szalały na nim wśród intelektualistów strach, głupota, znieprawienie. Do mojej listy deprawacyjnej trzeba dołączyć chorobę nagminną u literatów: próżność".

Postawę moralną Herlinga dobrze ilustruje „Epilog" dopisany do „Innego świata". Przed „Epilogiem" pojawiło się znowu motto, zdanie wzięte z powieści Dostojewskiego „Zapiski z martwego domu": „Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia można skazić naturę ludzką". Pisarz opowiada o tym, jak to latem 1945 roku spotkał w Rzymie byłego towarzysza z więziennej celi w Witebsku. Był to polski Żyd pochodzący z Grodna, przedwojenny komunista,

eprasa.pl 3197b25434

który został aresztowany przez bolszewików za odmowę dobrowolnego wyjazdu w głąb Sowietów. Ów człowiek miał nieodpartą potrzebę opowiedzenia komuś swojej historii z łagru, szukał dla siebie, dla swojej postawy w obozie zrozumienia, a pewnie też usprawiedliwienia. W łagrze, dokąd trafił po przewiezieniu z więzienia w Witebsku, był zmuszany przez oficera NKWD do obciążenia fałszywymi zeznaniami niemieckich łagierników, towarzyszy z brygady, nad którą miał pieczę. Uległ naciskom enkawudzisty – wydał na śmierć Bogu ducha winnych czterech Niemców – dwóch Niemców nadwołżańskich i dwóch komunistów niemieckich, którzy uciekli ze swojej ojczyzny do „sowieckiego raju". Wszyscy bardzo dobrze pracowali, unikali rozmów na tematy polityczne. Herling nie był w stanie powiedzieć słowa „rozumiem", usprawiedliwić owego byłego łagiernika, na przykład mówiąc, że to była nadzwyczajna sytuacja, nadzwyczajne warunki, miejsce, łagier, że to usprawiedliwia zachowanie człowieka. Milczał. Milczenie oznaczało brak aprobaty dla takiej postawy. Nie znalazł w sobie słów pocieszenia, zrozumienia – bo musiałby zaprzeczyć sam sobie, swojej „prawdziwej" drodze życiowej, która zaczęła się w Jercewie na Dalekiej Północy. Nie okazał zrozumienia, bo musiałby zgodzić się na relatywizm moralny.

Zaskoczenie rewelacjami Sołżenicyna

Polska literatura łagrowa powstała na Zachodzie dużo wcześniej niż „Archipelag GUŁag" Aleksandra Sołżenicyna, jednak nie miała żadnych szans na szersze zaistnienie, nie mówiąc już o jakiejkolwiek promocji. Jedynie mogła funkcjonować w niewielkim nakładzie egzemplarzy, w wąskim kręgu czytelników. Była zwalczana przez wpływowe zachodnioeuropejskie elity, środowiska lewackie, komunistyczne.

W 1946 roku ukazały się w Rzymie wspomnienia z sowieckich więzień i łagrów Beaty Obertyńskiej, poetki, aktorki, córki Maryli Wolskiej, pt. „W domu niewoli", w 1947 roku zostały opublikowane w Londynie wspomnienia Jana Kazimierza Umiastowskiego „Przez kraj niewoli". Wacław Grubiński, dramaturg, krytyk literacki, aresztowany we Lwowie w 1940 roku za „bluźnierczą sztukę o Leninie", wydał w Londynie w 1948 roku „Między młotem a sierpem", dwa lata później, także w Londynie, Anatol Krakowiecki, literat, autor dramatów i piosenek, dziennikarz, opublikował „Książkę o Kołymie". W 1962 roku została wydana w Paryżu znakomita książka Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi".

„Mądrość etapu" spowodowała, że „Archipelag GUŁag" Aleksandra Sołżenicyna, który ukazał się w 1973 roku w Paryżu, a więc ponad 20 lat później po „Innym świecie" Herlinga-Grudzińskiego, kiedy już sprawa sowieckich zbrodni, obozów koncentracyjnych stała się tajemnicą poliszynela, uznany został za dzieło odkrywcze. W niedługim czasie po ukazaniu się książki Sołżenicyna w Paryżu we Francji, Józef Mackiewicz napisał w londyńskich „Wiadomościach" w artykule „Zagadek ciąg dalszy" (1974 r., nr 13) m.in.: „»Archipelag GUŁag« Sołżenicyna jeszcze raz przypomina światu o tych »prawach i obyczajach« narzuconych Rosji i całej wschodniej Europie przez komunistów. O czym świat ma dokładne informacje od przeszło pół wieku, ale udaje, że został raptem zaskoczony rewelacjami Sołżenicyna. I do głębi wzruszony, zdobywa się na – potępienie banicji pisarza".

Zdaniem Józefa Mackiewicza Aleksander Sołżenicyn nie był antykomunistą, lecz antystalinowcem, pisarzem wykorzystanym, przynajmniej po jego wyjściu z łagru w 1956 roku, do rozgrywek między sowieckimi komunistami na Kremlu.

„Archipelag GUŁag" oficjalnie nie mógł jednak ukazać się ani w Sowietach, ani w krajach okupowanych przez Sowiety. Niezależnie od wszystkiego Mackiewicz cenił twórczość rosyjskiego pisarza i uważał, iż „Archipelag GUŁag" „jest celnie wymierzonym, sumarycznym uderzeniem w zęby bolszewizmu, sowietyzmu, komunizmu, socjalizmu w ogóle". Nie znaczy to wcale, że przestały istnieć obozy koncentracyjne w Sowietach, one funkcjonowały nadal. Ludzie wciąż byli mordowani, bo taka już jest natura komunizmu.

Komunizm jest po jakiemuś nieśmiertelny

Herling jak mało który pisarz był wyczulony na zło tego świata, jak mało kto starał się dociec, jakie są źródła tego zła, jak mało kto walczył piórem z największym złem tego świata – z komunizmem, z jego różnymi wcieleniami. Jego największym dziełem obok „Innego świata" jest „Dziennik pisany nocą" prowadzony od 1971 roku niemal do śmierci, bo do 1999 roku. W 2018 roku został opublikowany odnaleziony wśród niepublikowanych maszynopisów sekretny „Dziennik" pisarza z lat 1957–1958. „Dziennik pisany nocą" nie ma sobie równych w powojennej polskiej diarystyce.

Herling, pozostając wiernym swoim lewicowym poglądom, nie dał się zwieść komunistom z ludzką twarzą, tzw. postkomunistom, farbowanym lisom. Był niezwykle wrażliwy na tym punkcie. Nazywał rzeczy po imieniu, nigdy nie owijał w bawełnę. W imię wspomnianej już przez Bertranda Russela prawdomówności, nie wahał się w „Dzienniku..." strącać z piedestału symboli „reformatorów komunizmu". O farbowanym lisie, Aleksandrze Dubczeku, I sekretarzu Komunistycznej Partii Czechosłowacji, który przeszedł do historii jako zwolennik „socjalizmu z ludzką twarzą" w czasie tzw. praskiej wiosny w 1968 roku, pisał Herling: „Nie lubię tego komunistycznego męczennika, który w Czernej nad Cisą zapewniał Breżniewa, że »w każdym razie my, drogi towarzyszu, do żołnierzy Czerwonej Armii strzelać nie będziemy« (co w umyśle Breżniewa zapaliło zie-

eprasa.pl 3197b25434

lone światło: »można wkraczać«), potem podpisał w Moskwie dyktat (nie podpisał go Kriegel) i wreszcie po powrocie z Moskwy do Pragi zgodził się ambasadorować w Ankarze, skąd go po krótkim czasie, jak wyciśniętą do ostatniej kropli cytrynę, wykopano do rodzinnej Bratysławy, na zieloną trawkę politycznego niebytu".

Pisarz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo Europa Zachodnia dała się uwikłać w komunistyczną ideologię, jak trudno z niej się wywikłać, kiedy zostały „zdruzgotane wszelkie hamulce moralne", gdy „zaczajone w duszy ludzkiej siły zła dochodzą do głosu w »ideologicznej« aureoli nowych »praw«". Tak mówił prof. Włodzimierzowi Boleckiemu w „Rozmowach w Dragonei" o komunistycznych i komunizujących „intelektualistach" na Zachodzie, o ich ewolucji: „[...] to był proces nieustannej dekadencji i degradacji. Od początku to była bezgraniczna miłość do Związku Sowieckiego, która zapanowała jeszcze w czasie wojny, ponieważ ZSSR »pomógł nam zwyciężyć hitlerowskiego potwora i za to coś mu się należy«. To była ogólna tendencja, stąd szalona popularność komunistów na Zachodzie. Wiadomo było, że komunizm podbił tych »intelektualistów«, dlatego kiedy o nich piszę, to od długiego już czasu z uporem używam słowa »intelektualiści« w cudzysłowie. Bo ci »intelektualiści« nie spełniają swojej roli ludzi niezależnie myślących, a taką rolę powinni spełniać, ponieważ dlatego nazywa się ich intelektualistami".

Profesor Włodzimierz Bolecki w wypowiedzi dla pisma „Teatr" (2019 rok, nr 12) zwrócił uwagę, że „[...] analiza stosunku Europy do Związku Sowieckiego staje się podstawowym tematem jego publicystyki, »Dziennika pisanego nocą« oraz działalności w »Kulturze«. Chodzi o podział Europy na Zachodnią i Wschodnią. Herling z irytacją, przerażeniem i moralnym wstrętem obserwuje, jak Europa Zachodnia flirtuje ze Związkiem Sowieckim, traktując Europę Wschodnią jako region neokolonialny. A równocześnie obserwuje potoki politycznych frazesów na temat równości i cyniczne zachowania polityków, obłudnie wzdychających, że Europa Wschodnia, niestety, nie ma szczęścia w historii". Niestety, nic się nie zmieniło, mimo upływu lat.

18 marca 1993 roku Herling zapisał w „Dzienniku...": „Komunizm jest czymś więcej niż ustrojem – smokiem, przebitym nareszcie włócznią świętego Jerzego. Jest po jakiemuś nieśmiertelny, jest smokiem (żeby pozostać przy tym porównaniu), któremu wciąż odrasta odrąbany ogon. [...] Komunizm jest owocem i wyrazem społecznej, politycznej i duchowej dżumy". Pisząc o dżumie, nawiązywał do powieści o tym tytule swego przyjaciela Alberta Camusa.

▶ Koszmarny rok 1952

Herling był współzałożycielem wraz z Jerzym Giedroyciem pisma „Kultura". We Włoszech ukazały się w 1947 roku pierwsze dwa numery pisma, które później było wydawane w Paryżu. W tym samym roku Herling wyjechał z żoną do Londynu, gdzie podjął współpracę z tygodnikiem „Wiadomości" redagowanym przez Mieczysława Grydzewskiego. Po raz pierwszy wówczas urwała się współpraca Herlinga z Giedroyciem.

W Londynie w 1951 roku Herling wydał „Inny świat" w języku angielskim z przedmową Bertranda Russela, sędziwego już wówczas filozofa, autentycznego, a nie sztucznie wykreowanego autorytetu moralnego. Książkę przetłumaczył Andrzej Ciołkosz, syn znanych przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej na emigracji, Lidii i Adama Ciołkoszów.

W 1952 roku Herling, po pięciu latach pobytu w Londynie, otrzymał propozycję pracy w Radiu Wolna Europa. Dwa tygodnie po jego wyjeździe z Londynu do Monachium dotarła do niego potworna wiadomość: jego ukochana żona Krystyna popełniła samobójstwo. Krystyna Stojanowska-Domańska była artystką malarką, pierwszą wielką miłością Gustawa Herlinga. Poznał ją w czasie wojny w kantynie wojskowej w Iraku, na żołnierskim szlaku armii gen. Andersa, razem prowadzili tułacze życie, cierpieli biedę i niedostatek, tęsknili za Polską, do której nie mogli wrócić, bo rządzili w niej komuniści. To Krystynie dedykował książkę „Inny świat". Ślub wzięli w Anconie we Włoszech. Herling bardzo przeżył śmierć żony, w ciągu jednego dnia jego świat się zawalił i to w momencie, kiedy w życiu dwojga młodych, zakochanych ludzi pojawiło się światełko nadziei na poprawę sytuacji życiowej – Gustaw otrzymał stałą, nie najgorzej płatną pracę w Radiu Wolna Europa w Monachium, dokąd mieli się wkrótce przeprowadzić z nielubianego Londynu.

Śmierć żony przypłacił stanami depresyjnymi, bardzo mu wówczas pomogli wyjść z zapaści duchowej Lidia i Adam Ciołkoszowie. Notabene pół roku wcześniej przed samobójstwem Krystyny Herling Grudzińskiej, 21 marca 1952 roku, jedyny syn państwa Ciołkoszów, 23-letni Andrzej, student Oksfordu, świetnie zapowiadający się krytyk literacki, przyjaciel Gustawa Herlinga, autor przekładu na angielski „Innego świata", odebrał sobie życie.

Śmierć Krystyny okazała się dużo bardziej bolesnym ciosem dla pisarza niż pobyt w łagrach sowieckich. Zdaniem Tomasza Burka, autora „Dziennika kwarantanny", szkiców literackich zamieszczanych w latach 1996–2000 na łamach „Gazety Polskiej": „[...] urazy, widma i koszmary londyńskie zadomowiły się nieusuwalnie w wyobraźni pisarza. Dręczyły. Obok totalitarnego horroru drugi to wielki temat jego twórczości. Ale temat z natury swej zamaskowany, niedopowiedziany i enigmatyczny".

eprasa.pl 3197b25434

Szczęśliwie pisarz znalazł bliską mu osobę, która uwolniła go od czarnych myśli – była to Lidia Croce, córka wybitnego włoskiego filozofa i intelektualisty Benedetto Croce. Gustaw i Lidia poznali się w 1944 roku w Sorrento, na południu Włoch, kiedy Herling był żołnierzem 2. Korpusu Polskiego. Ich drogi skrzyżowały się ponownie w Londynie, tutaj wzięli ślub w 1954 roku, a rok później zamieszkali w Neapolu we Włoszech – w mieście pod wulkanem.

Lidia Croce odegrała niezwykle ważną rolę w życiu pisarza – dała mu miłość, stworzyła jak najlepsze warunki do pisania, była jego archiwistką, sekretarzem. Herling wznowił przerwaną współpracę z Jerzym Giedroyciem i paryską „Kulturą". Przez kilkadziesiąt lat co kwartał wyjeżdżał na miesiąc do pracy redakcyjnej w Maisons-Laffitte.

Moralna erozja III RP

Jerzego Giedroycia i Gustawa Herlinga poróżnił stosunek do tzw. III Rzeczypospolitej. Herling bardzo bolał, że w Polsce nie przeprowadzono dekomunizacji, lustracji, że komuniści, miast zostać osądzeni za swoje zbrodnie przeciwko narodowi, zostali obdarowani majątkiem narodowym. Ostro krytykował „grubą kreskę" Tadeusza Mazowieckiego. Inne zupełnie poglądy prezentował Giedroyć – na przykład poparł w wyborach prezydenckich komunistę Aleksandra Kwaśniewskiego, pupila Jaruzelskiego. W 1996 roku gościł go w Maisons-Laffitte. Bezpośrednim powodem zerwania współpracy przez Herlinga z Giedroyciem było ocenzurowanie jego kolejnego tekstu „Dziennika pisanego nocą", który miał jak zwykle ukazać się w „Kulturze". Herling przeniósł się zatem ze swoim „Dziennikiem pisanym nocą" na łamy „Plusa Minusa", tygodniowego dodatku „Rzeczpospolitej". W ten sposób znalazł się bliżej polskiego czytelnika ze swoimi analizami, przemyśleniami, refleksjami na temat naszej rzeczywistości politycznej.

4 grudnia 1995 roku, kilkanaście dni po zwycięstwie Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich, Herling napisał w „Dzienniku...": „I tak oto, 19 listopada, wielkie dzieło Adama Michnika zakończyło się sukcesem. Trudno mi powiedzieć, kiedy się zaczęło, w czym jego początki, albowiem zobaczyłem Michnika »w akcji« dość późno. Było to wiosną 1989, tuż po Okrągłym Stole, gdy objeżdżał całą Polskę w glorii niezłomnego więźnia komunistów i arcyfechmistrza polityki polskiej. Wtedy właśnie Michnik obwoził po kraju swego prywatnego pomazańca, występował z nim publicznie w aulach uniwersyteckich i dyskutował z nim – na oczach zdumionych słuchaczy – jako z tym, kim on, A.M., chce budować nową niekomunistyczną Polskę. Tym pomazańcem był dobrze znany młody aparatczyk, symbol pezetpeerowskiego oportunizmu, Aleksander Kwaśniewski. Był wówczas ministrem sportu w rządzie Rakowskiego, dobrze znany z buty i pyszałkowatości oraz z cynizmu i bezwzględności, gdy na początku lat osiemdziesiątych weryfikował w imieniu WRON dziennikarzy. Czyli wyrzucał z pracy ludzi przyzwoitych. Ale w 1989 roku był już dla Michnika »Olkiem«. Przez następne miesiące Michnik, już na łamach »Gazety Wyborczej«, obwieszczał, że przyszłość Polski zależy wyłącznie od »światłych« komunistów (Rakowski + Jaruzelski) i »zdrowego« nurtu »Solidarności«, czyli ekipy okrągłostołowej. To już wtedy zaczęła się ta moralna erozja, której jedynym celem było zatarcie granicy między PRL a RP".

Lewacki salon związany z „Gazetą Wyborczą" był wściekły, że Gustaw Herling-Grudziński godził w historyczny pakt z komunistami, że potępiał „Adasia", ich ideologicznego guru. Michnik stwierdzał, że pisarz nie ma prawa do krytyki polskiej rzeczywistości, mieszkając w Neapolu, bajdurzył coś o głupocie i sklerozie autora „Innego świata".

Zbigniew Herbert nazwał ongiś Michnika „manipulatorem, kłamcą, oszustem intelektualnym", Herling „adiutantem generała" (Jaruzelskiego), a po ukazaniu się wspólnego tekstu Cimoszewicza i Michnika w „Gazecie Wyborczej" napisał: „Mam propozycję dla Michnika: powinien pójść do dobrego psychiatry". Próbowano dezawuować autora „Innego świata" podobnie jak Zbigniewa Herberta, choć wszelkie próby okazały się niepowodzeniem. Salon do dzisiaj nie wybaczył Herbertowi i Herlingowi, wybitnemu poecie i wybitnemu pisarzowi, że nie przystali do ich środowiska politycznego, a w dodatku potępili wszelkie układy z komunistami.

Salonowi publicyści zarzucali Herlingowi, że widzi polską rzeczywistość lat 90. tylko w barwach czarno-białych, a rzeczywistość jest bardziej złożona. Tylko ludzie o nieczystym sumieniu, o złych zamiarach mogli po kilkudziesięciu latach systemu komunistycznego mówić, że rzeczywistość jest „złożona". Szukali usprawiedliwienia dla zawartego kompromisu z komunistami, który okazał się dosyć szybko zdradą części elit „Solidarności". Do dzisiaj odczuwamy skutki tej zdrady.

Michał Cichy, autor pamiętnego tekstu o tym, jak to żołnierze AK mordowali w czasie Powstania Warszawskiego Żydów, pisał na łamach „Gazety Wyborczej" po śmierci Gustawa Herlinga: „Dziwna, skomplikowana postać. Chwiejny rygorysta, wybuchowy moralista, surowy mąż sprawiedliwości niewrażliwy na okoliczności łagodzące. Człowiek twardego karku, niewrażliwy na pokusy kompromisu – a jednocześnie człowiek niewolny od wzruszającej dozy próżności". W podobnym tonie ukazało się więcej obraźliwych tekstów wobec autora „Innego świata", ale szkoda „Peiperu i Putramentu" na ich przytaczanie. ■

eprasa.pl 3197b25434

Redakcja „Współczesności" mieściła się niedaleko pomnika Kopernika i sławnej „Harendy". Jedno z kolegiów redakcyjnych zostało przerwane dramatycznym wejściem szatniarza z rzeczonego lokalu. „Brychta biją" – krzyknął do Romana Śliwonika. Kolegium przerwano, dziennikarze ruszyli na odsiecz. Po bohaterskim uratowaniu Andrzeja Brychta towarzystwo wróciło do siebie, by kontynuować kolegium.

Magdalena Złotnicka

Złe wybory boksera-literata

fot. Stanisław Czmogośk/PAP/CAF

W moim rodzinnym domu stał kiedyś biały regał. Nic nadzwyczajnego, ot, sklejka typowa dla produkcji meblowej wczesnych lat 90. Regał wypchany był książkami moich rodziców, a ja, kiedy nie patrzyli, wybierałam z niego coś na chybił trafił, najczęściej kierując się urodą okładek. Potem czytałam zachłannie, często zresztą nawet nie do końca rozumiejąc, co czytam. Mając 13 lat, sięgnęłam po cienką, może kilkudziesięciostronicową książeczkę, która reklamowała się wizerunkiem objętych chłopaka i dziewczyny na tle nieokreślonego pejzażu. Tak właśnie przeczytałam „Dancing w kwaterze Hitlera". Oczywiście za wiele z książki nie pojęłam, pamiętałam tylko jedną rzecz: opowieść niemieckiego turysty o tym, jak w czasie II wojny światowej za karę budował bunkry Hitlerowi. Pewnego razu przymusowych robotników minął samochód z przyczepą pełną młodych, pięknych dziewcząt, które machały im i chwaliły się, że będą pielęgniarkami na froncie. Po jakimś czasie samochód wracał, na przyczepie leżały jakieś niepokojące kształty, przykryte plandeką. Jeden z robotników podbiegł i ją podniósł. Zobaczył dziewczęta. Wysuszone truchła leżały skurczone w makabrycznych pozach. Z dziewcząt spuszczono całą krew. Potrzebna była dla niemieckich żołnierzy. Gdy już jako dorosła osoba czytałam książkę raz jeszcze, ów fragment robił tak samo piorunujące wrażenie. Autor opowiadania, Andrzej Brycht, miał naprawdę dobre pióro.

▶ Dziecko Warszawy wychowane na Bałutach

Szkoda mi tego Brychta. Bo dobre pióro mogło iść w parze z barwnym życiorysem, pełnym wspomnień takich jak to o przerwanym kolegium, które, nawiasem mówiąc, znalazłam w tekście Michała Bołtryka („Szukam Andrzeja Brychta", „Kontrasty", styczeń 1987 rok). A opowieść o pisarzu mogłaby być anegdotycznym opowiadaniem o zbójowatym literacie lekkoduchu, pełnym pijackich historyjek i wariackiego klimatu, jaki na przekór klimatowi politycznemu często towarzyszył życiu twórców doby Polski Ludowej. Mogłaby być, ale nie będzie. Bohater, o którym piszę, dał się bowiem uwieść systemowi. I jestem prawie pewna, że nie zrobił tego bynajmniej z powodu głębokiej wiary w komunizm. Zarazem trudno też nazwać jego zachowanie zwykłym koniunkturalizmem, bo tego – wbrew pozorom – także nie można mu zarzucić. Co więc kierowało tym bez wątpienia utalentowanym pisarzem? Odpowiedź na to pytanie jest możliwa tylko po prześledzeniu jego losów.

Na świat przyszedł 27 września 1935 roku w Warszawie. Jednak kojarzy się go przede wszystkim z Łodzią, tam bowiem spędził większą część dzieciństwa i młodość. Legendarne Bałuty, „sławetna robotnicza dzielnica nędzy" – jak nazywa je Joanna Siedlecka w tekście

eprasa.pl 3197b25434

„Gdzie są chłopcy z tamtych lat? Andrzej Brycht" („Pani" nr 9, 1999 r.) – odcisnęły piętno na jego dalszych losach. Podobnie jak fakt, że był półsierotą. Jak wspomina Roman Samsel („Między dwoma światami", „Trybuna", 27 lipca 2001 rok), podczas II wojny światowej Brycht senior trafił do niewoli, do stalagu w Bettingen. Chciał uciekać, został zastrzelony podczas próby przepłynięcia rzeki Mozeli.

Być może to brak ojcowskiego dozoru sprawił, że młody Andrzej dość szybko rozstał się ze szkołą. Równie szybko rozpoczął tak zwane dorosłe życie. Jak wspominał w rozmowie z Łukaszem Wyrzykowskim („Uciekłem od swojej gęby", „Panorama", 30 października 1988 rok), mimo że aspiracją jego matki było, by został inżynierem albo lekarzem, okazało się, że miało być inaczej. W 1952 roku Brycht wylądował w Szkole Oficerskiej Artylerii Przeciwlotniczej w Koszalinie. Długo jednak nie zagrzał miejsca. Poznał bowiem zawodowego podoficera, z którym prawie od razu przepił otrzymane z domu pieniądze. Wówczas ów podoficer zaczął się znęcać nad Brychtem. W końcu przyszły pisarz spotkał dręczyciela na korytarzu i spytał, jak to się stało, że był kolegą, a teraz go szykanuje. „Tak, teraz cię będę gnoił" – usłyszał w odpowiedzi. Wówczas uderzył oficera w twarz na tyle silnie, że ten zarył w stojącą obok skrzynkę z piaskiem. Brycht wywinął się od sądu wojskowego, bo nie złożył jeszcze przysięgi. Wyleciał jednak ze szkoły. Cała sprawa mściła się na nim także później: przyszło do poboru wojskowego, przydzielono go do jednostki pracującej w kopalni. „Widocznie haka dostałem" – komentował w cytowanym już wywiadzie. Opowiadał także inną wstrząsającą historię, właśnie z czasów wojska. Otóż swoją pierwszą żonę – a miał ich Brycht w sumie pięć – pisarz poznał bardzo wcześnie. On miał 17 lat, ona 13. Cztery lata później on przebywał w wojsku, a ona rodziła jego dziecko. Poród przebiegał bardzo ciężko, Brycht chciał być przy kobiecie, prosił o urlop. Od porucznika usłyszał: „Skoro wasza żona umiera, to i tak jej nie pomożecie. Jak ma umrzeć, to umrze. A jeżeli wyzdrowieje, to wtedy pojedziecie na urlop i popier... sobie".

Z kolei Andrzej Chąciński („Życie Andrzeja Brychta", „Życie", 17 maja 2001 rok) wspomina, że służba wojskowa skończyła się w ten sposób, że Brycht wylądował w Lublińcu, przez władze wojskowe wysłany do lokalnego szpitala psychiatrycznego. Wrócił potem do Łodzi i biedował wraz z żoną i synkiem.

▶ Łódź –Jelenia Góra–Warszawa

Wśród licznych dorywczych zajęć Brychta pojawiło się także regularne pisywanie do gazet. Publikował opowiadania w „Kierunkach" i „Dziś i Jutro". „Kierunki" przyznały mu zresztą stypendium twórcze. Później został kierownikiem działu „Poezja" w tym właśnie czasopiśmie. Joanna Siedlecka we wspomnianym już artykule przytacza opowieść krytyka Zbigniewa Irzyka. Wspominał on, jak jeden z szefów tytułu, dystyngowany i arystokratyczny Nik Roztworowski, wielki arystokrata, dał Brychtowi jakąś teczkę z maszynopisami i kazał, żeby się z nią przez tydzień zapoznał. Brycht oddał papiery po godzinie, wydzierając się, że to „sami grafomani" i on ich twórczości drukować nie będzie. „Sam będę pisał!" – krzyczał.

Sam początek znajomości Irzyka i Brychta też był ciekawy. Relację krytyka przytacza wspomniany już przeze mnie Bołtryk: otóż jakoś tak wyszło, że zaraz przy pierwszym spotkaniu... zaczęli najpierw rozmawiać o boksie (Brycht w młodości boksował dużo i z sukcesami), a potem poszli się boksować. Na dokładkę w pokoju zajmowanym przez Ankę Kowalską, autorkę słynnej „Pestki" i późniejszą działaczkę Komitetu Obrony Demokracji. W pewnym momencie Brycht pośliznął się, wywalił na podłogę, Irzyk poleciał na niego. Kłębiących się na podłodze i usiłujących wstać ludzi pióra zastał w takiej właśnie sytuacji wspomniany już Nik Roztworowski i popatrzył z politowaniem. Nawiasem mówiąc – to już mój komentarz – cierpliwość biednego arystokraty chyba była w owej redakcji wystawiana na nieustające próby.

Fakt, że drukowano Brychta coraz więcej, nie oznaczał bynajmniej, że jakoś znacząco się on wzbogacił. Chąciński zaznacza, że poza ryczałtem w PAX-ie (wydawca „Kierunków"), który zresztą i tak szedł w całości na alimenty dla syna, nie miał stałych dochodów. Jeśli jednak nawet nie śmierdział groszem, to i tak działał na kobiety. Choć z żoną się jeszcze nie rozszedł, w jego życiu pojawiła się pewna plastyczka. Też miała kłopoty finansowe. Ostatecznie para zdecydowała się na wyjazd do Jeleniej Góry. Tam przemieszkali rok, oboje pracowali. Przy czym on pisał teksty zarówno do łódzkiej prasy, jak i do „Nowin Jeleniogórskich". Co jakiś czas pojawiał się w stolicy, w redakcji „Kierunków".

Jerzy Nowakowski wspomina („Andrew Bright – wzlot i upadek pisarza", „Gazeta Pomorska" nr 225, 1999 rok), że Brycht cieszył się sympatią Janiny Kolendo, będącej wydawcą w Instytucie Wydawniczym PAX, lubiła ona zresztą wszystkich młodych. Pisarz nadal kolekcjonował też pijackie wyczyny. Podczas imienin ówczesnego szefa Nowakowskiego kopnął gospodarza imprezy w kostkę tak mocno, że cierpiący na zwyrodnienie kości nieszczęśnik kurował się później w licznych sanatoriach.

Zapewne właśnie imprezowe predylekcje sprawiły, że świetnie odnalazł się w redakcji „Współczesności". „Redakcja przypominała mordownię na Pradze. Butelki w każdym kącie i w każdym biurku. Sfory pijanych facetów, jakieś piękne dziewczyny i zupełne dziwki, smutne i wierne jak suki. Bijatyki między Himilsbachem i Śliwonikiem, gruzłowaty Brycht, prosto z kryminału" – cytuje

eprasa.pl 3197b25434

wspomnienie Bohdana Drozdowskiego zamieszczone w „Poezji" Michał Bołtryk.

Z kolei Chąciński podaje, że kiedy w 1958 roku patronat nad tytułem objęło wydawnictwo „Ruch", to Brycht został jednym z redaktorów. Wyleciał po pięciu miesiącach. Albo może inaczej: kiedy trafił do więzienia, wsadzony tam za pobicie jakiegoś faceta na własnym wieczorze autorskim, jego drogi z redakcją rozeszły się. Notabene długo nie siedział. Opiekujący się debiutującymi pisarzami Jerzy Putrament załatwił mu zwolnienie po siedmiu tygodniach.

Brychta można już w tym czasie nazywać pisarzem. W PAX-ie w 1961 roku ukazał się „Czerwony węgiel", zbiór Brychtowych reportaży. W tym samym roku Wydawnictwo Łódzkie wydało „Suche trawy". Krytycy do obu publikacji podeszli nad wyraz pozytywnie.

Warto odnotować, że jeszcze przed odsiadką Brycht rozstał się ze swoją partnerką. Kolejna kobieta w jego życiu także interesowała się sztuką i studiowała w Łodzi w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Chąciński zaznacza, że była zupełnie inna niż swoja poprzedniczka: piła, nie przejmowała się tym, w co jest ubrana. Koledzy nazywali ją „Indianką". Pisarz ożenił się z dziewczyną po wyjściu z więzienia.

▶ „Dancing" i „Raport"

Na rynku pojawiały się kolejne zbiory opowiadań Brychta. W 1962 roku pisarz dostał Nagrodę Fundacji im. Kościelskich, którą przyznawano młodym (do 40. roku życia) literatom tworzącym w kraju lub na emigracji. Kiedy w 1964 roku miał wyjechać za granicę, by w Szwajcarii odebrać nagrodę, odmówiono mu paszportu. Za kluczowy dla jego kariery należy jednak z pewnością uznać rok 1966; wówczas wydano „Dancing w kwaterze Hitlera". Akcenty antyniemieckie i krytyka „bananowej młodzieży" – zazwyczaj w ten sposób skrótowo przedstawia się przesłanie książki. Jest to w mojej ocenie krzywdzące. Akcenty antyniemieckie – jeśli tak można nazwać opowieści o okrucieństwie Niemców podczas II wojny światowej – rzeczywiście się pojawiają, ale nie jest to nachalna propaganda. Zwłaszcza że niemiecki turysta, który uwodzi Ankę, nie budzi jednoznacznej antypatii, raczej wzbudza niechętny podziw i zawiść. „Krytyka bananowej młodzieży" także się pojawia, ale stanowi element szerszej opowieści. „Dancing" bowiem to także historia młodego chłopaka, który jeszcze nie zdążył się rozczarować co do kobiet, jeszcze wierzy w miłość, szuka jej. Ostatecznie niebogaty chłopak przegrywa z bogatym mężczyzną z zagranicy, ale przegrywa także dlatego, że tamten jest po męsku zdecydowany. W gestach, słowach, pragnieniach.

Fenomenem jest, że zarówno „Dancing w kwaterze Hitlera", jak i opowiadanie „Wycieczka Auschwitz-Birkenau" podobały się nie tylko władzy ludowej, lecz także polskiej emigracji, zupełnie władzy ludowej niekochającej. Giedroyciowa „Kultura" pisała o Brychcie przychylnie, a Radio Wolna Europa umieściło „Dancing" na trzeciej pozycji listy najwartościowszych publikacji roku. Wydany rok później „Raport z Monachium" entuzjazmu za granicą nie budził. Wręcz przeciwnie.

„Raport z Monachium" w częściach był najpierw drukowany w warszawskiej „Kulturze", dopiero później ukazał się w formie książkowej. Redaktor Lejman („Dlaczego pan nie lubi Niemców, panie Brycht? »Wieczór« rozmawia z autorem »Raportu z Monachium«, „Wieczór Wybrzeża", 26 stycznia 1969 rok) notował, że książka jest „mocna, twarda, waląca w dzisiejszych Niemców, hodujących tam stare, germańskie tradycje". Jak przedstawia współczesnych sobie Niemców Brycht? „Nie mam nic przeciwko dzieciom największych nawet zbrodniarzy, bo dzieci nie mogą odpowiadać za winy ojców. Ale Frau Himmler nie jest dzieckiem. W jej mieszkaniu znajdują się portrety Himmlera w mundurze naczelnego wodza SS, zdjęcia Himmlera w towarzystwie Hitlera, odznaki SS, odezwy, książki. »Jestem dumna z mego nazwiska – mówi pani Himmler dziennikarzom. Jestem dumna z mojego ojca, kiedyś ludzkość będzie wspominała jego nazwisko tak, jak wspomina Napoleona...«. Frau Himmler nie wychodzi za mąż, choć propozycji od fanatycznych faszystów jej nie brakuje. »Trzeba, aby żył jeszcze ktoś o nazwisku Himmler« – powiada". Ten fragment mógłby jeszcze ujść. Inne są dużo gorsze. Niemców – oczywiście tych z RFN – przedstawia jako reakcjonistów i odwetowców. Co ciekawe, Chąciński zaznacza, że do redakcji „Kultury" napisał Mikołaj Dutsch, który w Monachium opiekował się Brychtem. Tłumacz twierdził, że Brycht przekłamał jego wypowiedzi i przypisał mu słowa niezgodne z jego przekonaniami. Swoją drogą część polskich czytelników uważała za nieładne, że Brycht tak „obsmarował" ludzi, którzy za granicą przyjęli go życzliwie. Co ciekawe, sam pisarz opowiadał Lejmanowi, że takie uwagi pojawiły się na spotkaniu autorskim w Krakowie. „Powiedziałem, że chociaż tamci nie są moimi wrogami jako ludzie, to będę ich niszczył jako wrogów ideologicznych". W „Raporcie" pojawiają się także uwagi dotyczące Radia Wolna Europa: „w tej ich rozgłośni siedzi cholernie dużo facetów spod ciemnej gwiazdy, którzy nawet u Niemców mają opinię kapusiów i sprzedawczyków. Takich, którzy nie są przekonani o żadnych racjach politycznych, tylko po prostu sprzedają swoją umiejętność posługiwania się polskim językiem".

Brycht pisał także o pracującym w RWE Tadeuszu Nowakowskim, twierdząc, że ten jest „uczciwy" (oczywiście na PRL-owską modłę!). Nowakowski poczuł się – skądinąd słusznie – urażony. I dał temu upust na łamach paryskiej „Kultury". Brycht żalił się na ów artykuł na łamach gazety Ludowego Wojska Polskiego „Żołnierz

eprasa.pl 3197b25434

Wolności" (14 lipca 1967 rok): „Nowakowski staje w obronie swych amerykańsko-monachijskich mocodawców. Ja w »Raportach« pisałem, że on jest uczciwy, że stara się nie działać przeciwko polskości pojętej najogólniej, a jego za to w Monachium porządnie widać skarcili, za tę przypisaną mu przeze mnie »uczciwość«".

W oficjalnej prasie krajowej nad „Raportem" rozpływano się jednak z zachwytu. „Bo przecież my, pokolenie, które przeżyło wojnę, wiemy, że to wszystko prawda. A jeszcze fakty tak podane, tak wspaniale zestawione: kontrast dzisiejszych Niemiec i okupacyjnych przeżyć – makabryczny balet oświęcimski, co śnić się może po nocach. W takim kontekście prawda uderza w samo serce" – brzmi fragment listu czytelniczki „Radia i Telewizji" z 1969 roku. To, że listów niepochlebnych zapewne po prostu nie drukowano, jest raczej oczywiste.

Listy, które można było przeczytać w prasie, wspominał po latach również Zbigniew Mentzel („Za pysk! Za pysk!", „Tygodnik Powszechny" nr 40, 1999 rok): „Dziękujemy, panie Brycht. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego potrzebna była nasza pomoc dla Czechosłowacji...". Opisywał także, jak w 1968 roku zaprowadzono go – wraz z innymi maturzystami – na monodram na podstawie „Raportu": Ryszard Filipski Brychtem opowiadał o „bawarskich militarystach".

Co miało wpływ na taki, a nie inny charakter „Raportu"? Choć trudno jednoznacznie ustalić, czy powstał on z bezpośredniej inspiracji władz ludowych, to pewnym jest, że pisarz miał kontakty z SB. „W momencie publikowania »Raportu z Monachium« Brycht współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa. W listopadzie i grudniu 1966 r. przed wyjazdem do Niemiec, »rozmowy operacyjne« odbyli z nim dwaj funkcjonariusze Departamentu II MSW" – pisze Paweł Machcewicz („Służbowy »Raport z Monachium«", „Rzeczpospolita", 29 lipca 2007 rok). Dodaje, że w 1967 roku był dla SB kontaktem poufnym, a rok później już tajnym współpracownikiem. Swoje raporty podpisywał pseudonimem „Gerard".

„Cytryny" i palma

Im bardziej był popularny, tym mocniej się zmieniał. Poprawiały się warunki finansowe. Cytowany już Chąciński zwraca uwagę, że nagły przypływ gotówki wpłynął na styl bycia Brychta. Ja ujęłabym to dosadniej: po prostu odbiła mu palma. Ta fajka z dobrym tytoniem, płaszcz Burberry i zamiłowanie do samochodów zupełnie przesłoniły pisarzowi rzeczywistość. Szczególnie cieszył się z samochodów. O citroenie, zwanym wówczas w PRL-u „cytryną", mówił nawet w jednym z wywiadów w 1967 roku (cytuję za Bołtrykiem): „Samochód kupiłem od tak zwanego tłumacza, Jerzego Lisowskiego. On go miał 4 lata. Zwiedził nim całą Europę. Nawet na Wezuwiusz się wdrapał. Obok niego jechali następujący ludzie, których znał: J.P. Sartre, A. Malraux, J. Kott. Pisarze wielu krajów. Wszyscy dostawali ataków serca. Gnał z szybkością 120 km na godzinę. Kochane samochody! Ja kupiłem od Lisowskiego wóz, on mnie przewiózł z piskiem opon z szybkością dochodzącą do 130 km/godz. Jeździłem nim zawsze z maksymalną szybkością".

Kawiarniane plotki przypisywały Brychtowi znajomość z Moczarem i to, że związał się z tzw. grupą partyzantów. Ile w tym prawdy? Trudno przesądzić. Fakt, że w lokalu ZLP często przesiadywał z członkami tej formacji.

Nie ma jednak nic za darmo. Sławomir Koper w nakreślonej przez siebie sylwetce Andrzeja Brychta zamieszczonej w książce pod tytułem „Stracone pokolenie PRL" pisze, że „Gomułka osobiście postanowił wydelegować go [tzn. Brychta – przyp. M.Z.] do Wietnamu, by tam obnażył mechanizmy »brudnej« wojny prowadzonej przez amerykańskich imperialistów". Chąciński podkreśla z kolei, że w związku z tym, że pisarz John Steinbeck napisał kilka reportaży o sytuacji w Wietnamie, PZPR wymyśliła, że potrzebuje odpowiedzi. I tak właśnie awansowany na sierżanta i członka Polskiej Misji Wojskowej Brycht trafił do Hanoi.

Za wiele zresztą z tej wizyty w Wietnamie nie wyszło. Kilka tekstów pod winietą „Mój Wietnam" ukazało się w „Kulturze", jednak ich publikację przerwano. Koper wskazuje, że powodem był niski poziom literacki tekstów. Nic nie wyszło również z wycieczki pisarza do NRD, gdzie także miał pisać o Niemcach, ale tym razem pozytywnie. Może nie umiał? Może antypatia do naszego zachodniego sąsiada była szczera? W końcu nieobecność ojca wpłynęła znacząco na jego życie i być może w głębi serca sądził, że Niemiec to Niemiec, niezależnie od tego, czy z RFN czy z NRD? Tego się raczej już nie dowiemy.

Sytuacja zaczęła robić się skomplikowana. Kończyły się pieniądze. Do tego doszła kolejna sprawa sądowa. Otóż podczas wspomnianej wcześniej odsiadki Brycht napisał opowiadanie „Relacja". Inspiracją była opowieść jednego z towarzyszy więziennej niedoli. Brycht, nie zastanawiając się, opisał sprawę tak, jak mu ją przedstawiono, nie zmieniając personaliów bohaterki. Ta, przeczytawszy dzieło Brychta, uznała, że ją zniesławiono, i pozwała autora. Chociaż Brycht przeprosił, skazano go na grzywnę i 10 miesięcy więzienia w „zawiasach" na dwa lata.

Mimo to Brycht nadal dużo podróżował – towarzyszyła mu kolejna, trzecia już, żona, znów plastyczka. Właśnie z nią udał się w podróż, z której postanowił nie wracać.

Wszędzie obcy

Przede mną leży „Życie Warszawy", numer z 18 sierpnia 1971 roku. Krótka notka, której autorzy powołują się

eprasa.pl 3197b25434

zresztą na PAP, głosi, że „Prasa i agencje zachodnie podają, że pisarz Andrzej Brycht zwrócił się do władz belgijskich o udzielenie mu prawa azylu (...)". Tytuł notatki: „Ześwinił się".

Roman Samsel wspomina, że po porzuceniu Polski Ludowej Brycht musiał się mierzyć z zemstą decydentów literackich, którzy postanowili wymazać wszelką pamięć o pisarzu. Chociaż akurat w przypadku Brychta po latach ta decyzja wydaje się zabawna. Sam pisarz tłumaczył bowiem przyczyny swojej ucieczki następująco: „Uciekłem z Polski nie od komunistów, systemu, prześladowań, bo było mi tu nieźle. Uciekłem nie dlatego, że nie wydawano mi książek, czy ktoś je kaleczył – wszystkim cenzurowano. Uciekłem od swojej gęby, którą mi przyprawiono!" – opowiadał Wyrzykowskiemu.

Cóż jednak zrobił pisarz za granicą? Jedną z pierwszych czynności Brychta po znalezieniu się we Włoszech było wykonanie telefonu do Giedroycia. Pisarz prosił o wsparcie. Samsel nazywa otrzymane od naczelnego paryskiej „Kultury" 50 tys. lirów „marną zapomogą finansową". Dodaje także, że wokół Brychta panowała atmosfera podejrzliwości. Pojawili się i tacy, którzy przed nim ostrzegali. Że niby zbiera materiały do kolejnego „Raportu".

Pisarzowi nie układało się także w życiu osobistym. Wraz z żoną wyjechali w 1972 roku do Toronto. Następnie udali się na Haiti, gdzie... się rozwiedli. Ona wróciła do Brukseli, gdzie, jak pisze Chąciński, „ktoś na nią czekał", on zamieszkał w Toronto.

W kanadyjskim autobusie

Są świadectwa, z których wynika, że Brycht na emigracji spokorniał i wyzbył się pychy. Faktycznie, życie go nie rozpieszczało. By się utrzymać, pracował m.in. jako bramkarz w nocnym klubie, a także kierowca autobusu kursującego między Toronto a miasteczkiem Hamilton. Znów się ożenił. Czwarta żona była Polką, miał z nią drugiego syna, a także córkę z jakiegoś romansu. Piąta, ostatnia żona, Lucy, była szkolnym psychologiem.

Roman Samsel opisuje, jak w czasach, w których Brycht zarabiał na życie, sprzedając bilety autobusowe, jeden z pasażerów zaczepił go, mówiąc, że zna jego książki i że są świetne. Brychta niezmiernie to uradowało, wręcz wstąpił w niego nowy duch.

Zaczęły się kolejne próby literackie, jakiś scenariusz do filmu, którego nie można nazwać sukcesem. Rozmyślał nad odwiedzeniem Polski. W „Twórczości" pojawiło się najpierw opowiadanie „Hubris" (1984), a dwa lata później opowiadanie „Zmienna ogniskowa", o którym Bołtryk pisze, że musiała w nie ingerować cenzura, ponieważ miejscami było zbyt mocno... antyklerykalne.

W końcu pisarz przyjechał do kraju, miało to miejsce pod koniec lat 80. Choć zapewne wydawało mu się, że nie będzie życzliwie przyjęty, jak zaznacza Chąciński, zaproszono go do telewizji. Rozmowę prowadziła Irena Dziedzic, jedna z ówczesnych gwiazd małego ekranu. Wywiad z pisarzem ukazał się także w „Kulturze". Korzystając z jej łamów, Brycht rzucał kalumnie na Zbigniewa Herberta, Jerzego Giedroycia i Antoniego Słonimskiego.

W 1989 roku w kraju ukazała się jego książka „Azyl polityczny". Koper pisze, że Brycht chyba nie do końca orientował się, jak wygląda polska rzeczywistość, że jak to się mówi: czas jest historyczny, a PRL właśnie odchodzi do lamusa. W mojej ocenie nie ma to znaczenia. Albo nie wiedział i nie wyczuł koniunktury, albo wiedział i miał to gdzieś. Choć obstawiałabym to drugie. W każdym razie w książce Brycht bardzo nieżyczliwie opisał przedstawicieli polskiej emigracji. „Z pewnością nie jest dobrym pisarzem. Tego przekonania nabrałem, czytając »Azyl polityczny«, książkę wydaną 18 lat po wyjeździe Brychta z Polski. W sposób równie prostacki wyżywa się na osobie Jerzego Giedroycia i na ciele żony swego przyjaciela, zresztą ku uciesze tego ostatniego" – recenzował Dariusz Wilczak („Brycht o Brychcie", „Dziennik Ludowy" nr 259, 1989 rok).

Pisarz wrócił do Kanady. Napisał jeszcze dwie powieści o charakterze sensacyjnym. Chąciński wspomina, że pod koniec lat 90. zaczął „zdawać sobie sprawę z rezultatów swojej działalności". Na dowód przytacza fragment listu pisarza do jednego ze znajomych: „I wcale mi się nie podoba to, co mam i to co niby znam i to co ja z tym życiem zrobiłem".

Zmarł 8 marca 1998 roku w Kanadzie, pochowano go na cmentarzu w Hamilton. Żona Brychta o jego śmierci opowiadała Samselowi. „Po śmierci Andrzeja Lucy zadzwoniła do mnie, aby mi powiedzieć, że odszedł w spokoju. Ósmy marca wypadł w niedzielę. Andrzej przez cały ranek leżał w łóżku. Wstał około południa, zszedł do gabinetu, czegoś tam szukał. Po pewnym czasie poprosił, żeby ugotowała mu zupę. Po pewnym czasie Lucy weszła do sypialni, Andrzej spał. Wróciła po godzinie. Jeszcze spał. I ciągle spał" – wspominał.

Można patrzeć na opowieść o Brychcie jak na historię cynicznego, zachłannego chłopaka z Łodzi, któremu zależało na pieniądzach, a który w drugiej połowie życia dusił się z frustracji, że nie wyszło do końca tak, jak chciał. I pewnie sporo jest w takim spojrzeniu prawdy. Ale można też spojrzeć jak na opowieść o piekielnie zdolnym, utalentowanym chłopaku, który wiedząc, że nie ma warunków, by wykorzystać swe zdolności, podejmował błędne decyzje. Z całą pewnością jest to opowieść o zmarnowanym talencie i piórze, które mogło służyć lepszej sprawie. Czy są dla Brychta usprawiedliwienia? To już oceńcie Państwo sami. ■

Autorka jest pracownikiem POLSKIEGO RADIA SA.

eprasa.pl 3197b25434

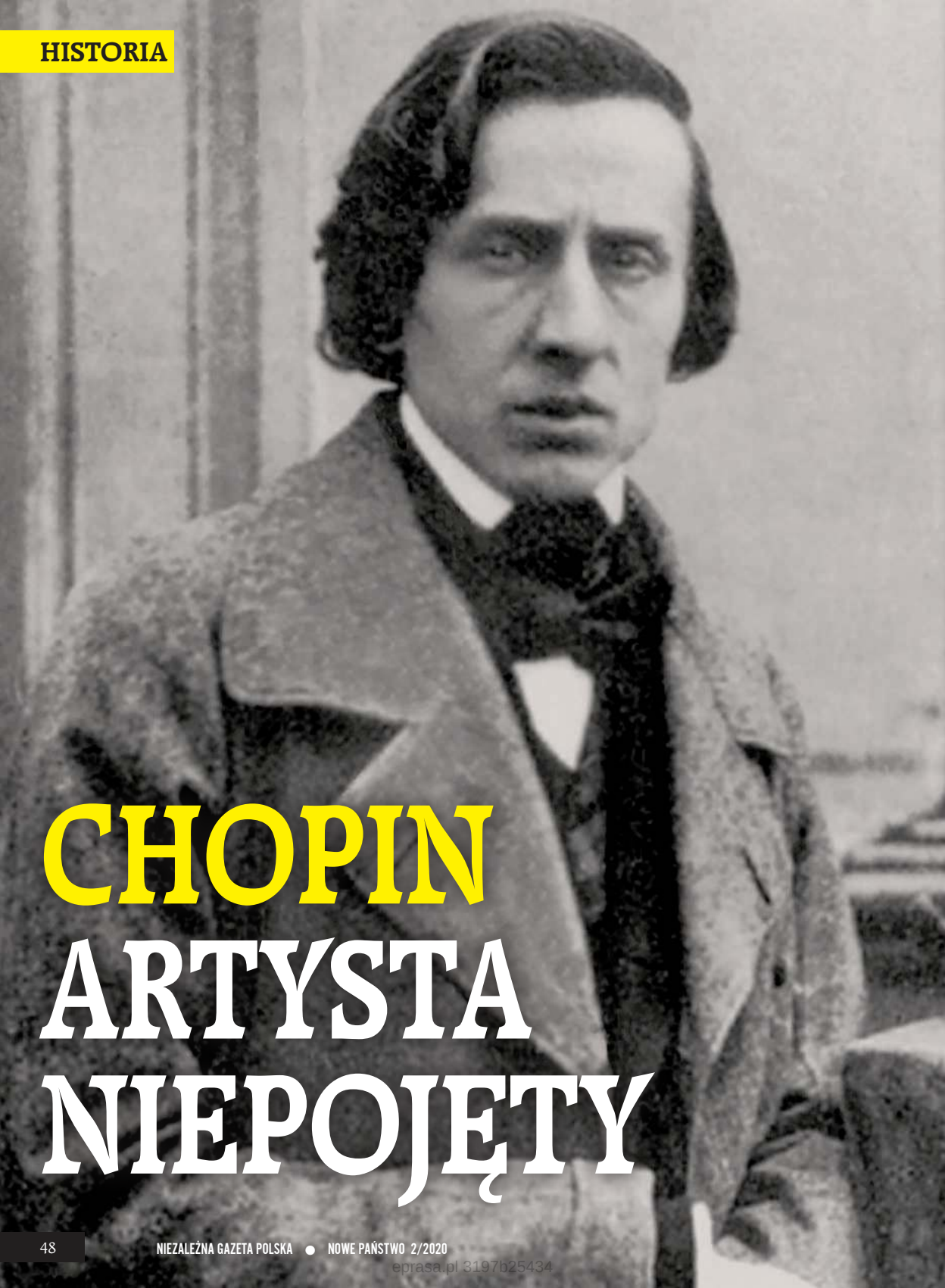

CHOPIN ARTYSTA NIEPOJĘTY

eprasa.pl 3197b25434

Agnieszka Kowalczyk

„Gdyby potężny samodzierżca car północy przypuszczał, jakie groźne niebezpieczeństwo kryje się w muzyce Chopina, w prostych melodiach jego mazurków, zabroniłby tej muzyki. To są armaty ukryte wśród kwiatów" – mówił o muzyce Fryderyka Chopina kompozytor Robert Schumann.

fot. Wikipedia

Muzyka Chopina była i jest dla nas, Polaków, przede wszystkim żywym wcieleniem tego, co stanowi esencję polskości, co składa się na tożsamość i godność narodu, na jego duchowe piękno. Ignacy Paderewski, wybitny pianista i przyszły premier odrodzonej Rzeczypospolitej, starając się wyrazić istotę muzyki romantycznego twórcy i to, czym była dla żyjących w niewoli, w setną rocznicę jego urodzin (1910) mówił, że w czasach zaborów zabraniano Polakom wszystkiego – „mowy ojców, wiary przodków, czci dla świętych przeszłości pamiątek, strojów, obyczajów, pieśni narodowych... Zabraniano nam Słowackiego, Krasińskiego, Mickiewicza. Nie zabraniano nam tylko Chopina". A jednak to w jego subtelnych, a zarazem potężnych tonach kryje się dramat polskiej historii, wybrzmiewa dostojeństwo tradycji i umiłowanie piękna ojczystej ziemi, bo jak uznał Paderewski: „w Chopinie tkwi wszystko, czego nam wzbraniano: barwne kontusze, pasy złotem lite, posępne czamarki, krakowskie rogatywki, szlacheckich brzęk szabel, naszych kos chłopskich połyski, jęk piersi zranionej, bunt spętanego ducha, krzyże cmentarne, przydrożne wiejskie kościółki, modlitwy serc stroskanych, niewoli ból, wolności żal, tyranów przekleństwo i zwycięstwa radosna pieśń [...]. Wszak on był i tym przemytnikiem, co w zwitkach nut niewinnych [...] rozwoził zakazaną polskość".

Był jedną z najbardziej fascynujących postaci XIX wieku. Wirtuoz fortepianu obdarzony fenomenalnym talentem muzycznym, twórca legendarnej „Etiudy rewolucyjnej", porywających polonezów i mazurków, nastrojowych preludiów i tęsknych nokturnów, człowiek, którego muzyka ze zdwojoną siłą odżyła w niepodległej Polsce. Wtedy to genialnemu pianiście poświęcił swą ostatnią książkę pt. „Życie Chopina" (1938) Juliusz Kaden-Bandrowski, międzywojenny pisarz i publicysta. Stanowi ona zbiór przesyconych liryzmem esejów biograficznych, które z jednej strony tworzą pogłębiony psychologicznie portret Chopina-artysty, a z drugiej ukazują go jako człowieka z krwi i kości, zmuszonego borykać się z materią i bolesną cielesnością, mierzyć z chorobą wydzierającą mu życie.

Pierwsze wtajemniczenie

Przyszedł na świat w 1810 roku, w Żelazowej Woli, niewielkiej wsi wtopionej w pejzaż równiny mazowieckiej z malowniczymi wstęgami lasów, łąk i pól, z przydrożnymi wierzbami i melancholijnymi brzozami nad Utratą. Chociaż rodzina Chopinów, wkrótce po narodzinach Fryderyka, przeniosła się na stałe do Warszawy, często powracała latem w te strony, w gościnę do hrabiostwa Skarbków, u których ojciec pianisty był wcześniej guwernerem.

eprasa.pl 3197b25434

Jak się to stało, że Chopin odkrył w sobie dar muzyki, że dotknął po raz pierwszy klawiatury? Było to w latach dziecięcych, w domu ukochanych rodziców, bo już wtedy towarzyszyła mu muzyka. Jego matka pani Justyna z Krzyżanowskich Chopinowa siadała do fortepianu i ujmowała swym wdzięcznym głosem, a ojciec Mikołaj, pochodzący z Lotaryngii nauczyciel języka francuskiego, grał doskonale na flecie i skrzypcach. Mały Frycek żył więc w świecie dźwięków – przenikała jego duszę „bialutka gama fletu, angielski syk skrzypiec czy metalo-strunowy dźwięk fortepianu", a podczas wakacji spędzanych na wsi chłonął muzykę ojczystej ziemi i śpiew prostego ludu. Wyczuwał w nich tę aurę, „na którą człowiek się składa, i ptak, i zwierzę, i głos sprzężaju, stęk drzewa, cios żelaza i sam oddech całego żywiołu ojczystego". I tak pewnego dnia, jak wyobrażał sobie Kaden-Bandrowski, ten niespełna pięcioletni chłopiec zasiadł do fortepianu i przeżył swą inicjację w świat muzyki, przemieniając klawiaturę „w morze pełne nowości brzmienia".

Cud pierwszej gry mógł dokonać się w warunkach prozaicznej rzeczywistości, sam z siebie, być może nawet wtedy, gdy obok, w kuchni krzątała się pani Justyna, a w sąsiednim pokoju bawiła swe lalki siostra Ludwika. W takiej to chwili, w której łączy się natchnienie z powszedniością, dochodziło do pierwszego rozpoznania siebie w „dźwięcznych zaświatach". Wszystko to sprawiało, że rzeczy ziemskie widzieć mógł Fryderyk w jasnych barwach jako niewinne, ukochane, przesycone aurą radości i pogody. Fascynował go świat przyrody, który opisywał z humorem i zaciekawieniem właściwym dziecięcej naiwności. Z pasją odkrywcy tajemnic gospodarskiego obejścia odnotowywał na przykład: „W Bocheniu zjadł lis dwóch bezbronnych gąsiorów. Kto by go złapał niech raczy uwiadomić sąd bochaniecki, który niezawodnie podług prawa przepisów zbrodniarza ukarze. Oddawcy zaś lisa owe dwa gąsiory jako wynagrodzenie odstąpione będą. [...] Krowa ma się bez porównania lepiej, już przyjmuje wizyty, a niedługo i sama oddawać będzie".

Gwiazda w łapach niedźwiedzia

Los chciał, by przyszły wirtuoz fortepianu w początkach swojej edukacji muzycznej, w wieku sześciu lat, trafił pod opiekę Wojciecha Żywnego, który jako znawca Bacha i Mozarta rozbudzał smak estetyczny utalentowanego chłopca i wszczepiał mu zamiłowanie do dzieł muzyki wielkich mistrzów. „Gwiazda w łapach niedźwiedzia" – pisał z humorem o nauczycielu i uczniu Kaden-Bandrowski, widząc w Żywnym dobrodusznego i staroświeckiego poczciwca, który zasłynął ze swej kamizelki uszytej z nabytych na licytacji spodni króla Stanisława Augusta Poniatowskiego oraz z oryginalnej tabakierki z wizerunkiem Mozarta lub Haydna. Tak wystrojony zachodził na lekcje do Fryderyka, mówiąc swoim zwyczajem: „Patrzże, synku, jak świat jest niezbadany, ogromny, co samemu królowi posterior kryło, to biednemu muzykowi żołądek grzać może". Nieraz zamiast ćwiczyć gamy i pasaże, grał z Fryderykiem w karty bądź opowiadał mu o kościuszkowskich czasach i jeszcze odleglejszych wielkich wydarzeniach z historii Polski, które to „właśnie dzieje młody Chopin zaraz potem swemu mistrzowi na klawiszach wygrywał". Ten zaś „z rozrzewnieniem talent ucznia podziwiał", uważnie śledząc jego postępy w grze i chwaląc pierwsze kompozycje – polonezy, marsze i wariacje, dzięki którym zaczęto nazywać małego muzyka cudownym dzieckiem. „Prawdziwy geniusz muzyczny – pisano o nim w roku 1818 w „Pamiętniku Warszawskim" – nie tylko bowiem z łatwością największą i smakiem nadzwyczajnym wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nadto jest już kompozytorem kilku tańców i wariacji, nad którymi znawcy muzyki dziwić się nie przestają". Mając przecież zaledwie osiem lat dał Fryderyk swój pierwszy publiczny koncert w Pałacu Radziwiłłowskim, podczas którego kilkuletni Zygmunt Krasiński deklamował wiersze, a twórca „Powrotu posła" Julian Ursyn Niemcewicz osobiście składał gratulacje zdolnemu pianiście. Jako czternastolatek olśnił natomiast publiczność wykonaniem koncertu Kalkbrennera – ówczesnego „Paganiniego fortepianu", a cztery lata później ukończył swój pierwszy „Koncert f-moll" – stanowiący objawienie nowej techniki fortepianu. Wszystkie te występy sprawiły, że stało się o nim głośno w Warszawie. Był podziwiany i oklaskiwany w salonach Czartoryskich, Sapiehów, Radziwiłłów, Zamoyskich, Potockich, Krasińskich, Platerów... Na wezwanie wielkiego księcia Konstantego koncertował nawet w Belwederze – „czarnym gnieździe niewoli". I stąd, jak zauważył Kaden-Bandrowski, „wyjdzie w świat, by za sto lat muzyką swą powitać w tym samym miejscu, w warszawskim Belwederze, męża odnowiciela, który przybędzie tutaj z pola bitew zwycięskich – Ty, wieczne ucho Polski, a on, Józef Piłsudski".

„Młodość górna i chmurna"

Dalszy rozwój muzyczny Fryderyka przebiegał pod bacznym okiem samego Józefa Elsnera, wybitnego muzyka, który udzielał mu prywatnie lekcji kompozycji. Jednocześnie uczył się w prestiżowym Liceum Warszawskim, a wakacje spędzał w wiejskich majątkach przyjaciół, gdzie poznawał miejscowy folklor, a zwłaszcza pieśni, tańce i muzykę ludu. Najczęściej bywał w Szafarni na Kujawach, w Sannikach koło Sochaczewa, w Poturzynie na Lubelszczyźnie i w Wielkopolsce u matki chrzestnej w Strzyżewie. Inspirujące okazały się

eprasa.pl 3197b25434

dla niego także podróże po ziemi ojczystej, do Dusznik, Torunia, Gdańska, Płocka i wielu innych miejsc na mapie Wielkopolski, Pomorza i Śląska, które miały i to znaczenie, że korzystnie wpływały na stan zdrowia młodzieńca zagrożonego gruźlicą. Z uzdrowiska w Dusznikach pisał do profesora Elsnera: „Świeże powietrze i serwatka, którą pijam skwapliwie, tak mnie postawiły na nogi, że jestem całkiem inny niż w Warszawie", jednocześnie skarżąc się: „brak mi jednej rzeczy, której wszystkie piękności Dusznik nie mogą zastąpić, to jest dobrego instrumentu".

„Młodość górną i chmurną" Chopina, teraz z kolei studenta Szkoły Głównej Muzyki w Warszawie, znaczyły pierwsze wielkie dzieła („Wariacje B-dur", „Sonata c-moll", „Fantazja A-dur na tematy polskie", „Rondo à la Krakowiak") i pierwsza młodzieńcza miłość. W lipcu 1929 roku Józef Elsner powiedział o swoim uczniu: „Szopen Friderik – szczególna zdolność, geniusz muzyczny". Tego lata po raz pierwszy zatryumfował na scenie światowej – w Wiedniu, w teatrze cesarsko-królewskim, gdzie dał dwa koncerty „Wariacje op. 2" i „Rondo op. 14", wywołując prawdziwą euforię wśród publiczności.

Miłość zaś wybuchła nagle, wśród muzyki, a jej obiektem była Konstancja o szafirowych oczach, młoda, utalentowana śpiewaczka, córka burgrabiego Gładkowskiego. Młodym zdawało się wtedy, jak pisał Kaden-Bandrowski, że „muzyka wzywa ich i powołuje, a nie wiedzą, ile w nich jest muzyki, ile zaś ich młodości, która w powabie sztuki woła, że już czas kochać". Miłość do Konstancji wypełniała i opromieniała Chopina, była dla niego inspiracją dla stworzenia „Larghetto" – wolnej części pierwszego „Koncertu f-moll". Konstancja natomiast debiutowała w operze „Agnese" stworzonej przez Ferdinando Paëra. Cała w bieli, z różami wpiętymi we włosy, „cudowna, zmieniająca się w śpiew", okrzykiwana i podziwiana, oblegana przez tłum adorujących ją oficerów, ale wpatrzona tylko w jednego młodzieńca – Fryderyka, z którym rozdzieli ją niebawem przekorny los.

„Boleję na fortepianie"

Przyszedł w końcu czas, by wyruszyć w daleki świat. Przed wyjazdem do Wiednia Chopin stworzył dwa koncerty fortepianowe f-moll op. 21 i e-moll op. 11, które wykonał „pośród dwóch zwalczających się obozów muzykalnych, Elsnera i Kurpińskiego". Były to jakby jego skrzydła, którymi poszybował ku temu, co obce i nieznane, a co wydawało się wielkie i tajemnicze. Gdy na początku listopada 1830 roku żegnał ojczystą ziemię, widział przed sobą „szare drogi, przysiadłe domy i drzewa szumiące ku oddalom". W swym pamiętniku napisał: „Myślę, że opuszczam Warszawę po to, żebym nigdy już nie wrócił do domu". I tam też, na obczyźnie, dotrzeć miała do niego porażająca wieść o wybuchu powstania listopadowego. Chciał wracać do Polski i bić się z Moskalem, ale powstrzymał go przyjaciel Tytus Woyciechowski. Od tego momentu przeklinał dzień wyjazdu z kraju – „wszystkie obiady, wieczory, koncerta, tańce, których mam po uszy, nudzą mnie: tak mi tu smętno, głucho, ponuro [...]. W salonie udaję spokojnego, a wróciwszy piorunuję na fortepianie. Z nikim poufałości [...]". W tym czasie Chopin niemal zaprzestał koncertowania, w bólach rodziły się jego nokturny op. 9 i op. 15, „Polonez op. 22" i pierwsze mazurki.

W Stuttgarcie, na wieść o upadku powstania, dał wyraz swym dramatycznym przeżyciom, pisząc: „O Boże, jesteś Ty, jesteś i nie mścisz się! [...] Mój biedny ojciec, mój poczciwiec może głodny, nie ma za co matce chleba kupić! Może siostry moje uległy wściekłości rozhukanego łajdactwa moskiewskiego. Paszkiewicz, jeden psiak z Mochilewa dobywa siedziby pierwszych monarchów Europy... tak czemuż choć jednego Moskala zabić nie mogłem, a ja tu z gołymi rękami, czasem tylko stękam, boleję na fortepianie". Wielką, nigdy niezabliźnioną raną było targające nim poczucie winy, że nie przystąpił do powstania, że nie zdobył się na akt czynnego udziału w walce o niepodległą Polskę. Tymczasem „uciec nie było gdzie. Trzeba było, by się ta rana wgłębiała dalej i jeszcze głębiej aż do samej zasady istnienia. Aby się stała chlebem świętym, a zarazem powszednim". Z tego jednoczenia się z cierpiącym i umęczonym narodem, z tego bólu, gniewu i bezsilności rodziła się muzyka wyrażająca wewnętrzny dramat artysty-Polaka. „Wtedy na wierzchu śmiech, wesołość, krój fraka, rozkosz, modne buciki, sława, najdroższe bibeloty, a w sobie kamienie młyńskie dźwigasz, tak z drobnej pestki gotowyś świat utoczyć, z czterech czy z pięciu tonów zapomnianej śpiewki wznieść całe prawo piękna". Klęska powstania listopadowego i krwawe represje, jakie spadły na walczących o wolność, znalazły swoje najpełniejsze odzwierciedlenie w przejmującej „Etiudzie Rewolucyjnej", sugestywnie oddającej tragedię narodu.

Na podbój Paryża

Z uwagi na to, że powrót do ojczyzny był w tym momencie niemożliwy, Chopin postanowił udać się do Paryża, ówczesnego centrum kultury i sztuki europejskiej. Po raz pierwszy wystąpił przed ówczesną elitą świata muzycznego w lutym 1832 roku, dając koncert w sali Pleyela, o którym pisano: „Wszystkich tutejszych fortepianistów zabił na śmierć".

Wkrótce podbił Paryż, swoją sztuką zdobył miasto Balzaka, Heinego, Liszta, Mickiewicza, Micheleta, miasto „chemików, filozofów, wodzów, generałów i powstańców". Tutaj przyszło mu też stoczyć walkę z dwie-

eprasa.pl 3197b25434

ma potężnymi indywidualnościami świata muzyki – z profesorem Friedrichem Kalkbrennerem, wcieleniem doskonałości, oraz z Ferencem Lisztem – „smokiem grzmiącą paszczęką klawiatury pożerającym wszystko, Bacha, Schuberta, Meyerbera, [...] Verdiego, samego Beethovena, pożerającym opery, pieśni, folklory, wielkie tańce, wszelką muzykę wszystkich części świata". Ten „smok siarczysty", jak oryginalnie nazwał go Kaden-Bandrowski, usłyszawszy polskiego kompozytora, zaszył się w swej samotni, by wyłonić się z niej jako „szopenista" i „dalejże Chopina ścigać jego własną muzyką". Ale w tej rywalizacji z Lisztem, który zdolny był opanować po mistrzowsku i odtworzyć każdą muzykę, Chopin potrafił wyjść zwycięsko i pokonać jego geniusz swoim... mazurkiem. Według Heinego przy Liszcie odpadają wszyscy pianiści z wyjątkiem jednego – Chopina, „Rafaela fortepianu". Odtąd otaczały go najwybitniejsze osobowości artystycznego świata. Bywali u niego: niemiecki poeta Heinrich Heine i kompozytor operowy Giacomo Mayerbeer, francuski tenor Adolphe Nourrit, a także jeden z najsłynniejszych malarzy romantycznych Eugène Delacroix. Znał Rossiniego, Belliniego, Berlioza, Hillera i Herza. W towarzystwie tych znakomitości siadał przy fortepianie Pleyela o „srebrnych i nieco stłumionych tonach" i „rozsypywał przed nimi najdelikatniejsze perły ze swego melodyjnego skarbca". To zaiste wybrańcy, którym dane było wniknąć w istotę jego mistrzowskiej gry i pozostać pod urokiem tej indywidualności – „mglistej, powiewnej, eterycznej".

Życie w stolicy Francji miało dla Chopina swój niewysłowiony urok. Od rana ściągały do jego apartamentu młode damy z wyższych sfer, owe „comtessy, principessy i baronessy", by opanować pod okiem mistrza tajniki gry na fortepianie. A on uczył je, jak „palce stawiać, łączyć tony, [...] rozjaśniać, ściszać, akordami malować stany duszy". Tworzył tym samym własną metodę władania instrumentem. To „nowa szkoła gry z serca" – „tęsknota, upragnienie, serce na końcach palców". Na jego paryskiej drodze stawali po wielokroć Polacy – książę Adam Jerzy Czartoryski, Delfina Potocka o anielskim głosie, „dobra i nieoceniona" Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, Julian Ursyn Niemcewicz, twórca „Śpiewów historycznych", to znów jacyś generałowie i dawni żołnierze-powstańcy, którym grał, wspinając się z wysiłkiem na piąte piętro paryskiej kamienicy. Wieczorami zaś przychodził czas na salony, gdzie jego przybycia oczekiwali książęta, ministrowie, ambasadorzy i rzesze innych ważnych osobistości, on zaś siadał przed fortepianem i mając twarz pełną „anielskich przeznaczeń", cały stawał się natchnieniem, zatracając się w swej muzycznej improwizacji. Grał tak, że miało się wrażenie, iż ściany salonu rozwiewają się, a „sufit opływa niebem". Najlepiej czuł się w salonie, natomiast wielkie sale koncertowe onieśmielały go. „Duszę się w oddechu tłumów, paraliżuje mnie ciekawy wzrok, zmusza do milczenia widok obcych twarzy" – zwierzał się Lisztowi. Ostatni swój koncert paryski da w sali konserwatorium muzycznego, wykonując „Andante spianato" i „Wielkiego Poloneza Es-dur op. 22".

Sława polskiego wirtuoza dotarła nawet na dwór imperatora rosyjskiego, który zapragnął mieć ten diament w swojej koronie. Do Chopina przybył więc wysłannik cara z propozycją pracy na stanowisku pierwszego pianisty cesarstwa i profesora klasy mistrzów w petersburskim konserwatorium. Gdyby przyjął tę kuszącą ofertę, otworzyłyby się przed nim wielkie perspektywy – złoto, zaszczyty, tryumfalny przejazd przez ojczysty kraj, odzyskanie pełni praw obywatelskich, a za jeden koncert w Petersburgu – sława, ordery i najwyższe honoraria. Pozostał jednak nieugięty – „nosił w swym sercu inną miarę tej światowej potęgi, swą własną miarę polską, która na dwóch granicach imperium rosyjskiego, nad Wisłą i w kopalniach, katorgach rosyjskich broczyła krwią rodaków". Jego bronią przeciw tyranowi była sztuka, muzyka doskonała, przesycona pierwiastkiem polskości – polonezy Chopina niczym „polskie Legiony wędrowały przez wszystkie kraje Europy", jego ballady, „tajemne zaklęcia polskiego obyczaju wnikały między wierzenia wszystkich narodów świata".

▶ Rajski ptak spływa krwią

W Paryżu dane było Chopinowi raz jeszcze przeżyć wielką miłość, upragnioną i nieoczekiwaną, burzliwą i wstrząsaną przeciwieństwami ścierających się w niej charakterów. Miłość do kobiety, która sama w sobie była żywiołem – do francuskiej pisarki George Sand. To porywające i uskrzydlające zarazem uczucie znalazło swój wyraz w sztuce polskiego kompozytora. Podczas kolejnych wakacji spędzanych w jej majątku w Nohant zrodziły się najwspanialsze jego dzieła fortepianowe – ballady, nokturny, polonezy, mazurki, „Sonata h-moll", „Bakarola", „Fantazja f-moll", „Scherzo E-dur"...

Jeden z najpiękniejszych momentów, jaki dany było przeżyć wówczas Fryderykowi, to podróż na wyspę szczęśliwą, słynącą z łagodnego klimatu Majorkę. „Wyspa i słońce, skały i ptaki. Wolność, lot, upojenie, przeszłość w murach odwiecznych zastygła, przyszłość w wielkim kwitnieniu drzew". Szczęście było jednak ulotne i to rajskie tusculum stało się dla Chopina prawdziwym piekłem. Nękany gorączką i krwotokami przeżył tu ostry atak gruźlicy. Mieszkańcy wyspy w tym dziwnym, żywionym czosnkiem i pieprzem przybyszu, widzieli „człowieka zapowietrzonego" i gdy tylko odjechał, spalili po nim pościel i wszystkie rzeczy, jakich tylko dotykał. A on, „rajski ptak [...] tonie w deszczu i grzęźnie w błocie, przerażony wśród sta-

eprasa.pl 3197b25434

rych murów woła, że mieszka w trumnie" – jak przejmująco odtwarza jego dramat Kaden-Bandrowski. Do Francji powrócił wycieńczony, istny cień człowieka, na pierwszym wolnym okręcie, który płynął w tamtą stronę, a którego pokład pełen był przewożonego bydła i kwiczących świń. On zaś, upostaciowanie najwyższej sztuki, na dnie tego zwierzęcego statku jako symbol „zhańbionego marzenia".

Lato w Nohant

Po przybyciu do Paryża nic już nie było takie samo, a i miłość tych dwojga stała się inna. Po długim leczeniu Chopin nie odzyskał już dawnych sił, przy wzroście 180 cm ważył niespełna 52 kg. George Sand czyniła wszystko, by ratować go przed nieuchronną śmiercią. W to, co stanowiło istotę ich szczególnej relacji, próbował wniknąć Jarosław Iwaszkiewicz jako autor sztuki scenicznej „Lato w Nohant", recenzowanej później przez Kazimierza Wierzyńskiego. Dramat Iwaszkiewicza stanowi niepowtarzalne studium tej wielkiej i trudnej miłości, kończącej się ostatecznym rozstaniem tych dwóch tak odmiennych natur. „Impetyczna energia, namiętny erotyzm i żołnierska krew w żyłach" George Sand zdawały się być jawnym zaprzeczeniem fizycznych i duchowych cech Chopina – chorowitego, delikatnego, pozbawionego zmysłowej drapieżności. Iwaszkiewicz z psychologiczną przenikliwością, jak pisze Wierzyński, zagłębia się w kolejne stadia tego uczucia, które w swych początkach stanowiło wykwit namiętności serca pomiędzy dwudziestosiedmioletnim Chopinem a starszą od niego pisarką, matką dwojga dzieci – ośmioletniej Solange i piętnastoletniego Maurycego. Miłość tych dwóch artystycznych dusz przerodziła się z czasem w przyjaźń, a George Sand stała się dla Chopina kochającą i troskliwą matką, pielęgnowała go w chorobie i mówiła o nim –„moje trzecie dziecko". Mimo że nie dopuszczał jej do swego wewnętrznego świata, stawał się obcy, trudny i wymagający, był dla niej kimś najważniejszym. Do ostatecznego rozstania tych dwojga przyczynił się niewątpliwie stosunek dzieci George Sand do muzyka – niechęć i zazdrość ze strony Maurycego oraz rodząca się do pianisty miłość młodziutkiej Solange.

W ostatnim akcie sztuki, gdy po dramatycznych wyznaniach i bolesnych rozmowach, scena pustoszeje, wraca na nią Chopin, zasiada do fortepianu i gra... – „pochwycił swą ideę, ma to, czego szukał. Dźwięki jego zwołują wszystkich z powrotem do salonu. Stoją wokoło, milczą, słuchają. Chopin ich nie widzi, jest daleko, poza granicami świata, w najdoskonalszej ojczyźnie, śród zachwycającej piękności swego dzieła". Ten finalny moment jest dla Wierzyńskiego tożsamy z tryumfem najwyższej sztuki, która zapanowuje nad chaosem życia, odmienia człowieka i jego świat – „»Lato w Nohant« kończy się poza burzami i poza miłością, płynie ze sceny promieniem lecącym prosto w zaświaty".

Przez wiele lat George Sand wypełniała życie Chopina żarem, fantazją, pasją aż do momentu rozstania, które dla artysty było prawdziwym ciosem. Mimo to przedsięwziął jeszcze jedną podróż do Anglii, na zaproszenie swej dawnej uczennicy Jane Stirling. Londyńskie koncerty zrujnowały jednak jego zdrowie, tak że bliski śmierci powrócił do Paryża w listopadzie 1848 roku. Choroba postępowała. Gruźlica przykuła go do łóżka...

Śmierć Chopina

Wielki muzyk ponoć nie lękał się śmierci, czuł się jakby do niej przygotowany. W swych ostatnich dniach pogrążał się w ciszy, milczeniu i żył tylko sztuką. Gdy spodziewano się, że Chopin lada chwila odejdzie, do umierającego przyjechała z Polski jego ukochana siostra Ludwika, przybyła też przyjaciółka i uczennica artysty, hrabina Delfina Potocka.

„Na kilka tylko godzin przed skonaniem – jak odtwarzał tę chwilę Ludwik Enault – ujrzał on stojącą u swego łoża hrabinę, [...] podobną do tych przecudnych aniołów, jakie tylko wyobraźnia najszczytniejszego idealisty-malarza stworzyć by mogła, ujrzał i prosił ją, by mu zaśpiewała [...]. I hrabina śpiewała, śpiewała głosem wzruszonym, wydobytym z serca pełnego łez [...]. Ona śpiewała hymn do Matki Boskiej. »Jakże to piękne, o mój Boże! jak cudowne!« mówił umierający i wołał: »jeszcze, ach jeszcze!« – Hrabina znękana zbytkiem wzruszenia usiadła przy fortepianie i śpiewać poczęła psalm Marcella. Szopen jęknął i każdego z obecnych śmiertelna przejęła trwoga. Jakby niewidzialną siłą poruszeni, wszyscy razem rzucili się na kolana, nikt nie śmiał słowa przemówić i tylko głos hrabiny niebieską swą melodią górował w tej sferze, przesiąkłej atomami ciężkiego żalu. Tak chrześcijańska dusza Szopena wraz z hymnem świętym uleciała do nieba!".

Skonał twórca niezapomniany i niepojęty, o którym mistrz fortepianu Ignacy Jan Paderewski mówił: „Genius Patriae, duch ziemi ojczystej, duch narodu nie opuszcza go, nawet po śmierci. [...] On jest z jego ziarna, jego cząstką, jego kwiatem, jego kłosem, a im większy, urodziwszy, mocniejszy, tym sercu narodu bliższy. [...] On nasz, a my jego, albowiem w nim się objawia cała nasza zbiorowa dusza". ■

_____

Źródła: J. Kaden-Bandrowski, „Życie Chopina", Warszawa 1938; K. Wierzyński, „»Lato w Nohant« Jarosława Iwaszkiewicza", [w:] idem, „Wrażenia teatralne. Recenzje z lat 1932-1939", Warszawa 1987; B. Weber, „Chopin", Wrocław 2003.

eprasa.pl 3197b25434

Arystokrata w sandałach

„Żeby być dobrym księdzem, trzeba dobrze jeść, dobrze spać i dużo się śmiać" – nieraz powtarzał o. Bernard Łubieński, redemptorysta. Sługa Boży, kandydat na ołtarze, żarliwy misjonarz, wykształcony i wyświęcony w Anglii. Był obdarzony poczuciem humoru właściwym ludziom duchowo wolnym. Był typem ascety, przez część życia z powodu paraliżu nóg przykutym do wózka inwalidzkiego, co jednak nie przeszkodziło mu w realizacji pasji życia. Było nią nawracanie ludzi, ukazywanie wspaniałości Boga.

eprasa.pl 3197b25434

Ewa Polak-Pałkiewicz

Ojciec Bernard Łubieński (siedzi pierwszy z lewej) z rodzicami i braćmi

fot. arch.

Ojciec Bernard Łubieński (1846–1933) sprowadził na powrót do Polski redemptorystów – po długiej przerwie spowodowanej wypędzeniem ich przez cesarza Austrii. Jego pradziad, generał Feliks Łubieński i minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, w 1808 roku złożył podpis pod dekretem usuwającym „benonitów", jak nazywano polskich redemptorystów (przewodził im o. Klemens Hofbauer – późniejszy święty; mieli swą siedzibę przy kościele św. Benona w Warszawie).

Łubieńscy byli jedną z najznakomitszych rodzin w II Rzeczypospolitej, niezwykła karta dziejów tej rodziny została zapisana podczas zaborów. Ojciec Bernard nigdy tych zasług nie podkreślał, ale znał cenę swego pochodzenia. Mawiał, że „po łasce Bożej największym darem Bożym jest dobre wychowanie". Twierdził, że uniknął w swoim życiu wiele zła dzięki wychowaniu przez rodziców, którzy byli, jak mówił, trés distingués.

Niemal połowę życia spędził poza ojczyzną, ale jego patriotyzm i wyczucie sytuacji politycznej Polski były bez zarzutu. Nigdy nie splamił się naiwnym zaufaniem wobec Rosji. Pozostawił po sobie pamięć natchnionego kaznodziei i rekolekcjonisty, gorliwego spowiednika.

Wielkopański gest

Urodził się w 1846 r., roku rzezi galicyjskiej; była ona w jego pamięci tym potworniejsza, że widział na własne oczy „kwit urzędowy z orłem austriackim", jaki jeden z zabójców, chłop galicyjski, otrzymał za zamordowanie pana; przechowywał ten dokument znajomy proboszcza. Rodzice o. Bernarda znajdowali się w krytycznej sytuacji materialnej. Dziadek, hr. Henryk Łubieński, właściciel ogromnej fortuny, został pozbawiony majątku za poparcie powstania listopadowego; później zesłano go w głąb Rosji. W jednej chwili jeden z najbogatszych Polaków zmuszony był szukać ratunku u zamożnych krewnych. Ojciec Bernarda, Tomasz Wentworth Łubieński, zajmował się administrowaniem ocalałej części majątku; w pewnym momencie i on został bankrutem („przegospodarował się na owej dzierżawie" – przyznaje o. Bernard). A jednak potrafili zdobyć się na wielkopański gest.

Krótko przed urodzinami o. Bernarda z kościoła w Guzowie, gdzie był ich rodzinny pałac, złodzieje skradli kielichy, monstrancje i relikwiarz św. Restytuta (pozostawiając same relikwie). Ojciec natychmiast ufundował nowe srebrne naczynia i relikwiarz – było to wotum błagalne, by dziecko szczęśliwie przyszło na świat, a zarazem obietnica, że jeśli Bóg obdarzy go synem, ojciec odda go do stanu duchownego, gdy będzie miał powołanie. Sam hr. Łubieński odczuwał wyrzuty sumienia, że nie został księdzem, co było pragnieniem jego młodości. Była więc okazja do wynagrodzenia Bogu

eprasa.pl 5997b25434

– restytucji. „Widocznie Bóg tę restytucję przyjął, bo ten syn to ja nędzny, przyszedłem na świat w dzień św. Restytuta i od dziecięctwa o niczym innym nie marzyłem, jeno żeby być księdzem". Restytucja została przyjęta z procentem, jako że troje rodzeństwa o. Bernarda, spośród dwanaściorga, wstąpiło do stanu duchownego.

Świadom dramatu rodziców, ludzi niepospolitej wiary, ale w pierwszych latach małżeństwa podatnych na wpływ stylu życia wyższych sfer, był przekonany, że „przez ciężkie próby i moralne cierpienia, a więc per crucem, Opatrzność Boża pokierowała wszystko w życiu rodziców, żeby przez utratę majątku i stanowiska, doszli ad lucem, do życia z wiary...".

Pradziadek o. Bernarda, Feliks Łubieński, jako kilkuletni chłopiec stojąc na stole, wygłaszał mowę gratulacyjną (po łacinie) do ostatniego króla Polski po jego koronacji. Było to podczas bankietu na cześć monarchy, jaki wydawał prymas Władysław Łubieński. Feliks wychowywany był na jego dworze. Później był generałem i ministrem sprawiedliwości rządu polskiego czasów Wielkiego Księstwa Warszawskiego, wprowadzał w życie kodeks Napoleona. Był jednym z redaktorów Konstytucji 3 maja. Stanął przy Kościuszce podczas powstania, walczył przy jego boku pod Racławicami. Jako arystokrata miał dobre osobiste stosunki z królem pruskim, dzięki którym ocalił wiele majątków Polaków, ale przede wszystkim wielu z nich wyreklamował od śmierci. W wieku siedemdziesięciu lat stanął w szeregach obrońców Woli podczas powstania listopadowego. Pięciu jego synów służyło w Legionach Polskich, jeden z nich, po upadku Napoleona, poszedł do seminarium i został biskupem. Sam Feliks Łubieński także chciał w młodości zostać księdzem, jednak papież Klemens XIV, u którego bywał, odradził i kazał się ożenić. Błogosławieństwo papieża zaowocowało dziesięciorgiem dzieci Feliksa.

▶ Sława i infamia

Dziadek Henryk Łubieński znany był z tego, że nigdy nie jadł poza domem, nie zasiadał w restauracjach i hotelach. Swój dwór w pałacu przy ulicy Królewskiej prowadził po wielkopańsku, miał imponujące konie i karety (stangretem był stary wąsaty wiarus, który służył „pod księciem Józefem Poniatowskim"). Lubiany w całej Warszawie, otoczony szacunkiem i czcią, zwłaszcza gdy postarzały, kulejący na nogi wrócił z zesłania. Wszyscy go znali, wszyscy mu się kłaniali. Nigdy nie używał laski. Na głowie od czasu, kiedy legiony polskie walczyły w Hiszpanii, zawsze miał beret hiszpański.

Ten człowiek wielkiej energii, utalentowany prawnik i przedsiębiorca stworzył wraz z księciem Druckim-Lubeckim Bank Polski, Towarzystwo Kredytowe. Gromadził kapitał, który służyć miał wzmocnieniu kraju. „Rzucił się na budowę fabryk, kopalni rudy żelaza itd., chciał kraj uprzemysłowić i gospodarczo podnieść" – pisze o. Bernard. Rozpoczął budowę trzeciej linii kolejowej w Europie: z Warszawy do Zagłębia Dąbrowskiego, miał być to zaczątek kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W swoich dobrach zakładał cukrownie, zbudował pierwszą na ziemiach polskich fajansarnię, na Lubelszczyźnie założył pierwszą fabrykę narzędzi i maszyn rolniczych, położył fundamenty pod przemysł w Żyrardowie, Starachowicach i Ostrowcu. W 1830 roku z bratem Tomaszem otworzył dom handlowy „Bracia Łubieńscy i Spółka", który rozwinął działalność w czasie powstania listopadowego, sprowadzał z zagranicy materiały wojenne i ekwipunek żołnierski. Założył fabrykę prochu i saletry, warsztaty krawieckie i szewskie. W 1842 roku wraz z Józefem Lubowidzkim, prezesem banku, został oskarżony i aresztowany za korzystanie z publicznych środków Banku Polskiego dla finansowania celów prywatnych. Powrócił do kraju w 1854 roku, lecz poważniejszej roli w życiu gospodarczym już nie odegrał. Podczas powstania listopadowego otrzymał krzyż kawalerski Orderu Virtuti Militari.

Ojciec Bernard przedstawia utrwaloną w rodzinnej tradycji wersję wydarzeń: „Po wybuchu powstania listopadowego finansował je, a kiedy upadło, należał do delegacji, która pertraktowała z Paskiewiczem warunki kapitulacji Warszawy". Jego energia i talenty jako inwestora i finansisty zadecydowały, że „Skarb [Księstwa Warszawskiego] był tak dobrze zaopatrzony, że do ostatniej chwili nawet tym żołnierzom, którzy nie chcąc się poddać Moskalom przekroczyli granicę pruską, wypłacił żołd do ostatniego grosza i tylko próżną kasę oddal Moskalom. Sam jednak nie wyjechał za granicę, lecz w dalszym ciągu pracował nad odbudową kraju. Mimo ucisku politycznego finanse polskie tak dobrze stały, że bank Polski na giełdzie w Londynie i Paryżu cieszył się większym wzięciem i powodzeniem niż bank rosyjski. I to było przyczyna jego upadku. Przyszedł rozkaz z Petersburga, by go skompromitować. Urządzono niespodziewane rewizje rachunków bankowych. Stwierdzono rzekomy deficyt, obwiniono o malwersację i uwięziono". Przetrzymywano go najpierw w Warszawie i Zamościu, potem zesłano do Kurska. W chwili aresztowania jego majątek szacowany był na 6 milionów rubli.

▶ „Typ niepospolity, wielkiego zubożałego pana"

Rada familijna Łubieńskich zadecydowała, że dla ratowania honoru Henryk Łubieński musi własnym majątkiem poręczyć, czyli pokryć „rzekomy niedobór" Banku Polskiego. „W ten sposób olbrzymia ta fortuna dostała się w ręce Moskali i oczywiście już jej nie wypuścili" – dodaje o. Bernard. („Widać Moskale porządnie się ob-

eprasa.pl 3197b25434

łowili na majątkach twojego dziadka, kiedy jeszcze 300 000 rubli mu zwrócili" – wyjawił kiedyś Bernardowi jego ojciec chrzestny.) Wspaniały pałac Łubieńskich został sprzedany. W Warszawie sporządzano obrączki żelazne z datą uwięzienia Henryka Łubieńskiego „na pamiątkę tego bezprawia"; nosiło je wielu warszawiaków.

Henryk wrócił z zesłania prosto do domu swego syna Tomasza, którym była wtedy użyczona przez zaprzyjaźnionego proboszcza plebania w Szewnej. Rodzina siedziała właśnie w saloniku, gdy w drzwiach pojawiła się wynędzniała, postarzała przedwcześnie postać niedawnego zesłańca. Wspólnie dziękowali Bogu za to ocalenie. Na zesłaniu towarzyszył Henrykowi syn, młody ks. Konstanty Łubieński, dopiero co wyświęcony na kapłana. Mała kaplica w domu, w którym zamieszkali, dała początek parafii katolickiej w Kursku. „To tutaj zrodziła się w gorącej duszy ks. Konstantego myśl nawrócenia Rosji. Stąd rozpoczął swą działalność misyjną, jeżdżąc do innych guberni, by nieść pociechy religijne wygnanym Polakom, żołnierzom, a ile Moskali cichaczem nawrócił, to sekret, który dopiero na Sądzie Bożym będzie odkryty" – pisze o. Bernard. Ksiądz Konstanty Łubieński, inicjator i założyciel Zgromadzenia Rodziny Maryi, po powrocie do kraju został biskupem sejneńskim. Za wierność Stolicy Apostolskiej został uprowadzony i zesłany do Permu; zginął po drodze otruty przez Rosjan. W świecie katolickim uznawany za męczennika.

▶ „Coś mężnego, dziarskiego"

„Religii uczyła mnie mama, tłumacząc obrazki, jakie były w wielkiej księdze francuskiej L`histoire de la Bible". Rodzice o. Bernarda mieszkali wtedy w Sokulu, w niewielkim dworku, dawnej bażantarni. Potem przenieśli się do Szewnej, a następnie do Petersburga, gdzie Tomasz Łubieński otrzymał pracę dyrektora w fabryce lokomotyw. Mały Bernard miał tu za spowiednika innego biskupa zesłańca, ks. bp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, z którym rodzina była zaprzyjaźniona. Rodzice z całym klerem katolickim byli zaprzyjaźnieni. „Nie żył już wielki arcybiskup Hołowiński, który umiał stawić czoło carowi Mikołajowi I. Ale skutki jego sprężystych rządów dawały się jeszcze odczuwać..." . W domu Łubieńskich bywali staruszkowie ojcowie dominikanie, którzy obsługiwali kościół św. Katarzyny („Mój ojciec mówił: Szanuj ich, bo niemal każdy cierpiał za wiarę na Sybirze"). Po sąsiedzku mieli ociemniałą zubożałą polską szlachciankę, mieszkająca na poddaszu, której pomagali i wspierali ją, bo w swojej biedzie zajmowała się wychowaniem chłopców z biedniejszych jeszcze rodzin, „dzieląc się z nimi jałmużnami, by ich wyprowadzić na księży. I niejednego wyprowadziła". Wielkim przyjacielem ojca był bawarski kupiec, pan Pierling. Jego dwaj synowie wstąpili do jezuitów, trzeci do żuawów papieskich Piusa IX. Odegrał on wielką rolę w udaremnieniu fatalnego zamysłu jednego z biskupów, który okazał słabość wobec podchodów Moskali. „[...] kiedy nieszczęsny biskup Siestrzeńcewicz w Petersburgu przygotowywał projekt do rządu proponując utworzenie w Rosji narodowego kościoła polskiego, pan Pierling, dowiedziawszy się o tym, przekupił jego lokaja i wykradł ten dokument z biurka. I arcybiskup później rozmyślił się, i tak Pierling uchronił nas od schizmy". Sam wyjechał do Rzymu i wstąpił do jezuitów.

Matka ledwo przeżyła zimę w klimacie petersburskim i musiała wrócić z dziećmi do Polski. Szlachta polska zdawała sobie sprawę ze zgubnego wpływu szkół rosyjskich i o ile tylko stać ją było, to kształciła dzieci w domach lub wysyłała za granicę. W tym samym roku, w którym o. Bernard zaczynał swą naukę w Anglii, 150 młodych Polaków uczyło się w gimnazjum jezuitów we francuskim Metz. Rodzice zdecydowali, że w ślad za starszym bratem Henrykiem także jedenastoletni wówczas Bernard będzie kształcił się w kolegium św. Cuthberta w Ushaw kolo Durham, blisko granicy szkockiej. Szkoła o wieloletniej tradycji była kontynuacją kolegium w Douai we Francji nad kanałem La Manche, gdzie od czasów prześladowań katolików w Anglii kształcili się młodzi ludzie w duchu katolickim; w pewnym momencie było to seminarium zaopatrujące Anglię w kapłanów, wielu z nich zostało później męczennikami w swoim kraju, ale uczyli się tam także świeccy. W czasie rewolucji francuskiej sytuacja się odwróciła. W Anglii ustały krwawe prześladowania katolików, duchowni mogli sprawować swą misję, a księża i kandydaci na księży z Francji musieli uciekać z kraju. Kolegium z Douai przeniosło się do Anglii, gdzie miało dwie filie, jedną z nich było Ushaw. Tradycja z Douai była tu żywa. „Panowało coś mężnego, dziarskiego" – wspomina o. Bernard. „Świeccy na ławie szkolnej zżywali się z przyszłymi kapłanami... Był taki system wychowania, że starsi czuwali nad młodszymi... Jak bardzo wyrabia młodzież!".

▶ Prztyczki, kuksańce i upokorzenia

Gdy wyjeżdżał w 1858 roku, ojciec uścisnąwszy go, powiedział słowa, których nie zapomniał przez całe życie: „Pamiętaj, że jesteś katolikiem, Łubieńskim i Polakiem". Jedenastoletni Bernard, który nie umiał słowa po angielsku, został niefortunnie przyjęty do klasy wyższej niż powinien. „[...] już przez całe moje życie postępy w nauce szwankowały. Cały podkład mojego wykształcenia został zwichnięty i byłem wskutek tego niedowarzony umysłowo i takim pozostałem" – o. Bernard, późniejszy autor kilkudziesięciu książek i natchniony kaznodzieja, nigdy nie miał o sobie wysokiego mniemania. „[...] poddawałem się lenistwu do tego stopnia, że aż

eprasa.pl 3197b25434

w skórę dostałem, co mi na zdrowie wyszło". Jednak ostatni rok nauki w Ushaw zakończył się dramatycznie. „Razem z kilku kolegami stanąłem do matury... przed komisją złożoną z profesorów uniwersytetu londyńskiego. I spotkało mnie to nieszczęście, że gdy koledzy moi świetnie zdawali, ja z kretesem przepadłem. Wielkie to było dla mnie upokorzenie".

Łubieńscy byli skoligaceni z arystokratyczną rodziną Bodenhamów w Rotherwas, starym rodem, który nigdy nie wyrzekł się wiary katolickiej. W zabytkowym pałacu obok wspaniałych salonów wyłożonych starą dębiną były specjalne kryjówki dla księży, którzy ukrywali się tu w czasach krwawych prześladowań. Utrzymywali wielu duchownych. „Co roku musieli się okupywać za niechodzenie do kościoła anglikańskiego bajecznymi sumami, tak że majątkowo podupadli i nawet krzesło w izbie lordów stracili". Byli w dobrych stosunkach z Piusem IX i rzymskimi kardynałami. Bodenhamowie opiekowali się Bernardem jak synem przez cały czas jego nauki w Ushaw. Byli też jego doradcami i powiernikami. Z nimi dzielił się swoim największym pragnieniem, by zostać księdzem. W celu rozjaśnienia sprawy powołania wujostwo zalecili, by odbył rekolekcje do jezuitów w Londynie, u o. Welda (wuj Bodenham był jego krewnym i ręczył, że nie będzie wywierał żadnego wpływu na decyzję Bernarda). A jednak i sam wuj, nieświadomie, usiłował go powstrzymać. W przeddzień wyjazdu Bernard otrzymał błogosławieństwo od wujostwa, pożegnał się i poszedł spać. „Uszczęśliwiony zasypiam, a tu raptem budzę się i widzę wuja ze świecą nad łóżkiem, oznajmia mi, że nazajutrz przyjeżdża premier lord Palmerston, żeby się jeden dzień zatrzymał. »Chociaż to ostatni łotr«, mówi wuj, »ale jest wielkim człowiekiem, trzęsie całą Anglią i niemal całym światem«. A ja na to: »Niech licho porwie Palmerstona... jutro jadę«".

O. Weld istotnie wpływu żadnego na Bernarda nie wywierał. Po sumiennie odprawionych rekolekcjach, gdy okazało się, że wszystko niemal przemawiało za wstąpieniem do zakonu, stanęło pytanie: do którego zakonu? „Tutaj już zaczęło robić się ciemno. Bo cóż ja o zakonach wiedziałem? Więc jeszcze klęcząc, na to pytanie wybąkałem: »Może by mnie ojcowie do siebie wzięli?...« Gdyby o. Weld był choć palcem kiwnął na mnie, to bym dziś był jezuitą. Ale tutaj okazała się w całej pełni jego prawość i rzetelność: nie wywarł żadnego nacisku i dał zupełną swobodę". Z kolei redemptoryści, zwłaszcza prowincjał, o. Coffin, nie mogli pojąć, jak to możliwe, że jezuici nie przyjęli młodego Łubieńskiego po rekolekcjach do siebie. Choć nie wyglądał na awanturnika sprawa była podejrzana. „Dziś to dobrze rozumiem, że jak o. Coffin miał przed sobą młodego polskiego szlachcica, skoligaconego z pierwszymi rodzinami Anglii, który skończył gimnazjum w Uhaw, odprawił rekolekcje u jezuitów, którego mimo to wypuścili ze swoich sideł i odesłali do redemptorystów, musiał w tym być jakiś haczyk". W końcu dali za wygraną. „Uważam za wielką łaskę od Boga, że mi Bóg ułatwił wstąpienie do zgromadzenia bez wahania, prawie że nie zdając sobie sprawy z ofiary jaką czyniłem z Ojczyzny i rodziny".

W nowicjacie redemptorystów w Bishop Eton Irlandczycy, których było tu najwięcej, mieli dla niego jako Polaka dużo sympatii. Bernard pamiętał, że stary Bodeham, ojciec jego wuja, był jednym z bohaterów Irlandii, walczył o wolność religii katolickiej. „Był to bowiem rok 1864, rok krwawy upadku powstania, prześladowań i męczeństwa pod zaborem rosyjskim. Głośno znowu było na świecie o Polsce i nawet w parlamencie angielskim za Polską były interpelacje, zwłaszcza ze strony Irlandczyków, a większość ojców była z Irlandii. Wylosowana dla mnie modlitwa brzmiała: »Za uciemiężonych Polaków«".

Po roku nowicjatu o. Bernarda spotkał kolejny cios, nie został dopuszczony do pierwszych ślubów zakonnych. „[...] o. magister był w wielkim kłopocie, co ze mną zrobić. Trwałem niezachwianie w postanowieniu, aby żyć i umrzeć w zakonie, więc wyrzucić mnie nie chciał. Miałem wtedy niespełna osiemnaście lat i duchowo byłem bardzo niedojrzałym. Nie wziął mnie razem z drugimi na rekolekcje, tylko oznajmił, że bez ślubów zacznę się uczyć filozofii".

„Z tą filozofią szło mi bardzo kiepsko, raz dlatego, że moi koledzy już byli po pierwszym roku, a ja o początkach nie miałem pojęcia, z podręcznikiem nie mogłem sobie dać rady, a o. Hall był tak słabego zdrowia, że często musiał lekcje opuszczać. Miał on jakąś dziwną chorobę od lat już kilku, że z rana, jak go budzono, leżał jak nieżywy, ani ruszyć się nie mógł, ani mówić. Tak odrętwiały leżał, dopóki mu ktoś gorącej i bardzo mocnej kawy do ust nie wlał. Takich ataków miał dwa i trzy na tydzień. Był bardzo zdolny, ale jako lektor nie do użycia". Ale właśnie wtedy Pius IX podarował Zgromadzeniu cudowny obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Został wystawiony w kościele św. Alfonsa ku czci publicznej, a następnie przeniesiony do kościoła w Bishop Eton. Bernard i jego koledzy rozpoczęli nowennę do Matki Bożej Nieustającej Pomocy o uzdrowienie profesora. Podczas nowenny, w czasie, gdy braciszek dzwonił na Anioł Pański, o. Hall nagle wstał z łóżka, całkowicie rześki i zdrowy i zaczął ubierać się na Mszę św. „Odtąd przez dwa lata z wielkim zapałem uczył filozofii, a potem go zabrano do pracy misyjnej i zasłynął jako wielki misjonarz w Anglii i Irlandii".

▶ Ojciec i stryj protestują

Święcenia kapłańskie przyjął jako 24-latek, po dalszych studiach w Holandii. Fakt, że to jego pradziadek

eprasa.pl 3197b25434

przyczynił się do wypędzenia z Polski redemptorystów, był dla niego zadrą w sercu. A przecież sam w przeddzień obłóczyn otrzymał list od ojca z czekiem i rozkazem, by natychmiast wracał do domu. Ojciec doszedł do wniosku, że decyzja syna zostania zakonnikiem zgromadzenia, którego nie ma na ziemiach polskich, jest rezultatem lekkomyślności, braku wewnętrznej równowagi. Kilkakrotnie próbował go odwieść od decyzji pozostania w zakonie. Bernard był stanowczy, oświadczył ojcu, że jest to sprawa jego zbawienia. Ojciec przesyłał mu wciąż polskie książki i błagał, by języka ojczystego nie zapomniał.

Karcący list przesłał mu także ukochany stryj, biskup Konstanty Łubieński, który nie mógł się pogodzić z myślą, że syn rodzonego brata wstępuje do zakonu za granicą, gdy dramatycznie brakuje w ojczyźnie kapłanów. Są aresztowani, zsyłani. Rząd rosyjski właśnie skasował ostatni klasztor w jego diecezji. „Bóg chce, żebym był redemptorystą" – odpisał o. Bernard – „więc od obowiązku względem ojczyzny czuję się zwolniony przez Boga". Gorzkich wyrzutów nie czyniła jedynie matka, a dziadek Ludwik Łempicki przesłał swe błogosławieństwo. Rok później błogosławieństwo przesłał także ojciec – gdy w dniu św. Bernarda, 20 sierpnia 1865 roku, po Komunii św. poznał, że wstąpienie syna do redemptorystów w Anglii było wolą Bożą. Stryj przyjął ten fakt bez protestu i żalu 2 października 1868 roku.

Jeden z jego współbraci palnął mu pewnego dnia: „Szkoda, że Wasza Wielebność nie zabrał się do wyższych studiów, bo tak nic z ojca nie będzie". Ten „niedowarzony umysłowo", a zarazem, jak mówił sam o sobie, „ruchliwy, niestały i fantasta" stał się jednak prawą ręką wybitnego męża Kościoła (konwertyty z protestantyzmu), wkrótce też biskupa o. Coffina, prowincjała. Niedługo po święceniach o. Coffin uczynił go swoim osobistym sekretarzem, a wkrótce, mimo młodego wieku, został prokuratorem (ekonomem) prowincji angielskiej redemptorystów.

▶ Wielka misja

Jeśli mówi się dziś o nim, że był apostołem odradzającej się duchowo po zaborach Polski, to także dlatego, że potrafił rąbać prawdę prosto w oczy, co przy jego ascetycznym wyglądzie, przeszywającym spojrzeniu, delikatności obejścia i kulturze słowa robiło ogromne wrażenie. Ludzie się nawracali, słuchając go i czytając jego niezliczone książki. Ojciec Bernard potrafił pisać we „Wspomnieniach" o swoich bliskich z całą prostotą i bez oszczędzania ich. Widział ich wielkość i małość. Nie upiększał ich przeszłości. Gdy wspominał, ile dobroci i mądrości zaznał od wujostwa Bodenhamów, którym zawdzięczał ojcowską niemal opiekę w czasie swojej nauki, nie zapominał dodać, że jeden z ich przodków dla przypodobania się królowi Karolowi II przeszedł na anglikanizm. I za tę apostazję Bóg go ukarał i zapadł na trąd. Nie mówił, że był to „nieszczęśliwy przypadek". Widział wyraźnie interwencje Boga w życiu swoim i swoich bliskich. (Sam apostata został uzdrowiony i wiarę odzyskał po obmyciu się w cudownym źródle Hollywell koło Liverpoolu, gdzie w VII wieku jeden z władców zamordował własnoręcznie córkę za to, że została chrześcijanką.)

Przez kilkanaście lat jako sekretarz o. Coffina, który przeczuwał w nim duchową wielkość, był przez niego chroniony i prowadzony duchowo. Prawdziwie heroiczną kartę zapisał, gdy zaproszony na ślub brata Rogera do Polski napomknął o tym o. Coffinowi, a on po chwili zastanowienia odparł, że o. Bernard istotnie może i powinien nawet do Polski pojechać – z misją sprowadzenia do Polski redemptorystów.

W kraju ogarniętym przez zabory było to zadanie wręcz niewyobrażalnie trudne. A jednak po latach, dzięki uporowi i ciężkiej pracy o. Bernarda (który w międzyczasie doznał paraliżu i do końca życia zmagał się z kalectwem), powstały klasztory „benonitów" w Mościskach, Tuchowie, Krakowie i Warszawie, a on stał się jednym z najbardziej poszukiwanych w Polsce rekolekcjonistów, misjonarzy, kaznodziei, spowiedników. Głosił kazania na Wawelu i Jasnej Górze, kierował misjami redemptorystów na ziemiach polskich. Szukali u niego duchowej pomocy biskupi, profesorowie, arystokracja, prosty lud. Polska stała się jego misją. Musiał być także dyplomatą i pertraktować z ludźmi władzy. Nie przyjmował nigdy niegodnych warunków. Pozostał – jak założyciel jego zakonu św. Alfons de Liguori – arystokratą i zarazem kimś najskromniejszym, najprostszym, świadomym swojej całkowitej nicości przed Bogiem. Nie było mu trudno, bo przyjmował wszystkie cierpienia fizyczne, udręki duchowe, niepowodzenia i upokorzenia – których nie szczędzili mu także ludzie jego sfery – jako sposobność do złożenia ofiary Bogu.

„Że wyrobienie zakonne i dyscyplina zakonu może zastąpić to, czego ktoś z domu nie przyniósł, mam na to dowody w osobie o. Tymoteusza Powera, najstaranniej wychowanego redemptorysty, jakiego znałem. Powiedziałbyś, że był synem lorda angielskiego. Gdzie tam, zanim wstąpił do Kongregacji, boso chodził i świnie pasał w wiosce pod Limerick, skąd pochodził, ale cnota i nauka wyrobiły w nim ten dobry ton, tę dystynkcję... Toteż o. generał Raus, będąc w [1894] roku na wizytacji w Mościskach, zostawił mi jako rektorowi rozkaz na piśmie, żeby moim podwładnym ten dobry ton i to dobre wychowanie przyswajał". ■

Cytaty za: Bernard Łubieński CSRS, „Wspomnienia", Homo Dei, 2009.

eprasa.pl 3197b25434

Piotr Lisiewicz

Jestem zwolennikiem tego, by nauka o metodach podboju innych państw przez Rosję stała się u nas obowiązkowym przedmiotem nauczania w szkołach średnich i na studiach. Tak powinno reagować na zagrożenia dla swojej niepodległości poważne państwo. Gdyby wiedza o rosyjskich metodach była wśród Polaków powszechna, nie byłoby postkomunistów na scenie politycznej. Nie byłoby też Smoleńska, bo zwyczajnie nie byłby on dla autorów scenariusza opłacalny, gdyż reakcja Polaków wyglądałaby zupełnie inaczej. A gdyby metody te znane były dobrze po stronie patriotycznej, nie byłoby w parlamencie Konfederacji, o której rozmawiam dziś w wywiadzie numeru z Antonim Macierewiczem. Mój rozmówca wspomina w nim o bardzo ważnej publikacji „Nowe kłamstwa w miejsce starych", której lektura uodparnia na rosyjską dezinformację. Poniżej kilka jej fragmentów pokazujących, jak Związek Sowiecki przygotowywał Zachód do oddania mu Polski i Europy Środkowo-Wschodniej przed 1945 rokiem, a także tłumaczących mechanizm, jaki Rosja zastosowała do zniszczenia Polski w latach 2008–2010, czyli po zatrzymaniu przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego podboju Gruzji.

Anatolij Golicyn

Nowe kłamstwa w miejsce starych

Ponieważ nawet zawodowi analitycy na Zachodzie nie zawsze zdają sobie sprawę, co tak naprawdę oznacza wykorzystanie potencjału wywiadowczego Bloku Komunistycznego, w celu wywarcia korzystnego wpływu, należy w tym miejscu przedstawić kilka teoretycznych przykładów. Załóżmy, że jedno z państw niekomunistycznych staje się celem komunistycznych służb specjalnych. W takim przypadku cały personel wywiadu i kontrwywiadu państw komunistycznych dokonałby przeglądu wszystkich swoich zasobów wywiadowczych i przekazałby wykonawcom sugestie, co można zrobić w celu wywarcia wpływu politycznego na rząd danego kraju, jego politykę i dyplomację, partie polityczne, poszczególnych liderów, prasę itd.

Oznaczałoby to, że wszyscy oficerowie państw Bloku, znajdujący się w tym kraju pod dyplomatycznym lub innym oficjalnym przykryciem (w praktyce jest to kilkuset świetnie przygotowanych zawodowców, wspieranych przez kilkuset tajnych agentów zwerbowanych spośród obywateli tego kraju), zostaliby skierowani do pracy, zmierzającej na różne sposoby do realizacji jednego celu, według jednolitego planu. Agenci mieliby za zadanie nie tylko zbierać informacje, lecz także podejmować konkretne akcje lub wywierać wpływ gdziekolwiek i kiedykolwiek wymagałby tego plan. Po połączeniu sił poszczególnych państw Bloku – ich zdolność wpływania na rząd, prasę i opinię publiczną byłaby znaczna.

Podobne zachowanie mogłoby dotyczyć grupy państw niekomunistycznych lub też konkretnego problemu, takiego jak program zbrojeń albo stosunek do Bloku Komunistycznego lub jednego z jego członków albo doktryny czy też zagadnień takich jak wojna w Wietnamie, rzekomy zachodnioniemiecki rewanżyzm czy sytuacja na Bliskim Wschodzie. [...]

Jeśli zachodnie studia i analizy mają unikać poważnych błędów, biorąc pod uwagę fakt, że reżimy komunistyczne stosują dezinformację w czasie pokoju na skalę nieporównywalną z krajami demokratycznymi, najważniejszą kwestią jest określenie funkcjonującego w danym momencie wzorca dezinformacji. Jak już uda się go ustalić, znane są kryteria oddzielania źródeł wiarygodnych od dezinformacji [...]

Jeśli wszystkie trzy czynniki – zdolność do zdobywania tajnych informacji, zdolność interpretacji źródeł komunistycznych i zrozumienia dezinformacji wzajemnie sobie szkodzą wskutek penetracji i dezinformacji, cały proces oceny sytuacji w świecie komunistycznym zostaje wypaczony. Nie istnieje wtedy możliwość właściwego rozróżniania prawdziwych od pozorowanych problemów i zmian w obozie komunistycznym. [...] Kontrolowane przecieki często są uważane za wiarygodne. Faktyczna, rzetelna przy-

eprasa.pl 3197b25434

padkowo zdobyta wiedza, może być zakwestionowana i odrzucana [...]

Najważniejsza akcja dezinformacyjna

Podczas wojny praktycznie znikła krytyka ideologiczna USA i Wielkiej Brytanii w prasie sowieckiej. Ideologia rewolucyjna, chociaż nigdy całkowicie nie odrzucona, została złagodzona. Gloryfikowano stare rosyjskie tradycje, przywrócono carskie stopnie wojskowe i odznaczenia. Okazano szacunek religii, a w 1943 roku Stalin przyjął na publicznej audiencji głowy rosyjskich kościołów. Podkreślano wspólne zagrożenia i interesy ZSRR i Zachodu, pisząc, że stwarzają podstawy dla przyszłej współpracy.

Zachodnim dyplomatom i mężom stanu mówiono o powojennej liberalizacji reżimu i jego nieuchronnej ewolucji w stronę liberalnego państwa typu zachodniego. Pochlebiano im, że te zmiany będą miały miejsce pod wpływem Zachodu. Przyjęcie przez ZSRR Karty Atlantyckiej w 1941 roku i podpisanie Karty Narodów Zjednoczonych 1 stycznia 1942 roku powinny być uznane za część starań, mających na celu wzbudzenie nadziei na korzystne zmiany w Związku Sowieckim. Najbardziej jednak uderzającą i najważniejszą akcją dezinformacyjną, zaplanowaną w celu ukrycia ciągłej aktywnej współpracy z partiami komunistycznymi oraz przekonania aliantów zachodnich, że rewolucyjne cele zostały porzucone, było rozwiązanie Kominternu w maju 1943 roku, na sześć miesięcy przed konferencją w Teheranie. Wraz z nią rozpowszechniano inną informację głoszącą, że Związek Sowiecki i Armia Czerwona walczyły wyłącznie o wyzwolenie Europy Wschodniej od faszyzmu oraz że nie chciały ustanawiać reżimów komunistycznych na tych terytoriach. [...]

Potencjał wywiadu reżimów totalitarnych

Na sukcesy odnoszone przez wywiad komunistyczny w jego działaniach przeciwko służbom zachodnim miały wpływ trzy najważniejsze czynniki. Po pierwsze, trzeba pamiętać, że służby komunistyczne działają na dużo większą skalę niż służby niekomunistyczne. Potencjał wywiadu reżimów totalitarnych zawsze jest większy niż w przypadku krajów demokratycznych, ponieważ totalitarne systemy polityczne właśnie na służbach specjalnych opierają swoją wewnętrzną stabilność. Determinacja reżimów komunistycznych, aby promować i popularyzować swój system polityczny w innych krajach, pociąga za sobą zwiększoną rolę ich służb specjalnych za granicą. Co za tym idzie, reżimy komunistyczne świadome roli, jaką ich wywiad ma do odegrania na arenie międzynarodowej, traktują służby specjalne z wyjątkową powagą i ponoszą na nie relatywnie wyższe nakłady finansowe oraz wyjątkowo starannie rekrutują swoich współpracowników – w porównaniu do państw demokratycznych. W Związku Sowieckim kształcenie pracowników tajnych służb w zakresie zagadnień im właściwych odbywa się na poziomie porównywalnym z uzyskaniem dyplomu uniwersyteckiego. [...]

Po drugie, komunistyczni przywódcy znają wartość dobrze wykonywanej pracy tajnych służb, gdyż są świadomi, w jak wielkim stopniu może się ona przyczynić do ich przetrwania jako polityków i jaki może wnieść istotny wkład do sukcesu ich międzynarodowej strategii. Komunistyczny wywiad i służby bezpieczeństwa nie borykają się z trudnymi, jeśli nie niemożliwymi do pokonania, ograniczeniami, z którymi zmagają się tego rodzaju organizacje w krajach demokratycznych. [...] Nie mają praktycznie żadnego problemu z prasą ani opinią publiczną w swoich państwach.

Wreszcie – po trzecie, być może najważniejszym czynnikiem jest to, że począwszy od lat 1958–60 połączone siły wywiadów i służb bezpieczeństwa całego Bloku Komunistycznego, z nakazu władz rządowych, miały zacząć pełnić niezwykle ważną funkcję w procesie wdrażania nowej, długofalowej polityki Bloku poprzez przyjęcie przez komunistyczne służby roli czynników politycznych. [...]

Wartość tajnych źródeł

Tradycyjna metodologia zwykle traktuje tajne źródła jako szczególnie wartościowe i wiarygodne, jeśli informacje, których dostarczają, są w szerokim zakresie kompatybilne z tymi powszechnie dostępnymi. I na odwrót – źródło prezentujące informację niebędącą w zgodzie z ogólnie przyjętym poglądem na sytuację w świecie komunistycznym może zostać umniejszone lub odrzucone. [...]

Komunistyczne pojęcie całkowitej dezinformacji pociąga za sobą wykorzystanie w jej celu wszystkich dostępnych kanałów rozpowszechniania informacji. Oznacza to wszystkie źródła komunistyczne i zachodnie, oczywiście poza tymi, które są komunistom nieznane, oraz te, które z przyczyn praktycznych są uznane za nieodpowiednie. W przypadku, gdy źródła komunistyczne i zachodnie pokazują ten sam obraz rzeczywistości świata komunizmu, można z całą pewnością powiedzieć, że zarówno źródła zachodnie, jak i komunistyczne zostały skutecznie wykorzystane do celów dezinformacji. ■

_____

Przedruk za: „Nowe kłamstwa w miejsce starych", Wydawnictwo „Antyk" 2007, biblioteka Służby Kontrwywiadu Wojskowego, wstęp do wydania polskiego Antoni Macierewicz.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 3197b25434

Krzysztof Budka, ekspert RG SWS

Skutki leczenia łupieżu gilotyną?

W serwisach ogłoszeniowych można znaleźć coraz więcej ofert właścicieli małych sklepów, którzy poddają się m.in. z powodu niedzielnego zakazu handlu. A to przecież oni mieli być beneficjentami korzyści wynikających z ustawy, która skutecznie unieruchamia w ten dzień dyskonty. Medialnym przykładem ostatnich tygodni było wystawienie na sprzedaż „Słodkiej Dziurki". Właścicielka zdecydowała się na rezygnację z biznesu i sprzedaż zatowarowanego sklepu za 20 tys. zł. Czemu? – Gdy wprowadzono dwie niedziele w miesiącu z zakazem handlu, było trudniej, ale jeszcze opłacało się prowadzić ten biznes. Jednak od zeszłego roku, z jedną niedzielą handlową, zaczęło robić się naprawdę nieciekawie. Sprzedaję sklep, więc mam pełne dane. Obroty spadły o połowę – przyznała. Rzut oka na portale handlowe wystarczy, by przekonać się, że „Słodka Dziurka" jest wierzchołkiem góry lodowej wśród sklepów wystawionych na sprzedaż.

To skutki ustawy, która wywoływała gorące dyskusje i spory pod koniec 2018 roku i na początku poprzedniego. Minęło już wystarczająco dużo czasu, by z czystym sumieniem pokusić się o wnioski. I nie są one, niestety, pozytywne. Nie tylko dla „Słodkiej Dziurki"... W latach 2015 i 2016 małych sklepów przybywało rocznie ponad 6 tys. W roku 2018 ubyło ich 15 tys., a w 2019 – 11 tys.

W świetle tych danych przerażające jest to, że za sprawą „Solidarności" temat zaostrzenia przepisów ograniczających handel w niedziele wraca jak bumerang, zgodnie zresztą z zapowiedziami związkowej „ikony" walczącej z handlowymi niedzielami, czyli przewodniczącego Rady Krajowej Sekcji Pracowników Handlu NSZZ „Solidarność" Alfreda Bujary. Bujara apeluje, by jak najszybciej znowelizować ustawę. „Uważamy, że obchodzenie prawa przez niektóre sieci jest niebezpieczne, worek się rozsypał i może to skutkować tym, że ustawa będzie jeszcze bardziej dziurawa" – postuluje. Chodzi tym razem o walkę ze sklepami, które mają status „placówek pocztowych" i dzięki temu handlują w niedzielę. Nie byłoby potrzeby żadnego omijania ustawy i żaden „worek by się nie rozsypał", gdyby zostawić przedsiębiorców w spokoju.

„Solidarność" odpuszczać jednak nie zamierza. Zresztą już rok temu płynęły stamtąd donośne głosy, że obowiązująca ustawa to nic innego jak zgniły kompromis. Ci najbardziej radykalni postulowali, by w ramach jeszcze większej obrony „ludzi pracy" zakaz handlu rozszerzyć nie tylko na wszystkie niedziele, lecz także soboty, co jak nic przypomina propozycję leczenia łupieżu gilotyną. To na szczęście opinie marginalne, których (chyba) nie należy poważnie brać pod uwagę.

Najbardziej poszkodowani zarówno ustawą, jak i dalszym zamieszaniem związanym z nią – co było niestety do przewidzenia – są polscy drobni przedsiębiorcy. Radykalne ograniczenie handlu w niedzielę nie zatopiło żadnej wielkiej zagranicznej sieci handlowej, pomogło za to zatopić nie tylko „Słodką Dziurkę", lecz

W LATACH 2015 I 2016 MAŁYCH SKLEPÓW PRZYBYWAŁO ROCZNIE PONAD 6 TYS. W ROKU 2018 UBYŁO ICH 15 TYS., A W 2019 – 11 TYS.

także kilkanaście tysięcy innych polskich drobnych sklepów. Teraz „Solidarność" zamierza uderzyć w kolejnych, czyli przede wszystkim we franczyzobiorców. To oni w ogromnej mierze działają jako „placówki pocztowe". Bujara co prawda zarzeka się, że „nie chodzi o to, by pozamykać wszystkie Żabki na cztery spusty", ale z uporem maniaka bawi się w swoją krucjatę, nie przyjmując do wiadomości, że kolejne zaostrzenie przepisów wysadzi w powietrze kolejne sklepy. Tak to działa. Można co prawda zastosować taktykę Ugolina, który na pytanie, dlaczego pożarł własne dzieci, odpowiedział: „Żeby uratować im ojca", tyle że na takim podejściu za daleko nie zajedziemy. ■

Rada Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 3197b25434

Poczta Polska

Pocztex
Kurier Poczty Polskiej

najbliższy punkt odbioru Twojej przesyłki*

- ponad **12 000** punktów odbioru
- śledzenie przesyłki online
- powiadomienie SMS

* dotyczy przesyłek: Paczka+ oraz przesyłek kurierskich Pocztex Ekspres24 i Pocztex Kurier48

pocztex.pl **odbiorwpunkcie.poczta-polska.pl**

eprasa.pl 3197b25434

eprasa.pl 3197b25434

Marta i Maria Magdalena mają rysy Anny Bianchini i Filide Melandroni

Olga Doleśniak-Harczuk

Spójrz w oczy świętej, znajdziesz Filide

Kiedy Michelangelo Merisi Caravaggio zapraszał do pracowni rzymskie kurtyzany, to albo kończyło się mocno zakrapianą imprezą do białego rana, albo rozstawianiem sztalug. Caravaggio – wirtuoz ostrego światłocienia i nasyconych kolorów, prowokator, który świętym twarzom nadawał rysy kurtyzan, a kurtyzanom podarował wieczność rozsypaną dziś po najlepszych muzeach świata.

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl

Konkurencja wytykała mu bluźnierczy stosunek do sacrum, niezdrową fascynację krwawymi historiami, wtłaczanie scen biblijnych, tak miło uładzonych i oswojonych przez renesansowych mistrzów, w nowoczesne kostiumy i scenografie. Jak pisze pod koniec swojej powieści o Caravaggiu „A Name in Blood" (2012) walijski pisarz Matt Rees: „Przez stulecia krytycy pogardzali Caravaggiem, uznając go za łobuza, którego dziełom brakowało głębi. A jednak jego wpływ na malarstwo jest olbrzymi. Rubens rozpropagował jego styl na północy Europy. Velazquez zabrał jego estetykę do Hiszpanii. Caravaggio inspirował fotografów i reżyserów, Martina Scorsese, Davida Hockneya i innych".

W istocie dziedzictwo Caravaggia rozlało się po kontynencie z werwą godną samego malarza, francuski caravaggionista Valentin de Boulogne do tego stopnia zapadł się w styl swojego guru, że znawcy sztuki miewali trudności w odróżnieniu ich płócien. Martin Scorsese i Vittorio Storaro nieźle się bawili, przenosząc gęstą atmosferę płócien Caravaggia na taśmę filmową. Kompozycja postaci z obrazu „Powołania św. Mateusza" przetłumaczona na język kina XX wieku w scenie barowej z kryminału Scorsese „Ulice Nędzy" (1973) czy zdjęcia do „Czasu Apokalipsy" (1979) oddychają Caravaggiem.

Dziewczyny z perłą

Matta Reesa do napisania powieści o Caravaggiu zainspirowała tajemnica jego śmierci, a sama książka została podzielona na rozdziały noszące tytuły obrazów. W powieści będącej kryminalno-malarską mieszanką fikcji i faktów nie zapomniał Rees o kobiecie, bez której spojrzenie św. Katarzyny Aleksandryjskiej nie byłoby pewnie tak intrygujące. Mowa o Filide Melandroni, rzymskiej kurtyzanie i bohaterce czterech płócien Caravaggia. Filide przybyła do Rzymu ze Sieny ze swoją rodziną i przyjaciółką Anną Bianchini. Obie dziewczyny zarabiały na życie wdziękiem od dwunastego roku życia, a ich sława w kręgach możnych i dostojnych pozwoliła im wieść w miarę dostatni żywot rozpięty między pałacami a ulicą, raz w towarzystwie bogatych mecenasów, innym razem w objęciach rzymskich rzezimieszków. A czasem w pracowni Caravaggia.

Jasnowłosa Filide i rudowłosa Anna nawet wspólnie pozowały Caravaggiowi. W powieści Matta Reesa jest scena, jak w trakcie pozowania

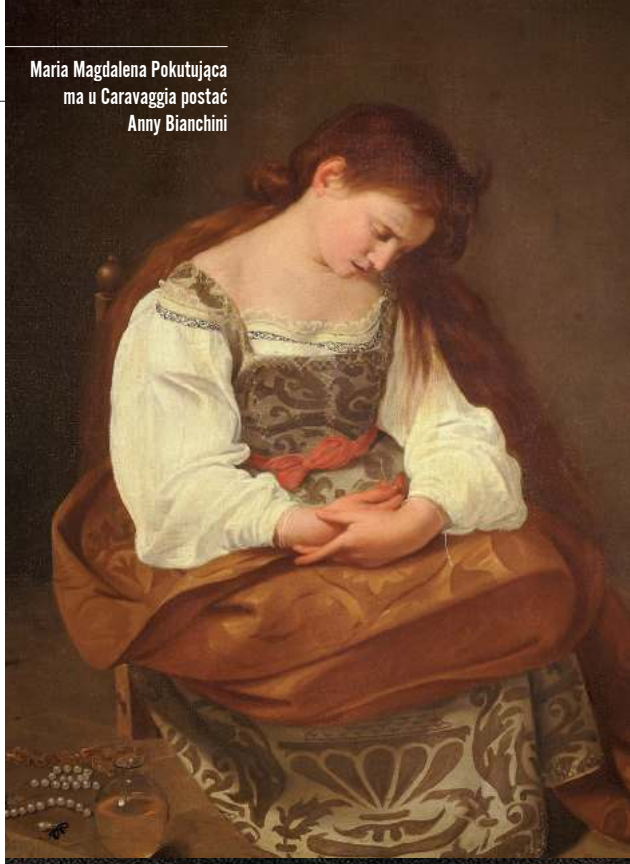

Maria Magdalena Pokutująca ma u Caravaggia postać Anny Bianchini

Portret Kurtyzany, obraz znany już tylko z fotografii

eprasa.pl 3197

Artemisia Gentileschi i jej bardzo osobista wersja Judyty odcinającej głowę Holofernesowi

Św. Katarzyna Aleksandryjska, tak inna niż wszystko co wcześniej i później namalowano, inspirując się jej męczeństwem

do obrazu „Marta i Maria Magdalena" (1598 –1599) Filide podchodzi do malarza i widząc, jak pięknie ją namalował, z przekąsem mówi: „Tak ślicznie mnie przedstawiłeś, że nawet ci wybaczam, że obok stoi ta ladacznica". Bianchini pozowała Caravaggiowi do pierwszego obrazu o tematyce sakralnej „Maria Magdalena Pokutująca" (1594). Na obrazie „Marta i Maria Magdalena" Anna jako Marta zwraca twarz ku Marii Magdalenie – Filide, która przyciska do piersi kwiat pomarańczy, symbol przyjęcia Chrystusa. Kobieta ma na sobie ciemną suknię z dopiętymi, szkarłatnymi rękawami i zieloną draperię, którą zarzuca na wypukłe lustro. Włosy Filide są tu jasne, bez porównania jaśniejsze niż na namalowanym w 1597 roku „Portrecie kurtyzany", który został zniszczony w 1945 roku w Berlinie i jest znany jedynie z fotografii. Modna córa Sieny pewnie ówczesnym zwyczajem godzinami wystawiała włosy na działanie promieni słonecznych i pomagała naturze, korzystając z rozwiniętej przez alchemików sztuki rozjaśniania pukli do najbardziej pożądanego blondu. Pozując do obrazów „Św. Katarzyna Aleksandryjska" (1598) i do „Judyty odcinającej głowę Holofernesowi" (1598), Filide ma jasne, wpadające w rudość włosy zaczesane gładko z przedziałkiem z niesfornymi puklami okalającymi twarz. Jako św. Katarzyna Aleksandryjska jest odziana w tę samą dworską suknię, którą miała na sobie jako Maria Magdalena, wskazują na to zarówno bakłażanowo-czarny kolor materiału, jak i złote ornamenty na grubych ramiączkach sukni i na gorsecie, znajdując ujście na całej długości miesistej, aksamitnej tkaniny spódnicy. Filide na dwóch obrazach ma biżuterię, kolczyki z pereł w kształcie wydłużonej łezki. Widać je na portrecie kurtyzany i w scenie Judyty z Holofernesem, gdzie perła jest zawieszona na czarnych aksamitkach. Na namalowanym wcześniej obrazie ukazującym Marię Magdalenę Pokutującą Anna Bianchini siedzi wśród rozrzuconych klejnotów. Na ziemi widać naszyjniki z pereł i złota oraz te same perłowe kolczyki z czarną aksamitką, które później Caravaggio wepnie w uszy Filide, malując ją jako Judytę.

▶ Majestatyczna... kiedy chce

Można sobie wyobrazić gest, jakim malarz podaje swojej modelce kolczyki, albo wrócić do jednej ze scen filmu Dereka Jarmana z 1986 roku, gdzie ten właśnie moment uchwycono. W rolę modelki wcieliła się wtedy androgenicz-

eprasa.pl 3197b25434

na Tilda Swinton, to był jej aktorski debiut. Swinton ze swoimi długimi, rudymi włosami i jasną karnacją zagrała Maddalenę Antognetti określaną w kronikach jako „donna di Michelangelo". Kiedy patrzymy na obraz „Madonna di Loretto", zwany też „Maryją z Pielgrzymami" (1606), na którym Matka Boża z dzieckiem na ręku przyjmuje hołd prostych ludzi, widzimy twarze Maddaleny Antognetti oraz jej synka. Obraz wstrząsnął rzymską elitą, zwłaszcza tymi jej reprezentantami, którzy dobrze znali Lenę z niekoniecznie nobliwych okoliczności życia. Maddalena była w tamtym czasie utrzymanką rzymskiego notariusza, Mariano Pasqualone, później przez kilka lat cieszyła się kiesą innego dobroczyńcy. Kroniki wspominają o jej słabości do noszenia męskich strojów, za co zresztą nie raz trafiała do więzienia. W filmie Jarmana, Tilda Swinton przez większość czasu biega w chłopięcym stroju i z włosami ukrytymi pod czapką. Kiedy w końcu przywdziewa dworską, ciężką suknię i rozpuszcza te nieziemsko piękne włosy, widać na jej twarzy delikatny wyraz satysfakcji. Lena przypomina w tym ujęciu młodą Elżbietę I Tudor. Jest dostojna, wręcz majestatyczna, a zarazem bardzo kobieca.

Ciekawe, że u Jarmana Lena pozuje Caravaggiowi do obrazu „Maria Magdalena Pokutująca", Anna Bianchini raczej nie byłaby zachwycona, jak podają źródła, bardzo zależało jej na tym obrazie. Chciała go nawet mieć na własność.

Lena Antognetti zmarła w 1610 roku. Miała 28 lat. W 2007 roku Angelo Longoni porwał się na opowiedzenie historii Caravaggia widzom włoskiej telewizji. To był serial dla RAI I. Wątek rzekomej miłości malarza do Leny wybrzmiewa tu nie tak dwuznacznie jak u Jarmana, sceny malowania Leny jako Maryi mogą zdecydowanie zachwycić. Filide Melandroni jest zaś ukazana jako rozemocjonowana, świadoma swojego magnetyzmu dziewczyna, która potrafi wybiec z pracowni w trakcie prac nad „Judytą i Holofernesem" i zrobić Caravaggiowi dziką awanturę. Jest tam trochę takich obrazków.

▶ Judyta się nie waha

Zabrzmi banalnie, ale temperamentna Filide w każdym ze swoich malarskich wcieleń elektryzuje. Jako pogromczyni Holofernesa jest zdeterminowana i pełna obrzydzenia jednocześnie. Na czole, tuż nad nosem, Caravaggio odmalował jej zmarszczkę mogącą świadczyć zarówno o wysiłku, jak i psychicznym napięciu. Są ludzie, którym taka linia zaczyna rysować się nad nosem w chwili skupienia albo gdy nad czymś wyjątkowo intensywnie myślą lub... kłamią. Filide zagrała wszystkie te stany jednocześnie. A kłamie, ponieważ wcale nie czuje się Judytą, widok krwi ją odstręcza.

Są w tym typowa dla Caravaggia i dramaturgia, i realizm. Judyta-Filide to dzielna kobieta działająca w imię wyższej konieczności. Jej pozorne opanowanie wynika z rezygnacji, wie, że nie ma innego wyjścia, a jednak każdy mięsień jej twarzy zdaje się świadczyć o świadomości makabry, w której uczestniczy. Kilkanaście lat po Caravaggiu tę samą scenę namaluje, zachowując caravaggiowską staranność o psychologiczny rys malowanych postaci, Artemisia Gentileschi. Judyta Artemisii nie ma jednak twarzy modelki. Ma jej własną twarz, w rysach Holofernesa współcześni malarce rozpoznali zaś oblicze Agostina Tassiego. Artemisia pobierała u Tassiego lekcje malarstwa, przyjaciel ojca cieszył się zaufaniem młodej dziewczyny. Kiedy miała 16 lat, Tassi ja zgwałcił. I zrobił to jeszcze kilkakrotnie. Doszło do procesu, który wytoczył Tassiemu ojciec Artemisii, ona sama musiała przejść serię tortur, których pomyślne „zaliczenie" miało zaświadczyć o jej wiarygodności. Judyta Artemisii,

Kiedy patrzymy na obraz „Madonna di Loretto", zwany też „Maryją z Pielgrzymami" (1606), na którym Matka Boża z dzieckiem na ręku przyjmuje hołd prostych ludzi, widzimy twarze Maddaleny Antognetti oraz jej synka. Obraz wstrząsnął rzymską elitą.

eprasa.pl 3197b25434

odcinając głowę Holofernesa-Tassiego, wygląda na skoncentrowaną. W przeciwieństwie do Judyty-Filide na jej twarzy nie widać obrzydzenia. Jest determinacja. Krew ścieka po pościeli, wsiąka w tkaninę, jest jej naprawdę dużo i wygląda nawet bardziej realistycznie niż u Caravaggia, ponieważ blaknie. A sama Artemisia sprawia wrażenie kogoś, kto bez wysiłku mógłby tę głowę odcinać, a choćby codziennie. Gdyby miała moc nakazać tej głowie odrastać, zrobiłaby to bez wahania. I w pewnym sensie taką moc posiadła. Do sceny z Holofernesem wracała jeszcze wielokrotnie, dziś pewnie powiedzielibyśmy „obsesyjnie".

▶ Modlitwa za silniejszych

Filide-święta Katarzyna urzeka szlachetnym i tajemniczym pięknem. W jej spojrzeniu są męstwo, gotowość do złożenia ofiary, ale bez krzty lęku. Są w tych oczach nie tylko pokora, mądrość i pewność, lecz także obserwacja. To spojrzenie może zawstydzić, zlustrować, wydrzeć sekrety patrzącego. I na zawsze już zostać pod powiekami. Duże, ciemne źrenice Filide i zmysłowe usta odwracają skutecznie uwagę od męczeństwa św. Katarzyny. Odwrotnie niż u Matthiasa Grünewalda czy Fra Angelico. Oni przedstawiali patronkę poszukiwaczy topielców, filozofów chrześcijańskich i dziewic jako eteryczną (a u Grünewalda wyjątkowi mało urodziwą) istotę wypraną z atrybutów kobiecości. Ciało nie przesłaniało sacrum. U Caravaggia duch miesza się z ciałem. Dla jednych ideał, dla innych bluźnierstwo.

Najpiękniejsza spośród modelek Caravaggia zmarła 3 lipca 1618 roku w wieku 36 lat. Eduard Habsburg-Lothringen, ambasador Węgier przy Stolicy Apostolskiej, w felietonie na łamach katolickiego magazynu „Die Tagespost" w takich słowach przypomniał niedawno jej postać: „Filide zarabiała na życie między Piazza Navona a Campo di Fiori. Niektórzy ze zleceniodawców Caravaggia dobrze znali twarze kobiet, które odnajdywali potem w świętych rysach uwiecznionych na jego płótnach. Zdarzało się, że zamówionych dzieł nie przyjmowano i wybuchały skandale. Wielu miłośników Caravaggia wędruje dziś po Rzymie śladami mistrza. A może przejdą się szlakiem Filide Melandroni? Jej pierwsze mieszkanie mieściło się w maleńkiej uliczce Via Giulia. Później przeniosła się na Via Frattina i Via Borgogona nieopodal Via Condotti. Wiemy, że była kłótliwa, miała bujny temperament, że niejedno więzienie poznała od środka i kilka lat życia szczęśliwie spędziła jako kochanka szlachetnie urodzonego Giulia Strozzi. Poświęcała się też z oddaniem działalności dobroczynnej, co jednak nie uchroniło jej przed tragicznym finałem. Wygnana z Rzymu jako kurtyzana, pojechała do Sieny, by po raz ostatni powrócić do Rzymu i tu wydać ostatnie tchnienie. Jej mogiła znajduje się poza kościołem San Lorenzo Lucina przy Corso. Nie żyła w pokoju z Kościołem i nie przyjmowała sakramentów, odmówiono jej więc chrześcijańskiego pochówku. A jednak chciała zadbać o swoje zbawienie. W testamencie zapisała pieniądze kościołom Santa Maria Costantinopoli, Santa Anna del Carmine i San Martino ai Monti z prośbą o modlitwę. Kiedy patrzycie na obrazy z Filide, możecie się za nią pomodlić lub zamówić mszę za jej duszę. Kobieta, która odcięła głowę Holofernesowi, z pewnością tego potrzebuje" – kończy ambasador Węgier. Trzeba mieć klasę, by ująć się za najsłabszą z najsłabszych.

Trosce o życie wieczne słabszych nie zaszkodzi i modlitwa za tych silniejszych. Za szacownych klientów Filide i jej koleżanek, szczęśliwych posiadaczy sarkofagów i marmurowych popiersi zdobiących dziś rzymskie świątynie i muzea. ■

FILIDE JAKO POGROMCZYNI HOLOFERNESA JEST ZDETERMINOWANA I PEŁNA OBRZYDZENIA JEDNOCZEŚNIE. SĄ W TYM TYPOWA DLA CARAVAGGIA I DRAMATURGIA, I REALIZM. JUDYTA-FILIDE TO DZIELNA KOBIETA DZIAŁAJĄCA W IMIĘ WYŻSZEJ KONIECZNOŚCI.

eprasa.pl 3197b25434

Marek Kalinowski

Syndrom drugiej płyty

Ma zaledwie 20 lat i jest jednym z najbardziej popularnych wiolonczelistów na świecie. Najnowsza płyta Sheku Kanneha-Masona z „Koncertem e-moll" Edwarda Elgara trafia właśnie na brytyjskie listy przebojów, pozostawiając daleko w tyle wiele gwiazd muzyki popularnej.

Światła reflektorów rozbłysły nad młodziutkim Sheku Kannehem-Masonem, gdy w 2016 roku wygrał konkurs BBC Young Musician of the Year. Dwa lata później zadebiutował w prestiżowej wytwórni Decca albumem „Inspiration", na której obok koncertu Szostakowicza nagrał przeboje Boba Marleya i Leonarda Cohena. Popularności niewątpliwie przysporzył także występ muzyka na uroczystości zaślubin księcia Harry'ego i Meghan Markle, które obejrzały około 2 miliardy osób! Trudno sobie wyobrazić lepszą okazję, by dotrzeć do tak szerokiego grona odbiorców.

Wydaje się, że w karierze utalentowanego wiolonczelisty potrzebny był ruch, który w stosunku do dość lekkiego debiutu będzie krokiem naprzód, a równocześnie zatrzyma uwagę szerokiej publiczności, niekoniecznie gotowej na zbyt wymagające w odbiorze utwory. Wybór padł na twórczość brytyjskiego kompozytora Edwarda Elgara, co wydaje się w tej perspektywie krokiem dość bezpiecznym. Lekkość i emocje zawarte w jego kompozycjach to dość łatwy sposób na oczarowanie słuchacza. Pozornie bezpieczny pomysł na drugą płytę przyniósł jednak kilka nieprzewidzianych pułapek.

Edward Elgar to autor być może nieco mniej znany na kontynencie, w Anglii należy jednak do ścisłego kanonu kultury narodowej. Studenci brytyjskich konserwatoriów ćwiczą więc Elgara od pierwszych lat edukacji, a wychowany w muzycznej rodzinie Sheku z twórczością kompozytora zetkną się znacznie wcześniej, zanim przekroczył progi Royal Academy of Music.

Sheku Kanneh-Mason, London Symphony Orchestra, Sir Simon Rattle, ELGAR, Decca Classics

Koncepcja ułożenia utworów na płycie jest dość przemyślana. Zanim przyjdzie czas na Elgara, album rozpoczyna chwytliwa melodia tradycyjnej pieśni „Blow The Wind Southerly", którą muzyk wykonuje solo, ukrywając jeszcze przed słuchaczem mocny atut płyty – towarzyszącą mu London Symphony Orchestra pod batutą Simone'a Rattle'a. Elgar pojawia się za to już w drugim utworze, w narastających dźwiękach najbardziej znanej wariacji „Enigma" – „Nimrod". Wszystko powoli zmierza ku centralnej części albumu – sławnego „Koncertu wiolonczelowego e-moll", który jest dla wiolonczelistów wręcz podstawą edukacyjną, a co za tym idzie – doczekał się olbrzymiej dyskografii, w tym wielu kultowych nagrań. Kanneh-Mason sięgając zatem po tak znany repertuar, nie mógł uniknąć porównań z doskonałymi wykonaniami Alisy Weilerstein, Beatrice Harrison czy Jacqueline du Pré. Zwłaszcza z ostatnią artystką porównania nasuwają się same, bo kiedy du Pré nagrywała Elgara, była przecież dokładnie w wieku Sheku. Jej koncert wypełnia zaś bogactwo barw, których nie znajdziemy w wykonaniu Kanneha-Masona. Czy ma to jednak jakieś szczególne znaczenie? Pewnie nie. Nie zmienia ono przecież faktu, że jego interpretacja jest równie wciągającą muzyczną przygodą, która właśnie trafia w ręce ogromnej jak na muzykę klasyczną publiczności. Publiczności, która w znacznej części nigdy nie sięgnie po kanoniczne wykonania Harrison czy du Pré. I wreszcie publiczności, za sprawą której album „Elgar" debiutuje właśnie w pierwszej dziesiątce brytyjskiej listy przebojów, wyprzedzając takie gwiazdy muzyki popularnej jak Ed Sheeran. ■

eprasa.pl 3197b25434

eprasa.pl 3197625434

Krzysztof Karnkowski

ZOMBIE Z DUSZĄ

Historia opowiedziana w książce Darka Duszy „Zombie fest" streszcza się już w tytule – to prawdziwy horror rozgrywający się w fikcyjnej miejscowości Trupieszów, podczas typowego PRL-owskiego festiwalu rockowego.

Zanim opowiemy o książce Darka Duszy „Zombie fest", trzeba wspomnieć o tym, co było wcześniej.

Od punk rocka do rock-and-rolla

Na początku lat 80. Dusza założył nowatorski, jak na polskie realia, zespół Śmierć Kliniczna, w którym determinowanego przez samą nazwę kapeli punka muzycy mieszali z reggae, a nawet jazzem. Śmierć wydała dwa single. Na pierwszym znalazł się jedyny utwór kapeli, który zdołał przebić się do mediów, „Nienormalny świat". Chyba najbardziej znany kawałek, „Edukacja kopulacja" zdołał ukazać się na małej płytce, lecz w radiu poleciał... tylko jeden raz. po trzech latach reszta muzyków rozstała się z założycielem i na tym właściwie jej historia się kończy. Po odejściu z zespołu Dusza współtworzył pokrewny mu stylistycznie Absurd, dołączył też jako gitarzysta i autor tekstów do grupy Ireneusza Dudka, która przyjęła nazwę Shakin' Dudi. Tak, to właśnie Dusza jest autorem słów wszystkich przebojów w rodzaju „Och, Ziuta", „Au szala lala" czy „Za 10 minut trzynasta". I choć Dudek w kolejnych latach nie powtórzył już komercyjnego sukcesu tamtej płyty, stał się za to kimś w rodzaju bluesowej instytucji, zaś Dusza jako gitarzysta i tekściarz towarzyszy mu do dziś. Jednak do tej współpracy jego aktywność sceniczna i autorska bynajmniej się nie ogranicza. Jeszcze w 1989 roku nawiązał współpracę z zespołem Dżem. Jeden z jego tekstów („Jak malowany ptak") zdążył jeszcze zaśpiewać Ryszard Riedel, jednak na dobre dla tego zespołu Dusza rozpisał się w czasach, gdy mikrofon przejął Jacek Dewódzki, a więc przez całe lata 90.

W nowym stuleciu Darek Dusza wrócił też do grania bliższego swoim starszym klimatom, najpierw z projektem DiM, później z grającą do dziś punk rockową Redakcją, z którą nagrał trzy płyty i w zeszłym roku singiel „Zawsze niewinny". W międzyczasie okazało się, że jako człowiek pióra może też realizować się, pisząc coś innego niż piosenki.

Nie tylko muzyka

Zaczęło się od felietonów, w końcu przyszła kolej na książki. Pierwsza, „Jestem ziarnkiem piasku", tytuł zawdzięczała piosence granej jeszcze ze Śmiercią Kliniczną i była zbiorem wspomnień Duszy związanych przede wszystkim z muzyką i subkulturową rzeczywistością późne-

eprasa.pl 3197b25434

go PRL oraz jego (i jego współpracowników, w tym choćby Ireneusza Dudka) losami w Polsce po 1989 roku. Między barwnymi historiami przewijały się trzeźwe i krytyczne sądy dotyczące zarówno Polski Ludowej i Śląska czasów komunizmu, jak i nowej Polski, wówczas jeszcze pod rządami Platformy. Dusza nie należał do licznego grona muzyków patrzących na tamten czas bezkrytycznie. Ale nie uprzedzajmy faktów. „Jestem ziarnkiem piasku" finalnie okazało się książką w swej wymowie optymistyczną, bowiem historia Duszy to opowieść człowieka, który osiągnął w życiu sporo, mając do dyspozycji trochę szczęścia i więcej talentu, nie idąc przy tym na żadne kompromisy i unikając pułapek, jakie czyhały na wielu jego kolegów, czy to z załogi, czy tylko branży.

wo zombie dadzą się porwać muzyce kapeli jednego z pary głównych bohaterów, zdobędą miasto, dając sobie radę nawet z ZOMO, które pogryzione, samo zasili krwawą bandę. Reszty nie ma co opowiadać, coś trzeba zostawić czytelnikom.

▶ To co było i to co jest

Mniej więcej dekadę temu na polskim rynku wydawniczym pojawiło się sporo książek, w których starsi już punkowcy mieszali swoje wspomnienia, fantazje i chęć przeżycia drugiej młodości, co przekładało się najczęściej na dość naiwną grafomanię. „Zombie fest" na szczęście tylko w niektórych momentach zbliża się do tej stylistyki. Książka ratuje się za to nie tylko humorem i trzeźwymi obserwacjami, przekładają-

DUSZA BYŁ GITARZYSTĄ I AUTOREM TEKSTÓW GRUPY IRENEUSZA DUDKA, KTÓRA PRZYJĘŁA NAZWĘ SHAKIN' DUDI. TO ON JEST AUTOREM SŁÓW PRZEBOJÓW W RODZAJU „OCH, ZIUTA", „AU SZALA LALA" CZY „ZA 10 MINUT TRZYNASTA".

„Zombie fest", książka, która ukazała się pod koniec ubiegłego roku, to w pewnym sensie suma tych samych doświadczeń i refleksji, przełożona tym razem na język beletrystyki. Historia w niej opowiedziana streszcza się już w tytule – to prawdziwy horror rozgrywający się w fikcyjnej miejscowości Trupieszów, podczas typowego PRL-owskiego festiwalu rockowego. Bawiącą się z użyciem wszelkich możliwych środków odurzających młodzież atakuje nagle chmara zombie, w pierwszej chwili mylnie brana przez wszystkich za przedstawicieli kolejnej subkultury. Realia epoki nie są, co trzeba zaznaczyć (i wybaczyć) oddane do końca wiernie. Skini wyglądają jak z żurnala, nie z PRL-u, a zombie, myleni z gothami, nie mieliby jeszcze i ubrań, i kosmetyków, by osiągnąć podobne efekty, jednym i drugim bliżej do późnych lat 90. Za to wzajemne relacje subkultur, kapel, pracowników imprezy, poziom artystyczny wykonawców prawdziwych i fikcyjnych to już całkowicie wierne oddanie epoki. Przy którym co kilka stron można wybuchnąć śmiechem, nawet wtedy, gdy sytuacja na dobre wymknie się spod kontroli. Spokojne początkocymi się na ciekawy opis zderzenia komunistycznej machiny z tak absurdalnym problemem jak inwazja zombie, lecz także drugą swoją warstwą. Oto bowiem poszczególne historie punkowca Janka z Orwellowsko nazwanej kapeli Pokój 101 i jego świeżo poznanej dziewczyny Ani, zbuntowanej córki partyjnego aparatczyka z Warszawy, Dusza rozdziela fikcyjnymi współczesnymi rozmowami z rzekomymi świadkami historii. W ten sposób dostajemy satyryczny przegląd współczesnych biografii i sposobu myślenia muzyków rockowych, celebrytów, starych esbeków, lokalnych aktywistów i urzędników, i każda z tych wypowiedzi podnosi rzecz na zupełnie inny poziom. Obok mocno umocowanego subkulturowo i politycznie horroru dziejącego się w PRL, dostajemy więc mocną i bezkompromisową satyrę na dzisiejszą Polskę, co ważne, satyrę inteligentną i bynajmniej „niejednokierunkową", jak to się na ogół dzieje. Dlatego „Zombie fest" to sympatyczna lektura nie tylko dla fanów wszystkiego, co traktuje o żywych trupach i szukających klimatu młodości weteranów rockowego boomu lat 80. ■

eprasa.pl 3197b25434

Ryszard Czarnecki

Niemcy: atakują nas, nie rozliczyli siebie ...

Czy dlatego pouczają nas, by odwrócić uwagę od siebie? Chodzi o Niemców. Nowa wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Katarina Barley ze współrządzącej lewicowej SPD zabrała głos w ostatniej debacie na temat Polski. Stwierdziła m.in., że polski rząd... działa jak komuniści. Tę samą tezę zawarła w rozmowie z „Sueddeutsche Zeitung". Rozumiem nerwowość pani eksminister sprawiedliwości RFN (córki niemieckiej lekarki i brytyjskiego dziennikarza), bo mam przed sobą dane dotyczące poparcia partii politycznych przygotowane przez sześć niemieckich sondażowni w grudniu 2019 roku. Tylko w jednym z nich SPD jest na miejscu trzecim (już od dawna za CDU-CSU i Zielonymi), we wszystkich pozostałych jest bądź na równi z eurosceptyczną i niechętną emigrantom Alternatywą dla Niemiec, bądź – w większości – nawet za nią. Zawód związany z faktem, że partia Frau Barley nie tylko nie jest już „nr 1" na niemieckiej scenie politycznej, jak jeszcze kilkanaście lat temu, ani „nr 2", jak przez ostatnie blisko półtorej dekady, lecz także nawet już nie łapie się na podium – musi być szokiem egzystencjalnym dla niemieckich socjalistów. Stąd reagują jak reagują. Jednak myślę, że nie chodzi tylko o to. Mam wrażenie, że niemiecka klasa polityczna, w tym SPD, która od czasów kierowania nią przez kanclerza Gerharda Schroedera – pierwszego kanclerza NRF/RFN, który nie pamiętał już II wojny światowej – nie ma już poczucia „Deutsche Schuld", czyli „niemieckiej winy", „niemieckiego długu". Co więcej, Niemcy chcą wyprzeć haniebną przeszłość z okresu już po II wojnie światowej, gdy zbrodniarze z III Rzeszy byli zatrudniani na państwowych etatach, często na kluczowych stanowiskach.

Niedawno, po kilkuletnich badaniach, historyk Martin Hoelzel ujawnił, że czterech pierwszych szefów Krajowego Urzędu Kryminalnego – Landeskriminalamt (LKA) – w najludniejszym niemieckim landzie, czyli Nadrenii-Westfalii, a więc ludzi kierujących strukturą ścigającą przestępców przez niemal ćwierćwiecze, to... niemieccy przestępcy wojenni. Przykładem jest choćby szef LKA przez całą dekadę (1948–1958) Friederich D'heil. W 1939 roku był członkiem specjalnych jednostek policji, które wraz z Wehrmachtem okupowały Polskę. Następnie przez rok kierował policją kryminalną w Łodzi, gdzie rozkazał zabijanie każdego Żyda za próbę ucieczki z getta. Był tak dobry, że awansowano go do spokojniejszej Danii, gdzie odpowiadał za deportację do obozów koncentracyjnych. Po wojnie uniknął odpowiedzialności – także dlatego, że zajmował kierownicze stanowisko w strukturach już NRF-owskiej policji...

Od policjanta do lekarza. Szef Niemieckiego Związku Lekarzy przez połowę dekady w latach 70., wieloletni skarbnik... Światowego Związku Lekarzy dr Hans-Joachim Severing był nie tylko członkiem SS, ale wprost odpowiadał za śmierć setek upośledzonych dzieci.

Był też „Doktor Śmierć", czyli Aribert Heim, lekarz w niemieckim mundurze, który testował trucizny na Polakach i wycinał ludzkie organy bez narkozy. Od 1954 roku spokojnie praktykował w Baden-Baden, uzdrowiskowej miejscowości położonej trzy kwadranse drogi samochodem od Strasburga, w którym piszę te słowa. Był jednym z wielu.

Kolejnym był SS Sturmbannfuehrer doktor Fritz Ernst Fischer. Ten chirurg był prawą ręką „Anioła Śmierci" profesora (a jakże!) Karla Gebhardta. Podczas II wojny światowej wraz ze swoim szefem torturowali i mordowali więźniarki, głównie Polki, w niemieckim obozie w Ravensbrueck. Nie przeszkadzało mu to pracować po wojnie aż do 1978 roku, czyli do zasłużonej emerytury, w koncernie Boehringer Ingelheim (firma istnieje do tej pory). Kolejni lekarze-mordercy, niebywale gorliwi w akcji zgładzenia 200 tysięcy (!) niepełnosprawnych i upośledzonych: Klaus Endruweit, Aquilin Ullrich i Heinrich Bunke jako lekarze praktykowali aż do 1985 roku...

W psychologii to się nazywa wypieraniem ze samoświadomości bardzo niewygodnych faktów. Można też to nazwać „ucieczką do przodu". Czy niemieccy politycy atakują Polskę, bo nie chcą rozliczyć się ze swoją przeszłością? Nie pozwólmy im jednak o niej zapomnieć. ■

eprasa.pl 3197b25434

PKO BANK POLSKI NAJCENNIEJSZĄ POLSKĄ SPÓŁKĄ W 2019 ROKU

Bank Polski

Zakończyliśmy rok z najwyższą kapitalizacją wśród spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie

eprasa.pl 3197b25434

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Tej wioski nie znajdzie się na mapie Google. Nie ma jej także w żadnej znanej mi nawigacji GPS. Jest schowana przed wścibskim turystą chcącym cyknąć sobie selfie z przebranym w bambusowe wdzianko Papuasem. Znajduje się pod ochroną. I to nie byle jaką.

eprasa.pl 31702543

Wioseczka, którą upatrzył sobie Ojciec

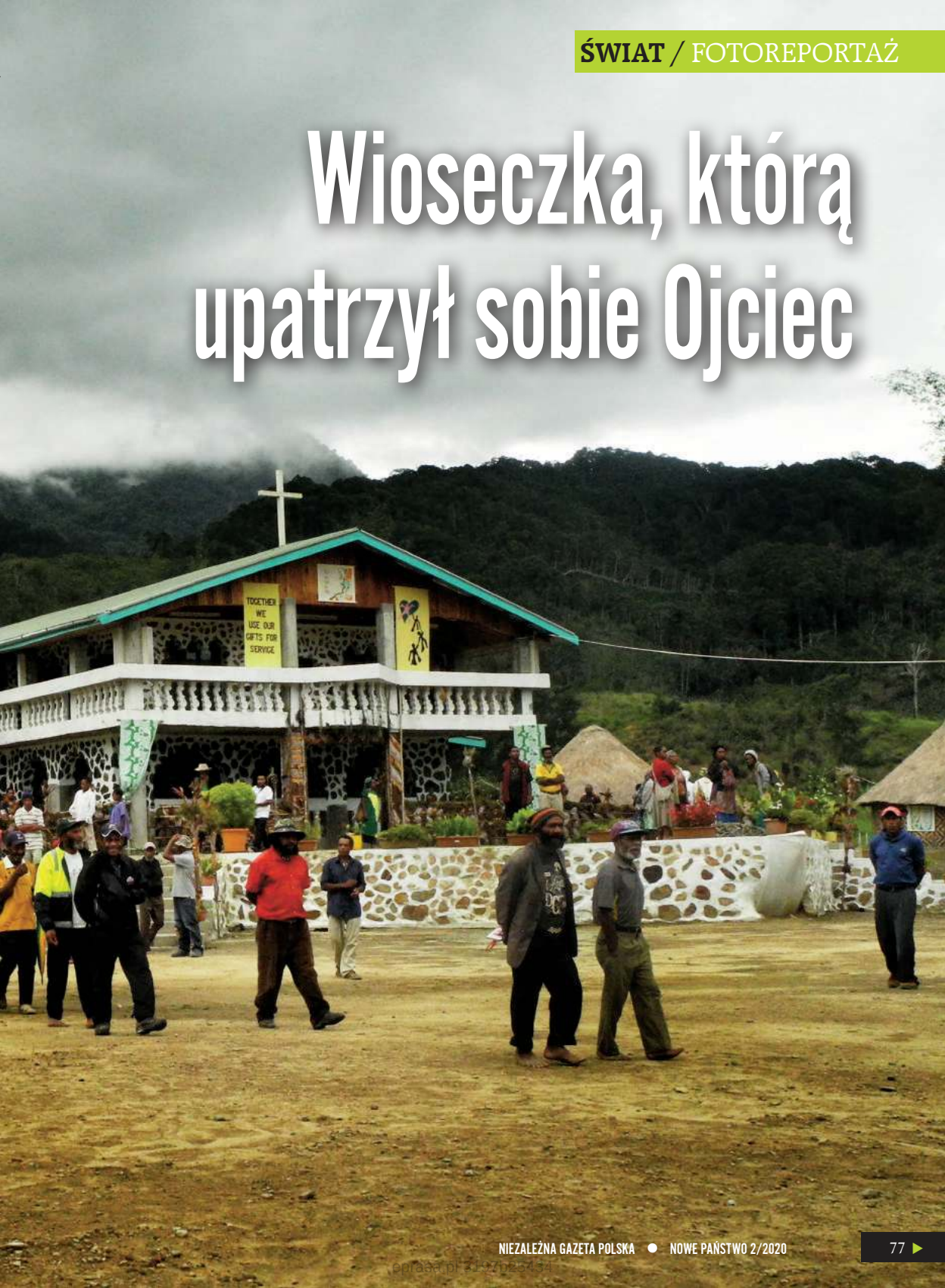

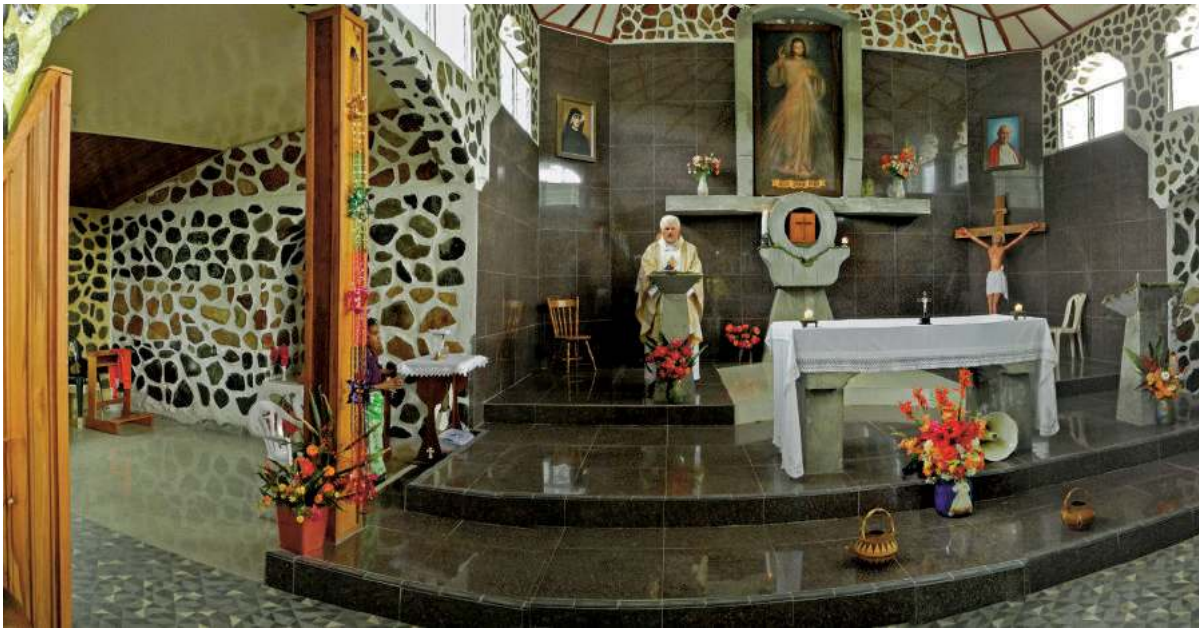

W samym centrum buszu, na końcu papuaskiego świata lokalna społeczność wzniosła kościół. Za ołtarzem sanktuarium widać dziś obraz Jezusa Miłosiernego przywieziony

„Wyobraź sobie, że ci ludzie w samym środku buszu wybudowali to sanktuarium" – ojciec Józek jest wyraźnie szczęśliwy. Po chwili chwyta przebiegającego obok urwisa i rozkosznie drapie go po rozwianej czuprynie. Misjonarz jest w swoim żywiole. Nam zaś pokazuje, jak bardzo podziwia tych ludzi.

Na rozległym, wykarczowanym, piaszczystym placu stoi samotna świątynia. Nie jest wysoka. Białe ściany powysadzane są kamieniami, ma spadzisty dach, niewielki balkonowy taras nad głównym wejściem i charakterystyczny spiczasty dziubek na głównej fasadzie dopełniający wrażenie, że budynek będzie przypominać łódź. Długą i dość wąską. Z niewielkimi oknami. Metafora jest czytelna. Także dla Papuasów. To barka.

Mistyka wioski końca świata

To najdziwniejsza procesja, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem. Wraz z dwójką polskich misjonarzy idziemy w kierunku Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Rukus. Dokoła nas kroczą prawdopodobnie wszyscy obecni w osadzie mieszkańcy. Orszak jest kompletnie nieuformowany. Dokoła biegają dzieci. Jedna z matek próbuje dogonić synka. Słychać głośne rozmowy. Ktoś się śmieje. Co rusz do tłumu spacerujących podbiega jakiś mężczyzna, aby podać rękę jednemu z kapłanów. Wszyscy są wyraźnie poruszeni. Widząc nową białą twarz, również chcą się przywitać, po czym dołączają do pozostałych idących w stronę świątyni.

Kościół rośnie w oczach. Dopiero teraz dostrzegam, że w niewielkiej odległości za powstającą budowlą zaczyna się strome wzgórze. W całości pokryte bujną roślinnością. Szybko odwracam wzrok. Z drugiej strony wioski jest podobnie. I z trzeciej. Jesteśmy więc w kotlinie. Pomiędzy trzema egzotycznymi górami. Buchającymi rozgrzaną od słońca wilgocią. Z uwięzionymi pomiędzy gałęziami górskiego buszu mgłami. Mistyka. Topograficzny koniec świata. Dalej już nie przejedziemy. Rzeczywiście. Szutrowa droga prowadząca z Kikimbe w to miejsce jest jedynym oknem na świat dla tutejszych mieszkańców. Dalej już się nie pojedzie. Zostają trzy potężne masywy. Szczelnie pokryte lasem tropikalnym. Bez ścieżek, niedostępne i ukryte przed światem. „A teraz wyobraź sobie, że ten plac też kiedyś wyglądał jak te góry" – idący obok mnie ojciec Józek jakby czytał w moich myślach. „Wszystko musieli wyciąć. I wycięli. Sami".

Jedyna droga

Rukus. Licząca kilkadziesiąt rodzin wioska środkowej części Papui Nowej Gwinei. Z wysokimi liśćmi paproci oraz bananowców, wśród których bez ładu i składu porozrzucane są kolejne chatki. Ich odkrywanie jest niczym szukanie grzybów w lesie po obfi-

eprasa.pl 3197b25434

prosto z warszawskiego Bemowa

tym deszczu. Człowiek nigdy nie wie, gdzie natknie się na kolejną. Gdy zaś ją znajdzie, przez chwilę zastanawia się, jak musi się żyć człowiekowi, który zdecydował się zbudować sobie dom w takim miejscu. Chatki wciśnięte pomiędzy gigantycznych rozmiarów liście nie różnią się zanadto od pozostałych chat, jakie mieliśmy okazję oglądać już w tej części wyspy. Ścianki zrobione są z bambusowej plecionki. Wsparte cienkimi drewnianymi palikami. Tak wzniesioną na planie koła chatę zdobi zwykle dach z pandanusowych liści. Czasem z liści palmy. A nieraz ze strzechy pokrytej dodatkowo smołą. „To na robactwo" – tłumaczy mi ojciec Józef. „Poza tym smoła pomaga stworzyć nieprzepuszczalną warstwę".

Rukus założyło bardzo bitne plemię. W górskiej prowincji Highlandu stanowiło jedną z bardziej niebezpiecznych grup osadniczych. Mało kto chciał z nią zadzierać. Prędzej oni zadzierali z innymi. Populacja z przewagą młodych mężczyzn. Wysportowanych i silnych. Do tego bardzo dumnych. Okoliczne wioski wolały więc być cicho. Nikomu nie przeszkadzało, że mieszkańcy Rukus zawsze, gdy chcieli się gdzieś przemieścić, musieli korzystać z drogi przejeżdżającej przez wioski innych. Lepiej nie drażnić lwa.

▶ Łagiewnickie światło pokoju

Takie właśnie Rukus zastał w latach 70. ojciec Bogdan. Pierwszy, który zawitał w te okolice z Dobrą Nowiną. Przyjęli go. Ze zdroworozsądkową rezerwą i czujnością. Ale z każdym dniem dając mu więcej ze swego kredytu zaufania. Dziś nazywają go swoim „padre". Podobnie jak ojca Józefa, który z czasem dołączył do swego starszego przyjaciela na misji. Dziś mieszkańcy Rukus nie wyobrażają sobie życia bez tej dwójki. Dzięki niej poznali Kogoś znacznie ważniejszego.

Wszystko zaczęło się jednak daleko stąd. W egzotycznej dla Papuasów Europie. A konkretnie w południowej Polsce. W Krakowie. Gdzie w sierpniu 2002 roku papież Jan Paweł II podczas swojej pielgrzymki do ojczyzny poświęcał łagiewnickie sanktuarium Bożego Miłosierdzia. Wśród wiernych była wtedy także pewna młoda dziewczyna z Papui. O imieniu Cristincia. Tamtego dnia otrzymała od Ojca Świętego światło, z którym miała iść dalej. Rozświetlać ciemności grzechu w miejscach, gdzie żyje na co dzień. Po powrocie do kraju Cristincia nie miała pomysłu, co zrobić z symboliczną świecą, którą otrzymała w prezencie od papieża modlącego się o pokój także w jej ojczyźnie. Ostatecznie światło z Łagiewnik wylądowało w zapomnianej przez świat wioseczce. Za wysokimi górami, za gęstymi lasami. Osada nazywała się Rukus.

▶ Polskość jest wszędzie

– Wszystko zaczęło się w 2010 roku – ojciec Józek rozpoczyna swoją cowieczorną gawędę przy świe-

eprasa.pl 3197b25434

To rzeczywiście koniec świata. Również topograficznie

cach. – To sanktuarium to owoc pracy jednej konkretnej kobiety. Miała na imię Rose. Cierpiała swego czasu na bardzo ciężką chorobę, ale została uzdrowiona. Przez pewien czas nowo utworzona w Port Moresby grupa modlitewna pw. Bożego Miłosierdzia bardzo mocno prosiła Boga o zdrowie dla niej. Jak widać, Pan Bóg miał wobec Rose bardzo poważne plany... Wysłuchał próśb. Dziewczyna zaczęła się zastanawiać nad jakimś wotum dziękczynnym. Zarazem bardzo chciała utrwalić orędzie o Bożym Miłosierdziu, które nie tak dawno dotarło na Papuę wraz ze światełkiem Cristincii. Kobiety uznały to za znak. Fakt, że łagiewnicka świeca trafiła właśnie do Rukus. Że stąd pochodziła sama Rose. Mieszkańcy nie chcieli już dłużej czekać. Rozpoczęli budowę sanktuarium.

– W dodatku z polskim obrazem Jezusa Miłosiernego umieszczonym wprost za głównym ołtarzem – wtrąca ojciec Bogdan.

– Jak to polskim? – dopytuję.

– Pójdziesz jutro, to zobaczysz. Jest napisane po polsku „Jezu, ufam Tobie".

– I wasi papuascy parafianie to rozumieją?

– A co mają nie rozumieć? – śmieje się głośno ojciec Józek. – Oni wszystko rozumieją.

– Dostałem ten obraz od pewnej pani z warszawskiego Bemowa. Dała mi, gdy byłem tam na rekolekcjach. Ufundowała go i chciała, by tu zawisnął. To wisi – tłumaczy ojciec Bogdan. – Dałbyś wiarę, że nawet w takim miejscu poczujesz ojczyznę?

▶ Metamorfoza

Nieco poniżej Rukus przepływa szeroki strumyk. W porze deszczowej poziom wody potrafi sięgać nawet ludzkiej szyi. Z tego miejsca tutejsza ludność miesiącami w ramach prac na ochotnika znosiła na główny plac kamienie otoczaki. Takie głazy miały najpiękniej komponować się w ścianach właśnie wznoszonego kościoła. Kilka miesięcy wcześniej ci sami mężczyźni karczowali busz. Dysponując jedynie prowizorycznymi piłami, maczetami i nożami, rzucili wyzwanie naturze. I dali radę.

eprasa.pl 3197b25434

Jak okiem sięgnąć na wykarczowanym w ten sposób placu próżno jednak było szukać jakiejkolwiek maszyny budowlanej. Zaprojektowana przez Francisa Boniego świątynia powstała – podobnie jak wszystko w tej osadzie – rękami tych właśnie ludzi. Lokalnych mieszkańców. Z użyciem takich narzędzi, jakimi akurat dysponowali. Bądź jakie udało im się kupić w pobliskim Mont Hagen, największym mieście w prowincji. Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Rukus to naprawdę dzieło powstałe na niczym. I z niczego. Dzisiejszy efekt końcowy zdaje się temu przeczyć.

– Niemożliwe, żeby oni to sami postawili – szepczę do ojca Bogdana, gdy zbliżam się do świątyni.

– Absolutnie sami. Zupełnie nieprzymuszeni. I wyłącznie własnym sumptem sił. Na tym polega fenomen tego miejsca. Pewnie dlatego oni sami tak bardzo chcą tu się modlić.

Na efekty tej modlitwy nie trzeba było długo czekać. Z najbardziej bitnego plemienia w okolicy mieszkańcy Rukus stali się niezwykle uprzejmą i gościnną wspólnotą. Szczepem, który raczej łagodzi sąsiedzkie spory niż wszczyna własne. „Trudno zrozumieć ten cud, jeśli nie znałeś tych ludzi wcześniej..." – ojciec Bogdan chyba sam pozostaje pod wrażeniem dokonanej w mieszkańcach metamorfozy.

▶ Trudna noc

Październik 2015 roku. Wraz z suchymi wyziewami powietrza do ust wdychającego dostają się pył i piasek. To już dwa miesiące, jak na papuaskim Highlandzie nie widziano deszczu. Obumarłe łąki łakną choćby zroszenia. Porastający okoliczne wzgórza busz już nie lśni soczystą zielenią. Coraz rzadziej poranki papuaskich pejzaży urozmaica mgła. To jeden z najdłuższych okresów suszy już od kilku lat. Za kilka dni do Rukus mają przybyć tłumy wiernych. By wraz z biskupami i księżmi cieszyć się aktem poświęcenia nowej świątyni. Tej, którą mieszkańcy wznieśli własnymi rękami. Korzystając z naturalnych surowców występujących wkoło. To ma być ich wielkie święto. Powód do dumy. Ale także powód do podzielenia się świadectwem. Zwłaszcza dla dwójki kobiet, dla których ta budowa to zwieńczenie marzeń.

Gdy pielgrzymi coraz liczniej docierają na wykarczowany w buszu plac, na którym stoi niekonsekrowana jeszcze świątynia, ci bardziej spostrzegawczy dostrzegają, że gałęzie rosnących na okolicznych wzgórzach drzew jakby nieco bardziej się kołysały. Po kilku godzinach jest jasne, że zbliża się burza. Niebo ciemnieje z każdą minutą. Wiatr rzuca po placu leżące łodygi liści. Z trzaskiem łamie się uschnięty bananowiec. Idzie deszcz. „Tylko czemu akurat dzisiaj?..." – szepcze do siebie ojciec Bogdan, który razem ze swoim parafianami oczekuje przyjazdu biskupów wraz z gośćmi.

Wieczorem zaczyna padać. Wkrótce drobny deszczyk przeradza się w ulewę. Gościnni mieszkańcy Rukus udostępniają przybyłym na uroczystość schronienie. Na odpoczynek jednak nie ma czasu. Ojciec Bogdan wraz ze zgłoszonymi na ochotnika mężczyznami wraca na plac. Trzeba ratować, co się da. Postawić na nowo umocowania dla wiernych. Drewniane płotki leżą zanurzone w głębokich kałużach. Gdzieniegdzie uformowały się już nawet ministrumienie niosące deszczówkę w dół osady. Trzeba naprawić podesty dla przemawiających. Ustawić na nowo wsporniki na głośniki. Wszystko było już przecież gotowe. Przyszykowane na ten właśnie dzień. Specjalnie na tę właśnie godzinę. A teraz... Walka z żywiołem trwa całą noc. „Nie wierzyłem, że damy radę" – wspomina dziś tamtą noc ojciec Bogdan. „Ulewa nie odpuszczała, a my walczyliśmy niczym Don Kichot z wiatrakami. Cały czas coś się zaczynało walić. Byliśmy bez szans".

Tuż nad ranem przestaje padać. Zaczyna się nowy, słoneczny dzień. Robi się coraz cieplej. Przykościelny plac zaczyna przypominać swój pierwotny stan. Z czasem wysychają wszystkie kałuże. Umocowania na placu stoją stabilnie. Wszystko gotowe.

▶ Najlepsze mieszkanie

Dla wioski Rukus noc z 21 na 22 października 2015 roku była kolejnym znakiem. Ponownym po sprowadzeniu do tej osady łagiewnickiego światła pokoju przez Cristincię. Po cudownym uzdrowieniu tutejszej mieszkanki Rose. Po sprowadzeniu w to miejsce słynącego łaskami obrazu Jezusa Miłosiernego. I to skąd? Z samej ojczyzny św. siostry Faustyny! Zwieńczeniem cudownych znaków Bożego Miłosierdzia dla papuaskiej wioski była zaś ta noc. W wigilię konsekracji sanktuarium.

Tego dnia we Mszy świętej wzięły udział ponad 3 tysiące wiernych. Mszę celebrowało pięciu biskupów oraz nuncjusz. Dla nich to miejsce także jest świadkiem cudu. Świadectwem wiary tutejszego szczepu. Ich przemiany. I otwartości na wyzwanie. Wreszcie Bożej woli, która wywraca ludzką logikę do góry nogami. Tę wolę doskonale zrozumiały wspomniane już dwie kobiety. A za nimi pojęli to mężczyźni z Rukus. Którzy wraz ze swoimi rodzinami przygotowali Bogu wspaniałe miejsce na ziemi. Dziś mieszka On tu razem z nimi. Na końcu świata. Między trzema zalesionymi buszem górami. We wsi, do której prowadzi tylko jedna droga. ■

eprasa.pl 3197b25434

USA–Chiny: chwilowy rozejm

Hanna Shen

Choć podpisana 15 stycznia tego roku przez USA i Chiny pierwsza część porozumienia handlowego to nie koniec konfliktu pomiędzy oboma krajami, to dzięki niemu mamy chwilowy rozejm, a treść umowy pokazuje, jak silną pozycję w tym konflikcie mają Stany Zjednoczone pod rządami Donalda Trumpa.

eprasa.pl 319 25 4

W ramach podpisanego w Waszyngtonie porozumienia Chiny zgodziły się zwiększyć import z USA o 200 mld dolarów w ciągu dwóch lat, z których 30 mld dolarów dotyczy produktów rolnych, 50 mld dolarów surowców energetycznych (głównie LNG), a co najmniej 75 mld dolarów dóbr przemysłowych. Główny postulat Pekinu – zniesienie taryf – został odrzucony przez amerykańską administrację. Podczas ceremonii podpisania porozumienia w Białym Domu Donald Trump poinformował, że amerykańskie cła na chińskie produkty pozostają w mocy, gdyż inaczej Stany Zjednoczone nie będą miały odpowiedniej pozycji negocjacyjnej w dalszych rozmowach z Chinami. I tak Waszyngton zachował 25-procentowe taryfy na import z Chin wart 250 mld dolarów rocznie, ale obniżył do 7,5 proc. cła nałożone na inne chińskie dobra eksportowe warte 120 mld dolarów rocznie. Porozumienie nakłada też na Pekin obowiązek wprowadzenia zmian do polityki ekonomicznej i handlowej w takich obszarach, jak: własność intelektualna, transfer technologii, rolnictwo, usługi finansowe, waluta i zagraniczna wymiana handlowa. Chiny zobowiązały się również do powstrzymywania się od dewaluacji juana w celach handlowych.

Dodatkowo Pekin i Waszyngton uzgodniły, że wszelkie różnice i spory w sposobie realizacji umowy będą rozwiązywane tylko na drodze dwustronnych konsultacji (bez udziału strony trzeciej), poczynając od poziomu roboczego, i jeśli to nie przyniesie pożądanego rezultatu, to negocjacje zostaną przeniesione na wyższy szczebel. Jeżeli te konsultacje nie rozwiążą sporów, ponownie uruchomione zostaną taryfy.

Trump triumfuje

Były doradca Donalda Trumpa Steve Bannon chwali prezydenta USA za to, że nie poddał się chińskiemu żądaniu zniesienia ceł. W ten sposób według Bannona Trump złamał Komunistyczną Partię Chin. Przez dziesięciolecia kolejni prezydenci niewiele robili, by powstrzymać Chiny, które łamały zasady i nieuczciwie zdobywały przewagę na rynku handlu międzynarodowego. Donald Trump jest pierwszym, który stara się to zmienić – zmusił Pekin do negocjacji i dużych ustępstw. Krytykowane przez wielu cła, jakie Trump nałożył na Chiny, w rzeczywistości się sprawdziły.

Według Chińskiej Akademii Technologii Informacyjnych i Komunikacyjnych w 2018 roku, kiedy na dobre zaczęła się wojna handlowa, sprzedaż smartfonów w Państwie Środka spadła o 15,5 proc. Chińskie Stowarzyszenie Producentów Samochodów donosi, że w tym samym roku sprzedaż samochodów spadła o 4,1 proc., a nadwyżka handlowa Chin o 16,8 proc. Do tego należy dodać wysokie bezrobocie wśród absolwentów szkół wyższych, eksodus z Chin zachodnich firm i przedsiębiorców oraz setki miliardów niespłaconych pożyczek w chińskim systemie finansowym. Rosną też inflacja i zadłużenie tamtejszych regionów oraz przedsiębiorstw, a wiele firm zwalnia pracowników. To powoduje wzrost niezadowolenia społecznego z powodu polityki komunistycznych przywódców Chin. W 2018 roku miało miejsce co najmniej 1700 pracowniczych protestów. Rok wcześniej było ich 1200.

Poza pogarszającą się sytuacją gospodarczą do serii problemów, z którymi przyszło się borykać prezydentowi Chin Xi Jinpingowi, należy dorzucić protesty w Hongkongu i przegraną propekińskiej opcji w wyborach prezydenckich i parlamentarnych na Tajwanie na początku stycznia tego roku.

Xi zdecydowanie potrzebował oddechu w konflikcie z USA i stąd zgodził się na podpisanie umowy, którą wielu internautów w ChRL określiło jako kapitulację. Jak stwierdził w tajwańskim programie publicystycznym „Era Money" ekonomista Wu Jialong, jeszcze pod koniec 2019 roku Xi próbował przesunąć termin podpisania porozumienia. Miał zmienić zdanie po zabójstwie przez Amerykanów 3 stycznia tego jednej z najważniejszych osób w Iranie, dowódcy elitarnego irańskiego oddziału Al-Kuds generała Kasema Sulejmaniego. Ta akcja USA wywołała popłoch w Pekinie, gdzie natychmiast wydano rozporządzenie zakazujące m.in. lotów dronów, latawców czy balonów powietrznych. Agencje informacyjne i blogerzy mieli informować o marszrutach komunistycznych przywódców dopiero trzy godziny po zakończeniu wydarzeń, a w miejscach, w których pojawili się aparatczycy, musiał być wyłączony internet.

Trump zaskoczył i przestraszył Xi Jinpinga. Prezydent Chin zaraz po 3 stycznia odstąpił od planu przesunięcia zawarcia umowy z USA i wysłał delegację do Waszyngtonu w połowie stycznia.

Kruche porozumienie

Doradca ekonomiczny Białego Domu Larry Kudlow powiedział w telewizji Fox, że umowa z Chinami zwiększy wzrost gospodarczy USA o 0,5 pkt proc. w tym i w przyszłym roku. Oczywiście jeżeli Pekin będzie się wywiązywał z postanowień umowy. W tej kwestii jest jednak sporo sceptycyzmu wśród ekspertów.

W umowie jest wiele klauzul mówiących, że Chiny się do czegoś zobowiązują. Władze ChRL znane są z tego, że mają dość elastyczne podejście do zobowiązań, nawet tych złożonych na piśmie. Dobrze to rozumieją na przykład Hongkończycy. W 2017 roku, w 20. rocznicę przejęcia byłej brytyjskiej kolonii przez ChRL, rzecznik chińskiego MSZ oświadczył, że „Wspólna deklaracja brytyjsko-chińska" z 1984 roku, która ustanowiła plan rządzenia miastem po przyłączeniu do Chin w 1997 roku, jest dokumentem historycznym i nie ma już żadnego praktycznego znaczenia. Wielu mówiło wtedy, że według chińskich komunistów „dziś podpisana umowa jutro jest już historią" i nie obowiązuje. Możliwe, że Chińczycy z czasem zaczną mieć i taki stosunek to porozumienia podpisanego z Trumpem.

Mało kto wierzy też, by Pekin rzeczywiście zwiększył import z USA o 200 mld dolarów w ciągu dwóch lat. Ozna-

foto: LUKAS COCH/PAP/EPA

eprasa.pl 3197b25434

czałoby to, że Chiny musiałyby zrezygnować z zakupów w innych krajach, na przykład w Iranie, który dostarcza ChRL ropę. Dziś Iran to ważny odcinek Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS) – jak twierdzi politolog Robert D. Kaplan, „punkt organizacyjny" dla stworzenia komunikacji między Chinami i Bliskim Wschodem przez Azję Środkową. To lądowe rurociągi z Iranu miałyby zapewnić Pekinowi gaz i ropę poza zasięgiem panującej na morzach floty USA. Gdyby Pekin przestał kupować od Iranu, zaczęłoby się sypać partnerstwo Teheranu i Pekinu i byłby to poważny cios w Nowy Jedwabny Szlak. A to też wygrana Trumpa. Dziś reżim ajatollahów funkcjonuje dzięki wsparciu komunistycznego reżimu w Chinach, a ważną postacią, która stworzyła te silne więzi polityczno-gospodarcze, był Kasem Sulejmani*.

Cios w NJS jest także po myśli USA, które traktuje tę incjatywę jako zagrożenie nie tyle gospodarcze, co polityczne i militarne. W wywiadzie z 11 września 2018 roku dla amerykańskiego konserwatywnego serwisu internetowego The Washington Free Beacon ówczesny zastępca amerykańskiego sekretarza obrony ds. Azji i Pacyfiku Randall Schriver zwracał uwagę, że czołowym graczem w chińskim projekcie Nowego Jedwabnego Szlaku jest Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Według Schrivera chińska ekspansja wojskowa i ekspansja ekonomiczna „wspomagają się i uzupełniają". „Tam, gdzie Chiny używają narzędzi ekonomicznych, często robią to, aby uzyskać dostęp do kolejnych terytoriów i zakładać tam potencjalne bazy militarne" – powiedział urzędnik Pentagonu.

O tym, że porozumienie USA z Chinami nie będzie trwałe, mówią nie tylko eksperci na Zachodzie. Zaraz po ogłoszeniu umowy Hu Xijin, redaktor naczelny „Global Times" – tuby propagandy KPCh, na portalu Weibo (chiński odpowiednik Twittera) nazwał porozumienie z USA „kruchym rozejmem".

Także fakt, że po stronie chińskiej porozumienia nie podpisywał prezydent Xi, lecz wicepremier Liu He, jest tu bardzo wymowny. Prezydent Xi uwielbia sygnować wielkie umowy. Tymczasem nie zrobił tego przy najważniejszym dealu. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że wie, iż nie może dotrzymać umowy. Po co podpisywać ważną umowę z Trumpem i być upokorzonym, gdy nie uda się jej zrealizować? Dlatego Xi Jinping wysłał wicepremiera Liu. Gdy okaże się, że umowa jest już „historyczna", a Stany Zjednoczone nałożą uzgodnioną karę za jej niewykonanie – dodatkowe taryfy – to nie Xi będzie winny. Dowiemy się, że za fiasko odpowiedzialny jest Liu He, wobec którego bardzo szybko zacznie się toczyć postępowanie antykorupcyjne.

Oczywiście sytuacja Xi i KPCh może się zmienić, gdy Trump przegra wybory prezydenckie w listopadzie 2020 roku. I to jest to, o co na pewno będą się starać chińscy komuniści. W zakończonej właśnie na Tajwanie kampanii w wyborach prezydenckich i parlamentarnych bardzo wyraźnie odczuwało się wojnę dezinformacyjną prowadzoną przez Pekin i wymierzoną w obóz proniepodległościowy na wyspie. Amerykanie, którzy bardzo dokładnie obserwowali wybory na Tajwanie, twierdzili, że podobnych akcji ze strony Pekinu należy się spodziewać w czasie kampanii wyborczej w USA – będzie to wojna dezinformacyjna wymierzona w Trumpa.

Nie do końca idylla

Jedną ze spornych spraw, której nie zawarto w umowie, jest kwestia Huawei. Na tej płaszczyźnie wojna może niedługo wybuchnąć ponownie, bo jak donosił w połowie stycznia Reuters, rząd Stanów Zjednoczonych jest coraz bliższy publikacji przepisu, który znacznie rozszerzyłby jego uprawnienia do blokowania wysyłek produktów spoza USA, a przeznaczonych dla chińskiego Huawei. W maju ubiegłego roku rząd USA zabronił amerykańskim firmom robić interesy z Huawei i ZTE, inną chińską firmą telekomunikacyjną. Tłumaczył to kwestią bezpieczeństwa narodowego.

O tym, że podpisana 15 stycznia pierwsza faza umowy handlowej to tylko chwilowy rozejm i że konflikty będą dalej wybuchać, świadczy m.in. to, co wydarzyło się dzień po podpisaniu porozumienia. Wówczas amerykański Korpus Pokoju** ogłosił, że wycofa się z ChRL do czerwca tego roku. W ramach działalności Korpusu Pokoju w Chinach prowadzonej od 1993 roku ponad 1300 Amerykanów prowadziło programy pomocowe w najsłabiej rozwiniętych regionach kraju. Wycofanie się z Chin ma wymiar symboliczny – pokazuje, że wojna USA–Chiny przenosi się na nowe obszary.

Wycofanie się Korpusu z Chin tak skomentował amerykański senator Marco Rubio: „Zbyt długo Pekin oszukiwał organizacje takie jak Bank Światowy i Światowa Organizacja Handlu i wykorzystywał nasze globalne instytucje. Nadszedł czas, aby organizacje te, zarówno amerykańskie, jak i wielostronne, zmieniły sposób, w jaki traktują Chiny". ■

* Według Guo Wenguia, chińskiego miliardera starającego się o azyl w USA i współpracującego ze Stevem Bannonem, Sulejmani miał bardzo bliskie relacje z frakcją Jiang Zemina w KPCh. Razem z Jiangiem i Zhou Yongkangiem (kiedyś car chińskiej bezpieki) doprowadził do ustanowienia Banku Kunlun, aby kontrolować chińsko-irańskie transakcje naftowe. Według Guo bieżące aktywa tego banku wynoszą ponad 280 mld dolarów, a o wymianie Iranu z chińskim bankiem decydowali wyłącznie Chamenei i Sulejmani; Sulejmani miał też dwa luksusowe mieszkania w Hongkongu, a jego rodzina pomieszkiwała w Pekinie i Szanghaju.

** Korpus Pokoju to federalna agencja amerykańska powołana przez prezydenta Johna F. Kennedy'ego, by służyć pomocą słabiej rozwiniętym krajom w zaspokajaniu potrzeb technicznych przy współpracy wykwalifikowanych kadr amerykańskich wolontariuszy oraz propagować w tychże krajach wiedzę o Stanach Zjednoczonych i Amerykanach.

eprasa.pl 3197b25434

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Korzystasz z zimy?
Skorzystaj z ubezpieczenia

PZU WOJAŻER

Szykujesz się na zimowy wyjazd? Z pewnością czekają Cię przygody. Pamiętaj jednak, że nie wszystkie kończą się szczęśliwie. Dlatego weź ze sobą na zimowy wyjazd **ubezpieczenie PZU Wojażer** i bądź spokojny, cokolwiek się zdarzy.

801 102 102 pzu.pl
Opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl 3197b25434

Antoni Rybczyński

Napoleon, sąsiad Raskolnikowa. Była zbrodnia, będzie kara?

Zaledwie kilka godzin zajęło ustalenie, że 63-letni Oleg Sokołow zamordował 24-letnią Anastazję Jeszczenko. To fragmenty jej ciała znajdowały się w plecaku mężczyzny. Do zatrzymania doszło 9 listopada 2019 roku, nad kanałem (rzeczką) Mojką. Precyzyjniej, w rzece, bo tam zauważono ledwo przytomnego mężczyznę.

Zastrzelił i poćwiartował

Po zidentyfikowaniu Sokołowa policja i śledczy natychmiast sprawdzili jego mieszkanie, nie tak wcale odległe od mostu, przy którym został znaleziony. W mieszkaniu znaleziono część zwłok kobiety. Przyjęto, że tej samej, której ręce Sokołow próbował utopić w rzece. Ale nie wszystkie części. Niektórych zabójca zdążył się już pozbyć. Była przede wszystkim głowa – która dała odpowiedź na pytanie, kim była ofiara. Sokołowa zatrzymano ponad dobę po zabójstwie, do którego doszło w nocy z 7 na 8 listopada 2019 roku. Kobieta została zastrzelona, a sprawca próbował ukryć fragmenty ciała w jednym z kanałów. Motywem zbrodni – według prasy – miała być zazdrość. Niewykluczone, że wpadł do wody, bo był pijany. Wyciągnęli go w stanie hipotermii. Rzeka w tym miejscu była płytka, utonąć tu nie mógł. Już na nabrzeżu Sokołow znalazł się w zasięgu kamer zainstalowanych na sąsiednim budynku – to centrum biznesowe, w którym działa też klinika. Dopiero pod koniec grudnia płetwonurkowie, używając skanera, znaleźli inne części ciała ofiary w rzece. To były nogi. Znaleziono je 300 metrów od Mostu Fonarnego, gdzie wyrzucił je Sokołow. Podobno po zamordowaniu partnerki planował widowiskowe samobójstwo. W pełnym umundurowaniu Napoleona chciał się zabić na oczach turystów w petersburskiej Twierdzy Pietropawłowskiej.

W sądzie Sokołow zeznał, że w dniu zabójstwa przywitał Jeszczenko kwiatami i szampanem. Wszystko szło dobrze, dopóki nie wspomniał

eprasa.pl 3197b25434

Ledwo żywy, przemarznięty mężczyzna w dojrzałym wieku, w nurcie jednego z przecinających Wenecję Północy kanałów. Wezwanie, które dostały służby, początkowo nie wzbudziło większych emocji. Ot, pewnie kolejny pijak stoczył się z brzegu do wody. Ale tym razem ratownicy i policja przeżyli szok. Mężczyzna miał przy sobie plecak. A w plecaku dwie odrąbane kobiece ręce. I do tego pistolet. Szybko okazało się, że to nie jakiś anonimowy mieszkaniec Sankt Petersburga, lecz postać znana i szanowana. Rosyjski Napoleon. Jeden z liderów ruchu rekonstrukcji historycznych w Rosji. Znany w Sankt Petersburgu historyk, wykładowca tamtejszego uniwersytetu. Niezwykle ceniony we Francji.

o swych dzieciach. „Od tego momentu straciliśmy nad sobą kontrolę. To niewyobrażalne. Nigdy nie widziałem takiego wybuchu agresji" – zeznał historyk. „Powiedziałem, że weekend powinienem spędzić z dziećmi. Wtedy ona wpadła w furię" – mówił. Sugerując, że najpierw to ona napadła na niego z nożem. Tyle że to on zastrzelił ją z obrzyna, a właściwie to z przerobionego pistoletu kawaleryjskiego z XIX wieku. W głowie znaleziono cztery kule. Co więcej, przed śmiercią dziewczyna zdążyła zadzwonić do krewnego i powiedzieć, że mają z Sokołowem kłótnię, bo nie chce jej wypuścić na imprezę urodzinową przyjaciela. Sąsiadka mówi, że w dniu zabójstwa słyszała dźwięki kłótni. Żeński głos krzyczał „drań", zaś męski: „niewdzięczna istota". Po czym było słychać dźwięki uderzeń i huk, jakby od upadającego ciała. Ale huku wystrzałów sobie nie przypomina. Lub nie chce... Sam Sokołow zeznał, że zastrzelił partnerkę podczas kłótni. Zeznał, że byli parą od pięciu lat i „bardzo się kochali". Obrona argumentuje, że atak Sokołowa został sprowokowany przez chorobliwą zazdrość partnerki. Mężczyzna miał działać w stanie chwilowej niepoczytalności – twierdził adwokat 11 listopada w sali sądu, gdzie Sokołow przyznał się do zabójstwa. Aleksandr Poczujew powiedział sądowi, że jego klient „uważa, że zasługuje na surową karę", ale że 85-letni ojciec Sokołowa jest w złym stanie zdrowia i „potrzebuje wsparcia" syna. Adwokat argumentował również, że Sokołow prowadził badania naukowe, w których Jeszczenko mu asystowała, i że jego klient wykazał skruchę, przekazując przeprosiny rodzinie kobiety poprzez media i osobiście jej bratu. Mimo to sąd zdecydował o dwóch miesiącach aresztu tymczasowego.

Dziesięć dni później do Internetu wyciekło nagranie wideo, na którym ma być widoczna rzekoma próba samobójstwa Sokołowa. Jego adwokat złożył w związku z tym skargę na Komitet Śledczy – to któryś ze śledczych miał wrzucić nagranie do sieci. A chodziło o zdjęcia z wizji lokalnej. Doszło do niej w mieszkaniu historyka 15 listopada. Podczas wizyty Sokołow miał wykorzystać chwilę nieuwagi pilnujących go policjantów, wejść do swego gabinetu i próbować zabić się przy użyciu ozdobnego sztyletu leżącego na biurku. Dziwna to historia, biorąc pod uwagę wcześniejsze i późniejsze zachowania historyka w sądzie. Być może inscenizowana próba samobójstwa, by wykazać rozpacz zabójcy? W każdym razie jeszcze w grudniu sąd w Sankt Petersburgu odrzucił wniosek Sokołowa o przeniesienie do aresztu domowego. Zamiast tego trafił na badania psychiatryczne do Moskwy. Tam właśnie zastał go koniec pierwotnie ustalonego terminu aresztu. Jako że Sokołow trafił do Moskwy, decyzję co do dalszych jego losów podejmował już sąd stołeczny. I zdecydował przedłużyć areszt do 9 kwietnia 2020 roku. 21 stycznia obrońca poinformował o zakończeniu badań psychologiczno-psychiatrycznych klienta. „Nie wątpimy w to, że Oleg Walerjewicz będzie uznany za poczytalnego" – zapewnił Poczujew.

Wybitny napoleonista

Mieszkali w pięknym domu z XIX wieku, w prestiżowej historycznej dzielnicy. Docent wydziału historii Petersburskiego Uniwersytetu Państwowego i jego partnerka. Trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze. Jeśli docent z dziewczyną wychodzili na spacery w tej okolicy, to musieli przechodzić koło domu Raskolnikowa („Zbrodnia i kara" Dostojewskiego!) i Pałacu Jusupowskiego, gdzie spiskowcy mordowali Rasputina. Byli ze sobą pięć lat. Poznali się, gdy Anastazja zdała na trzeci rok i trafiła na wykłady Sokołowa. „Do tego czasu nigdy nie interesowała się ani wojskową historią Francji, ani

FOT. MIKHAIL TERESHCHENKO/ PAP/ITAR-TASS

eprasa.pl 3197b25434

Napoleonem. Nastję interesowała historia wojny domowej w Rosji" – opowiada koleżanka z roku. Jeszczenko przyjechała na studia do Petersburga z Kraju Krasnodarskiego. Sprawa zabójstwa stała się tematem dla tabloidów. „Zakochała się w nim już na pierwszym wykładzie. Ukrywali swą miłość, ale wszyscy mogli się domyślić" – tak przyjaciela ofiary cytowała „Komsomolskaja Prawda". Sokołow nie mógł dopuścić, żeby od niego odeszła, szkodząc przy tym jego wizerunkowi. Nie pozwalały mu na to miłość własna i poczucie bezkarności.

Nikt nie podważa naprawdę dużych zasług Sokołowa dla budowy ruchu rekonstrukcyjnego w Rosji i popularyzacji wiedzy o Napoleonie, jak też jego wiedzy i naukowych zdolności. Nie ma w Rosji drugiego takiego „napoleonisty" w środowiskach historyków. Zrobił doktorat w 1991 roku na temat korpusu oficerskiego francuskiej armii podczas rewolucji. Był czołowym ekspertem od relacji rosyjsko-francuskich. Pasjonat, potrafił zaszczepić pasję do historii (wiele jego wykładów trafiło do Internetu), biegle mówi po francusku. W 1976 roku stworzył pierwszą grupę rekonstrukcyjną w Związku Sowieckim. On sam uczestniczył w rekonstrukcjach, odgrywając rolę Napoleona. „Dla mnie Napoleon reprezentuje ideał męża stanu" – mówił 32-letni Sokołow francuskiej telewizji w 1988 roku w reportażu o ruchu rekonstrukcyjnym w Rosji. W momencie zatrzymania stał na czele Wszechrosyjskiego Ruchu Wojskowo-Historycznego, który organizował inscenizacje bitew z czasów wojen napoleońskich. Sokołow był organizatorem wielkich międzynarodowych rekonstrukcji bitwy pod Borodino. Za swe badania naukowe dotyczące Napoleona w 2003 roku został odznaczony Orderem Legii Honorowej. To najwyższe francuskie cywilne odznaczenie przyznał historykowi prezydent Jacques Chirac. Sokołow miał też serię wykładów na Sorbonie. Koledzy historycy widzą Sokołowa w dziesiątce czołowych napoleonistów świata. Ponad 100 prac naukowych wydanych w różnych językach w różnych krajach. Nic dziwnego, że nie raz użalał się, że nie jest w ojczyźnie wystarczająco doceniany. Podczas gdy był zapraszanym wykładowcą na Sorbonie, współpracował z Muzeum Armii w Paryżu, w rodzinnym Sankt Petersburgu pozostawał docentem, choć już dawno mógłby być profesorem. Wystarczy przypomnieć pewną historię z lutego 2018 roku. Zrobiono wtedy historykowi psikusa. Zadzwonili do niego jacyś dowcipnisie, przedstawiając się, że są z administracji prezydenta i chcą zaproponować Sokołowowi przyjęcie statusu „zaufanej osoby" Putina. Sokołow z radością się zgodził, mówiąc, że popiera prezydenta i że w sprawie Krymu zrobił dobrze. Prowokatorzy zaproponowali wtedy, by wystąpił z przemówieniem wychwalających Putina. Sokołow się zgodził, ale poskarżył się, że z powodu biurokratycznych przeszkód do tej pory nie został doktorem nauk. Zauważył, że byłoby lepiej, gdyby poparcie dla prezydenta wyraził jako doktor nauk i profesor, a nie docent i kandydat.

Jeśli uznać, że zbyt wolno i z wielkim trudem piął się w górę, to z pewnością upadek był błyskawiczny. Zarówno w Rosji, jaki i w ukochanej Francji. Na wieść o aresztowaniu Sokołowa Instytut Nauk Społecznych, Ekonomicznych i Politycznych w Lyonie ogłosił, że wyklucza go ze swej rady naukowej. „Dowiedzieliśmy się z przerażeniem z prasy o tej potwornej zbrodni, której winny ma być Oleg Sokołow. Nigdy nie moglibyśmy sobie wyobrazić, że może on popełnić tak ohydny czyn" – napisał instytut na Twitterze. Nazwisko naukowca zniknęło ze strony internetowej Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego (RWIO). Organizacja ta zapewniła ze swej strony, że wbrew doniesieniom medialnym Sokołow nie był z nią związany. Rosyjskie media sugerowały wcześniej, że Sokołow był wysoko postawionym członkiem Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego, rządowego organu kierowanego przez ministra kultury Władimira Medinskiego. Już 11 listopada 2019 roku Sokołow został wyrzucony z uczelni, gdzie od 2000 roku wykładał na wydziale historii. Zaraz po decyzji sądu o areszcie Petersburski Uniwersytet Państwowy ogłosił wydalenie Sokołowa z wydziału historii. Kilka dni później petersburska uczelnia uruchomiła ośrodek studiów nad przemocą domową...

Wpływowi znajomi

Dla swych studentek zajmujący się Francją Sokołow był bohaterem i mentorem. Podczas gdy jedni mówili mu w oczy z ironią „sire", członkowie jego fanklubu robili to zupełnie serio. Nie wiadomo, na ile serio należy traktować relacje, że uważał się za reinkarnację Bonapartego. Wiadomo, że miał wielką słabość do młodych kobiet. Ciągle dwuznacznie żartował ze studentkami i robił aluzje. Jedne dziewczyny starały się w ogóle nie przychodzić na jego wykłady, inne przychodziły grupami i starały się nie zostać sam na sam z Sokołowem. Ale były też takie, które ochoczo zostawały po zajęciach, żeby zadać docentowi dodatkowe pytania. Właśnie od takiego uzupełniania wiedzy zaczął się romans Sokołowa z Jeszczenko. Anastazja była bardzo pilną i bardzo dobrą studentką. Wręcz chorobliwie przejmującą się otrzymywanymi ocenami.

Już wcześniej pojawiały się zarzuty o brutalność Sokołowa wobec kobiet. Skargi szły do władz uczelni, ale te nic z tym nie robiły. Podobno też po alkoholu tracił nad sobą kontrolę. Nikt z byłych studentów nie dziwi się, że Sokołow mógł w napadzie szału zabić człowieka. Szokuje ich jednak, że rozczłonkował

eprasa.pl 3197b25434

i próbował utopić ciało. „Widziałam go na rekonstrukcjach, kiedy wchodził w rolę Napoleona, wymachiwał szablą i wyobrażał wyzwolenie Paryża – z jednej strony to tylko rola, ale potem uświadamiasz sobie, że było w tym coś niezdrowego" – mówi jedna ze studentek. Na początku 2018 roku w sieci pojawiło się wideo, na którym Sokołow wyrzuca fizycznie z sali studenta po zadaniu przez niego niewygodnego pytania. Były też informacje, że pobił studentkę w 2008 roku. Tabloid „Moskowskij Komsomolec" napisał, że dziewczyna miała być ofiarą przemocy z jego strony, w tym przywiązywania do krzesła, bicia, zbliżania do twarzy gorącego żelazka. Autentyczności tych informacji, rzekomo uzyskanych z policyjnej kartoteki, nie potwierdzono jednak oficjalnie.

Przez wiele lat był jednak bezkarny. Dlaczego? Bo miał wpływowych znajomych i przyjaciół. Przez długie lata zasiadał w radzie naukowej Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego. Na czele stał minister kultury Władimir Medinskij, a we władzach byli też minister obrony Siergiej Szojgu, szef MSW Władimir Kołokolcew, reżyser Nikita Michałkow, szef FSO (już były) Jewgienij Murow. Sokołow znał się dobrze nie tylko z Medinskim, lecz także z byłym szefem Centralnej Komisji Wyborczej Władimirem Czurowem. Wielu jego byłych studentów jest przekonanych, że Sokołow będzie pod ochroną i albo cała sprawa skończy się skierowaniem na leczenie psychiatryczne, albo dostanie on najwyżej 3–4 lata więzienia. Obrona już zapowiedziała, że nie będzie próbowała przyjmować za linię obrony niepoczytalności. Bo Sokołow, po skazaniu, chce w więzieniu nadal zajmować się nauką. Tak więc bardziej prawdopodobny jest wariant z łagodnym wyrokiem. Ale proces może trwać bardzo długo i na pewno będzie jednym z bardziej medialnych we współczesnej historii Rosji. Tymczasem „rosyjski Napoleon" pisze powieść i boi się... Ale nie długiego wyroku. Sokołow załamał się podobno, gdy doszły doń słuchy, iż może być pozbawiony Legii Honorowej. Orderu ustanowionego przez ukochanego Napoleona Bonaparte... ■

REKLAMA

TOTALIZATOR SPORTOWY WP FILMWEB DEMOTYWATORY.PL STYLOWI.PL Multikino DO RZECZY GAZETA POLSKA niezależna.pl NOWE PAŃSTWO Militaria.pl

eprasa.pl 3197b25434

Olga Doleśniak-Harczuk

Berlin lat dwudziestych

75. rocznica wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz, uroczystości, spotkania z tymi, którzy przeżyli inferno, wybrzmiewające co artykuł i co program telewizyjny hasło „Nigdy więcej". A tymczasem taki news: 37 procent Niemców pytanych o to, czy należałoby mniej zajmować się narodowosocjalistyczną przeszłością, odpowiada twierdząco. To wynik ankiety przeprowadzonej kilka dni przed obchodami rocznicy, a mającej zdiagnozować dzisiejszy stosunek Niemców do pamięci o Holokauście.

eprasa.pl 3197b25434

To jak to jest z Niemcami? Z jednej strony kustosze pamięci zgodnie z hasłem „Nie wieder!", z drugiej stęsknieni za amnezją. Patrzę na Berlin, z jego arteriami, parkami, pomnikami, dzielnicami muzułmańskimi i siatką s-bahnów. Niedoszła stolica świata Germania żyje swoim rytmem zawieszona między Reichstagiem a Ostalgią. Jeszcze kilka miesięcy temu Alexanderplatz topił się w światłach, świętowano upadek Muru Berlińskiego, pod Bramą Brandenburską koncert techno legendy Love Parade, DJ – Westbama. Lukier zjednoczenia, gorycz pozornego pojednania. A dziś wspomnienie zbrodni, które 37 proc. ankietowanym coraz bardziej ciążą. I 400 ataków o podłożu antysemickim w zaledwie pół roku, wszystkie w Berlinie – jak pisze 26 stycznia 2020 roku na łamach „Spiegla" sam szef niemieckiego MSZ-u Heiko Maas. W uszach tekst Kazika: „Bo Berlin 30. lat taki jest jak cały świat". Może i tak.

▶ Kim jesteś, Leni?

Rok 2000. Jedna z tych dużych, zimnych, lecz na swój sposób akademicko uroczych sal w głównym budynku Uniwersytetu Humboldtów. Pierwsze zajęcia na germanistyce. Profesor wyglądająca jak marzenie hipisa rozdaje ankiety. Pytania o Leni Riefenstahl, jej dorobek, jego znaczenie. Studenci pilnie wypełniają ankietę, pytań jest dużo, niektórzy strapieni spoglądają w kartki sąsiadów. To ci, którym nazwisko Riefenstahl nic nie mówi. Helene Bertha Amalie Riefenstahl, zwana „Leni", rocznik 1902, dziecko berlińskiej dzielnicy Wedding, dziś zamieszkiwanej głównie przez trzecie pokolenie imigrantów z Turcji, ale wtedy typowo niemieckie zagłębie manufaktur pocztówek, szynków i rodzinnych firm. Leni, dziewczyna z kamerą, urodzona w tym samym roku, w którym berlińczycy zaczęli podróżować nowiutkimi wagonami metra. To był dobry rok dla miejskiej komunikacji, życie zaczęło toczyć się znacznie szybciej. Studenci odkładają długopisy, nie dam sobie ręki uciąć, ile z tych ankiet na pulpitach pozostało pustych, ale trochę ich było. Puste kartki młodych ludzi, którym nic nie mówi „Olimpiada" czy „Triumf woli". Na romanistyce byli z kolei tacy, którym nic nie mówiła „Boska Komedia". Bywa. A jednak coś zgrzyta. Niemiecka młodzież, która nie kojarzy Riefenstahl. Przyszła elita. I Polka, której wiedza na temat ulubionej reżyser Hitlera była wtedy równie mierna. Kolejne lata były czasem nadrabianiem luk w wiedzy. O narodowych socjalistach. Berlin to dobre miejsce do nauki historii.

▶ Zapach palonego druku

20 tysięcy książek na stosie. Thomas Mann, Heinrich Heine, Egon Erwin Kirsch, jest i Erich Kästner. I to nawet we własnej osobie. Patrzy ukryty w tłumie, jak brunatni chłopcy dorzucają do ognia. Palą i jego dorobek. W teledysku Rammsteina „Deutschland" palenie książek zakazanych (a było ich na czarnej liście ponad 3 tys.) połączono z paleniem na stosie. Ludzi. Akcja w Berlinie rozegrała się na placu Operowym, dzisiaj plac Augusta Bebela, naprzeciw Uniwersytetu Humboldtów i tuż przy gmachu Państwowej Opery przy Unter den Linden. 27 stycznia w tym gmachu wybrzmiało dzieło Arnolda Schönberga „Ocalały z Warszawy", utwór muzyczny na recytatora, chór męski i orkiestrę. Tekst powstał na podstawie relacji świadka likwidacji getta warszawskiego. Tego wieczoru batutę trzymał Daniel Barenboim, dyrygent i pianista pochodzenia żydowskiego, który od początku lat 90. mieszka w Berlinie i zarządza sferami muzycznymi w Operze Państwowej. Premier RP Mateusz Morawiecki zasiadł na widowni przy kanclerz Niemiec Angeli Merkel z domu Kasner. Jest chłodno. Styczeń w Berlinie oznacza przeszywający chłód. Im bliżej Katedry Berlińskiej, Lustgarten i pałacyku uniwersytetu, tym zimniej, wilgoć ciągnąca od Szprewy bywa tu nie do wytrzymania. A jednak jak co dnia pod bramą uniwersytetu antykwariusze wystawiają w kartonach, rozkładają na stolikach, przekładają i wyceniają po kilka euro swoje książki. I tak do późnych godzin popołudniowych. Można tu znaleźć prawdziwe perełki. I całą masę książek z „czarnej listy". Berlin to Berlin, więc najwięcej jest Marksa, lecz cierpliwy poszukiwacz znajdzie i coś mniej czerwonego.

▶ Z rozmachem

„Jako stolica świata Berlin powinien być porównywalny tylko ze starożytnym Egiptem, Babilonem i Rzymem! Czym jest Londyn, czym jest Paryż w porównaniu z tym!" – cytat pochodzi z książki Wernera Jochmanna „Adolf Hitler. Monologe im Führerhauptquartier 1941–1944". Miało być monumentalnie i z rozmachem, żadnej prowincjonalnej skromności. I nie jest skromnie, tylko multikulturowo. Rzym, Babilon i Egipt się chowają. Mężczyzna z wąsikiem czasem jeszcze krąży. Książki, filmy, teatr. A to przeniósł się w czasie i wylądował na jednym z berlińskich podwórek, a to zabawia widzów jako wyimaginowany przyjaciel malca z Hitlerjugend. Ostatnio gdzieś w Bawarii policjanci zostali przyłapani na radosnym fotografowaniu jego imitatora. I to już nie było śmieszne. Zrobiła się afera. Niemcy wciąż szukają drogi rozliczenia. Tak sami przed sobą. Za rok będzie nowa ankieta. A jakaś profesor pamiętająca czasy '68 wręczy im kartkę z pytaniami. Może tym razem pomęczy ich Arno Brekerem. ■

eprasa.pl 3197b25434

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Północna

Według portalu NK News, który zajmuje się tematyką północnokoreańską, Ri Yong Ho został usunięty ze stanowiska ministra spraw zagranicznych Korei Płn. Eksperci określają to jako poważną zmianę polityczną, która może mieć znaczący wpływ na dalsze działanie dyplomatyczne kraju. Nowym szefem ma zostać Ri Son Gwon, były przewodniczący Komitetu ds. Pokojowego Zjednoczenia Kraju (CPRC). Gwon odegrał znaczącą rolę w rozmowach między obiema Koreami na początku 2018 roku.

Odsunięty ze stanowiska Ri Yong Ho był szefem MSZ od 2016 roku, a wcześniej przez 38 lat pracował w północnokoreańskiej dyplomacji. Pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych KRLD w czasie ważnych działań dyplomatycznych Pjongjangu, m.in. w ciągu ostatnich dwóch lat towarzyszył Kim Dzong Unowi na szczytach z przywódcami USA, Korei Płd., Rosji, Chin i Kuby. W tym samym czasie pełnił także funkcję czołowego rzecznika reżimu Korei Płn., szczególnie podczas konferencji prasowej po nieudanym szczycie KRLD–USA w Hanoi w lutym ubiegłego roku.

Ze strony Pjongjangu nie ma oficjalnej informacji o zmianie na stanowisku szefa MSZ.

Nieobecność Ri Yong Ho na zdjęciu grupowym najważniejszych urzędników Partii Pracy Korei (monopartia rządząca, przewodniczącym jest Kim Dzong Un) na początku stycznia tego roku wzbudziło spekulacje, że mógł zostać zastąpiony w ramach przetasowania politycznego. Południowokoreańska agencja Yonhap News, powołując się na źródło w Pekinie, poinformowała, że dyplomaci reprezentujący Koreę Płn. w Chinach i przy ONZ zostali wezwani 18 stycznia do Pjongjangu, co może sugerować, że Kim Dzong Un dokonuje przeglądu swojej strategii w negocjacjach nuklearnych ze Stanami Zjednoczonymi.

Sam Kim Dzong Un nie był widziany publicznie przez pierwsze dwa tygodnie stycznia. Eksperci twierdzą, że północnokoreański polityk wystraszył się po tym, jak siły USA zlikwidowały irańskiego generała i dowódcę sił specjalnych Al-Kuds Kasema Sulejmaniego. Lider KRLD obawiał się, że może paść ofiarą zamachu. To nie pierwszy raz, gdy przywódca Korei Płn. chowa się przed światem. W 2003 roku ówczesny dyktator Kim Dzong Il zniknął aż na 50 dni po tym, jak USA dokonały inwazji na Irak.

Chiny

Po tym jak biskup Guo Xijin z diecezji Mindong w prowincji Fuijan w płd.-wsch. Chinach po raz kolejny odmówił przyłączenia się do tzw. Kościoła patriotycznego (pełna nazwa Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich), kontrolowanego przez władze w Pekinie, został wyrzucony z domu kurialnego.

Los bp Guo pokazuje, że po podpisaniu porozumienia pomiędzy Pekinem a Watykanem we wrześniu 2018 roku sytuacja katolików w ChRL pogarsza się. Jeszcze przed podpisaniem porozumienia z Chinami bp Guo był zmuszany do dobrowolnej degradacji i pozostania biskupem pomocniczym. Pomimo miesięcznego pobytu w więzieniu duchowny nie zaakceptował przedstawianych mu dokumentów. Po podpisaniu porozumienia przez Watykan i Pekin to papież Franciszek wydał polecenie, by bp Guo ustąpił, by umożliwić objęcie diecezji przez biskupa aprobowanego przez chińskich komunistów. Biskup zastosował się do polecenia papieża, ale nie podpisał dokumentów stwierdzających, że wstąpił do Kościoła patriotycznego.

Od listopada ubiegłego roku bp Guo przebywał w rodzinnym mieście Luojiang w budynku kurialnym. Komunistyczne władze jednak wciąż go prześladowały. Pod pretekstem naruszenia przepisów przeciwpożarowych naj-

eprasa.pl 3197b25434

pierw odcięły dopływ prądu i wody, a następnie eksmitowały biskupa i innych księży z budynku. W ten sam sposób zamknięto pięć parafii w rejonie i dom starców prowadzony przez siostry zakonne. Obecnie biskup Guo nie ma własnego mieszkania i stał się bezdomnym, tak jak niektórzy mieszkańcy zamkniętego domu starców.

Według katolickiej agencji Asia News sprawa biskupa Guo i rosnące prześladowania katolików spowodowały, że regionalni księża mówią, iż nadszedł „czas, by watykański Sekretariat Stanu obudził się ze snu" i przyznał się do błędu, jakim było podpisanie umowy. „Inaczej będzie współwinny tej sytuacji". O potrzebie przebudzenia w Watykanie mówi także kard. Joseph Zen, emerytowany biskup Hongkongu. Na początku stycznia tego roku został ujawniony jego list do kolegium kardynałów wysłany 27 września ubiegłego roku. Duchowny wezwał w nim do wypowiedzenia porozumienia z Pekinem. Kardynał Zen odniósł się w dokumencie do dubiów, jakie w reakcji na wytyczne Watykanu dotyczące cywilnej rejestracji duchowieństwa w Chinach skierował do papieża w lipcu ubiegłego roku. Franciszek obiecał ustosunkować się do stanowiska kardynała, ale ostatecznie ze Stolicy Apostolskiej nie przyszła żadna odpowiedź. W liście do kolegium kardynałów kard. Zen stwierdził, że wytyczne Watykanu zachęcają „wiernych w Chinach do wstąpienia do kościoła schizmatyckiego (niezależnego od papieża i podporządkowanego poleceniom partii komunistycznej)". Duchowny pyta też, dlaczego tekst porozumienia jest tajny i dlaczego on, choć jest chińskim kardynałem, nie może poznać jego treści.

▶ Tajwan

11 stycznia w wyborach prezydenckich na Tajwanie wygrała ubiegająca się o reelekcję prezydent Tsai Ing-wen z Demokratycznej Partii Postępu (DPP). Zdobyła 57,1 proc. głosów, a jej główny rywal Han Kuo-yu z prochińskiej partii Kuomintang 38,6 proc. Tego samego dnia na wyspie odbyły się także wybory parlamentarne, w których zwycięstwo zapewniła sobie proniepodległościowa DPP. W mającym 113 miejsc parlamencie, 61 mandatów przypadło DPP, a 38 Kuomintangowi.

Zaraz po ogłoszeniu wyników gratulacje prezydent Tsai na Twitterze złożył amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo. Stwierdził, że system demokratyczny, gospodarka wolnorynkowa i społeczeństwo obywatelskie sprawiły, że Tajwan stał się „wzorem dla regionu Indo-Pacyfiku". „Stany Zjednoczone dziękują prezydent Tsai za jej przywództwo w rozwinięciu silnego partnerstwa z USA i wyrażają aprobatę dla jej poświęcenia dla utrzymania stabilności na linii Chiny–Tajwan w obliczu nieustępujących nacisków" – napisał polityk.

Zupełnie inaczej na wynik tajwańskich wyborów zareagował Pekin. Ostrzegł, że wciąż będzie się sprzeciwiać wszystkim działaniom Tajwanu związanym z niepodległością. Chińskie Biuro do spraw Tajwanu (TAO) opublikowało oświadczenie, w którym podkreśliło, że stanowisko Pekinu jest „jasne i niezmienne" i że Chiny będą się trzymać modelu „jeden kraj, dwa systemy"[1].

W pierwszym zagranicznym wywiadzie, jaki Tsai Ing-wen udzieliła po wyborach, powiedziała BBC, że Tajwan nie musi ogłaszać niepodległości. „Jesteśmy już niepodległym państwem i nazywamy się Republiką Chińską (Tajwan)". Tsai dodała, że jej mocne zwycięstwo[2] w wyborach pokazuje, że Tajwańczycy odrzucają koncepcję jednych Chin i zasadę „jednego państwa, dwóch systemów". Ten jasny sprzeciw wobec Pekinu wynika z coraz większego zagrożenia militarnego ze strony ChRL, ale przyczyniło się do niego także to, co dzieje się w Hongkongu, gdzie zasada „jedno państwo, dwa systemy" jest łamana przez Pekin i Hongkończycy tracą swoje wolności.

„Mamy odrębną tożsamość i jesteśmy samodzielnym krajem. [...] Jesteśmy skuteczną demokracją, mamy całkiem przyzwoitą gospodarkę, zasługujemy na szacunek ze strony Chin" – powiedziała Tsai Ing-wen w wywiadzie dla BBC.

Prezydent Tajwanu dodała, że choć jest otwarta na dialog, to jest również świadoma, że w wyniku jej zwycięstwa Pekin może zwiększyć presję na Tajwan. I dlatego wyspa musi mieć plan na każdą ewentualność. „W żadnym momencie nie można wykluczyć wojny. Chodzi o to, żeby być na nią przygotowanym i rozwinąć zdolności obronne" – mówiła Tsai i zapewniła, że „inwazja na Tajwan będzie dla Chin bardzo kosztowna".

W niecały tydzień po wyborach na wyspie przez Cieśninę Tajwańską, oddzielającą Chiny od Tajwanu, przepłynął amerykański okręt wojenny. Joe Keiley, rzecznik Siódmej Floty[3] USA, poinformował, że USS „Shiloh" przeprowadził „rutynowy kurs przez Cieśninę Tajwańską" w ramach demonstracji „zaangażowania USA na rzecz wolnego i otwartego Indo-Pacyfiku". ■

---

[1] „Jedno państwo, dwa systemy to doktryna" ChRL sformułowana przez Deng Xiaopinga. Obowiązuje w Hongkongu i Makao i zakłada, że oba te miasta posiadają własny system prawny, sądowniczy oraz pełną autonomię gospodarczą (z własną walutą włącznie). Władza ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza należy do rządu lokalnego. Rząd w Pekinie odpowiada za obronę militarną i sprawy zagraniczne, choć i tak oba regiony występują często jako samodzielny członek w międzynarodowych organizacjach, jak np. Światowa Organizacja Handlu (WTO). Pekin uważa, że podobny model rządzenia powinien być zastosowany wobec Tajwanu.

[2] Tsai zdobyła 8,1 mln głosów, czyli więcej niż którykolwiek kandydat w wyborach prezydenckich na wyspie od czasu pierwszych powszechnych wyborów w 1996 roku. Han Kuo-yu zdobył 5,5 mln głosów.

[3] Amerykańska Siódma Flota to najpotężniejsza marynarka wojenna Dalekiego Wschodu.

eprasa.pl 3197b25434

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Putin i spisek złoczyńców. Rozmyślania byłego oficera KGB

W grudniu ubiegłego roku na ukraińskim portalu Gordona.ua rozpoczęła się publikacja rozdziałów z książki byłego podpułkownika KGB Władimira Popowa pt. „Spisek złoczyńców". O tej książce, ale nie tylko o niej, z Popowem rozmawiał publicysta Radia Swoboda Dmitrij Wołczek. Wywiad na stronie internetowej rozgłośni pojawił się 18 stycznia 2020 roku.

Władimir Popow służył w KGB ZSRS w latach 1972–1991, pracował w V Zarządzie, w wydziałach, które nadzorowały wyjeżdżających za granicę, związki twórców i międzynarodową współpracę sportową. W 1995 roku wyemigrował do Kanady. W 2009 roku wyszła książka „KGB gra w szachy", napisana przez Popowa, historyka Jurija Felsztyńskiego i znanych szachistów, którzy wyemigrowali z ZSRS – Borysa Gulko i Wiktora Korcznyja. W grudniu 2019 roku na ukraińskim portalu Gordona.ua rozpoczęła się publikacja rozdziałów z książki byłego podpułkownika KGB Władimira Popowa pt. „Spisek złoczyńców". Popow opowiada o tym, jak sowieccy pisarze i sportowcy współpracowali z KGB, o inwigilacji Włodzimierza Wysockiego, nieudanej operacji werbunku Marii Rozanowej, skomplikowanych relacjach Jewgienija Jewtuszenki i KGB. Jeden z głównych tematów książki to historia dojścia do władzy Władimira Putina i innych ludzi wywodzących się z sowieckich specsłużb. Władimir Popow opowiedział Radiu Swoboda o tym, jak „spisek złoczyńców" z KGB doprowadził do władzy obecnego prezydenta Rosji.

▶ W książce „KGB gra w szachy" znalazłem wzmiankę o naszej rozgłośni. Opowiadacie o tym, jak KGB przechwyciło rozmowę telefoniczną pracownika Radia Swoboda Jurija Duleraina z Nowego Jorku z kolegą Jurijem Zmiją pracującym w Monachium. W rozmowie tej Dulerain wspomniał o spotkaniu na Igrzyskach Olimpijskich w Lake Placid z dwoma sowieckimi dziennikarzami, którzy krytycznie wypowiadali się o sowieckiej działalności, i to Panu polecono ich znaleźć...

Tak, wszystkie te rozmowy były przechwytywane, a ja musiałem się tym zajmować. Już to, że sowiecki dziennikarz odwiedził pomieszczenie w centrum prasowym igrzysk, w którym znajdował się korespondent Radia Swoboda, było świadectwem politycznej niepewności. A ci dwaj sowieccy dziennikarze tam się znajdowali. Mieliśmy nie tylko radiowy przechwyt, lecz także potwierdzenie agenturalne. Jeden z dziennikarzy, który był moim agentem, przyjechał i napisał o tym raport. Potem dopiero była przechwycona rozmowa.

▶ A jak podsłuchiwano międzynarodowe rozmowy telefoniczne?

Pływały tak zwane statki hydrograficzne, a tak naprawdę zajmowały się przechwytywaniem rozmów telefonicznych. Ten system nosił nazwę „Arktyka" i wszystkie przechwycone rozmowy były zbierane w biuletynie i publikowane. Wszystko przechwytywano! Kiedy mówię o tym, myślę też o swoim bezpieczeństwie. Wszak to, co mówię o działalności KGB, nie jest miłe również dla obecnych służb. Litwi-

eprasa.pl 3197b25434

nienko o tym zapomniał, zachowywał się skrajnie nieostrożnie, co doprowadziło do jego śmierci.

▶ W wywiadzie dla norweskich dziennikarzy trzy lata temu mówił Pan, że chce „zająć miejsce po Litwinience i opowiedzieć, jak KGB działało w Związku Sowieckim i jak FSB, następca KGB, działa dziś". Nadal Pan tego chce?

Tak, po śmierci Litwinienki sam zwróciłem się do jego współautora, Jurija Felsztyńskiego, którego bardzo szanuję, i zaproponowałem mu materiały, które miałem. Część z nich znalazła się w książce „Korporacja: Rosja i KGB w czasach prezydenta Putina". Ale w tym czasie moja mama i siostra żyły, mieszkały w Moskwie, nie chciałem, żeby było wspominane moje nazwisko. Potem razem z Felsztyńskim i arcymistrzem Wiktorem Korcznyjem przygotowaliśmy książkę „KGB gra w szachy" i tam jest moje nazwisko. W czasie turniejów szachowych opracowywałem wszystkie szyfrogramy, które przychodziły z rezydentury, i znałem całą zakulisową walkę. Tytuł książki też wymyśliłem, bo zamiast zajmować się poważnymi sprawami, rzeczywiście graliśmy w szachy. Na przykład zarządzono bezpośrednią obserwację szachisty Borysa Gulki, którego nie chcieli wypuścić do Izraela. Całą dobę pracowały kobiety z 12. Wydziału i rejestrowały wszystko, co działo się w mieszkaniu Gulki.

Obserwacja może być dwóch typów. W tej, w której chodzono za pracownikami zagranicznych ambasad, pracowali kadrowi wywiadowcy, a tam ludzie byli wystarczająco wykwalifikowani. Obserwacja, którą zapewniał nasz V Zarząd, głównie zajmowała się śledzeniem zwyczajnych ludzi i pracowała często nieprofesjonalnie. Człowiek, którego śledzono, szybko to zauważał i zaczynał, jak mówiono w obserwacji, „chodzić z głową do tyłu". I tak chodzono za biednym Gulką i z własnej głupoty zrobiono z niego dysydenta. Wprost mówiłem w swoim oddziale, że Gulce powinno się za życia postawić pomnik ze złota. Cały dzień obserwacji kosztował 5000 ówczesnych rubli. Tylko jeden dzień! A obserwacja była bez przerwy. A żeby zapewnić kontrolę słuchową, wydzielono mu mieszkanie, czego oczywiście nie podejrzewał. Jako że dom był całkiem nowy, nie był jeszcze podłączony do sieci telefonicznej. Trzeba było poprowadzić kable. Dlatego w sąsiednim domu zainstalowano mieszkanie konspiracyjne, przebito przez dach budynku, w którym mieszkał Gulko, do drugiego budynku tzw. wozduszkę [kabel zapewniający połączenie z podsłuchem w mieszkaniu szachisty – przyp. tłum.] i tam kobiety z 12. Wydziału, który zajmował się podsłuchem, rejestrowały wszystko, co się w mieszkaniu działo. Przeznaczano na to kolosalne środki. Dlatego nazwałem książkę „KGB gra w szachy".

▶ Pańska nowa książka nosi tytuł „Spisek złoczyńców". Kim byli ci złoczyńcy?

Choć książka to trzeci wariant rękopisu, tytuł od początku był taki sam. W 1967 roku Jurij Andropow został wyznaczony na przewodniczącego KGB i od razu zaprosił do niejawnej współpracy generał-majora Jewgienija Pietrowicza Pitowranowa. Andropow spotykał się z Pitowranowem wyłącznie w konspiracyjnych lokalach i wysłuchiwał jego rad. Pitowranow miał dwóch najbliższych uczniów – Filipa Bobkowa i Borysa Iwanowa. Pitowranow podniósł Iwanowa do stanowiska pierwszego zastępcy naczelnika I Zarządu Głównego. Myślę, że właśnie dzięki Pitowranowowi Bobkow został naczelnikiem V Zarządu KGB. Za namową Pitowranowa została założona „Firma", jak on sam ją nazywał. W systemie I Zarządu Głównego (wywiad zagraniczny) istniał zarząd S, nielegalny wywiad, a w nim był wydział W, po zdradzie jego pracownika Ljalina przemianowany na 8. Wydział. W 8. Wydziale była stworzona struktura, która zajmowała się działalnością niepodlegającą kierownictwu I Zarządu Głównego i w ogóle całego KGB. Cała dokumentacja szła bezpośrednio do Andropowa. Nikt oprócz niego jej nie widział. Głównie Pitowranow zbierał kompromitujące materiały na Breżniewa, członków jego rodziny i najbliższe otocznie po to, by pokazać Andropowowi, że kraj nie ma gospodarza. W czasach Chruszczowa, obawiając się powtórzenia represji wobec aparatu partyjno-sowieckiego, KC przyjął postanowienie, zgodnie z którym organom bezpieczeństwa państwowego zabroniono zbierania materiałów o przedstawicielach nomenklatury. Ale czekiści obronili się przed wpływem partii. Tak zwana Firma Pitowranowa zbierała materiały nie tyle na nomenklaturę, co na sekretarza generalnego i jego otoczenie, w tym syna. Jurij Breżniew, zajmujący stanowisko zastępcy ministra handlu zagranicznego, otrzymywał drogie prezenty od przedstawicieli różnych firm, podpisując umowy, które w jakimś stopniu przynosiły szkodę krajowi, a jemu samemu zyski. Ale Andropowowi na ręce patrzyli dwaj ludzie od Breżniewa – Ciniow i Cwigun. Pewnego razu dokumenty od grupy Pitowranowa, adresowane do Andropowa, przypadkiem wpadły w ręce Ciniowa. Nakazał je bezzwłocznie zniszczyć. Ale tego nie zrobiono.

eprasa.pl 3197b25434

▶ To znaczy, że już wtedy rodziła się idea, żeby stopniowo odsunąć od władzy partyjnych urzędników i zastąpić ich ludźmi z KGB? I ten „spisek złoczyńców" zwieńczony został sukcesem wraz z dojściem Putina do władzy?

Dokładnie tak. Pitowranow, Iwanow, Bobkow tak właśnie działali. Na polecenie Bobkowa do KC wprowadzono pracowników, którzy zajmowali się wyprowadzaniem środków walutowych partii za granicę, tak je rozprowadzali, żeby nie były one łączone z partią komunistyczną, ale nadal działały w jej interesie. Środki akumulowała ta grupa. Borys Iwanow, były oficer wywiadu, operował miliardami dolarów. Gdzie szły te środki? O tym piszę w swojej książce. W szczególności do Rosyjsko-Amerykańskiego Uniwersytetu, na czele którego stał Aleksiej Podbieriezkin. Tam też pracował Dmitrij Rogozin, obecny szef Roskosmosu. Oni wyszli z Komitetu Międzynarodowych Organizacji Młodzieżowych, obaj to agenci KGB. Początkowo to nie Putina brano pod uwagę jako kandydata na prezydenta. On wyskoczył jak diabeł z pudełka. Dla moskiewskich czekistów Putin był obcym, który ich odepchnął. Ale piszę w książce, że putinizm nie zniknie, pozostanie. Mam epigraf z Edgara Morena: „Stalin nie umarł, zniknął w przyszłości". Cała polityka putinowska to przedłużenie polityki stalinowskiej: umocnienie armii i floty, próba dominowania w świecie. Co więcej, Putin stawia siebie na równi ze Stalinem. Całkiem niedawno, gdy zapytano go o możliwość zwrotu Japonii części Kuryli, powiedział: „Tatko wziął wszystko, i sprawa zamknięta". To o Stalinie.

▶ Uważa Pan generała Pitowranowa za prekursora, swego rodzaju ideologa przejęcia władzy przez czekistów?

Bardzo trafnie Pan to ujął. Ideolog i prekursor, właśnie tak.

▶ Jeśli porównywać to KGB, w którym Pan pracował, z FSB, co je łączy dziś, a co dzieli?

W czasach Związku Sowieckiego dla pracowników tej organizacji najważniejsza była kariera. Dla tych w wywiadzie – możliwość wyjazdu za granicę. Tym żyli. A teraz dostali pełne rządy krajem, grabią go, ochraniają biznesy. To kardynalna różnica. KGB było kontrolowane przez KC KPZS. W jakim stopniu – to inna sprawa, ale jednak. A nad tymi teraz nie ma żadnej kontroli.

▶ Jeszcze jedna różnica w porównaniu do czasów breżniewowskich to skala specoperacji za granicą, w tym zabójstw. Zamachy przeprowadzono nie tylko na Skripali i Litwinienkę, było dużo przypadków, o których nie wiemy.

W ostatnich latach dość obszernie przypomniało o sobie GRU, czego wcześniej nie było. Zakładam, że to przede wszystkim dążenie Szojgu do pozycjonowania siebie jako potencjalnego następcy. Jest dość popularny w rosyjskim społeczeństwie. GRU ogłasza swą obecność w wielu krajach właśnie poprzez takie akcje – brutalne, absolutnie bezprawne. A struktura znajduje się pod kierownictwem Szojgu.

▶ Co do udziału specłużb w sportowych imprezach, nic się nie zmieniło. Piszecie w książce o oficerze KGB Borysie Pakinie, który był akredytowany w charakterze inspektora kontroli antydopingowej na Igrzyskach Olimpijskich w Moskwie i zamieniał pozytywne testy na czyste próbki moczu zebrane od sportowców jeszcze przed rozpoczęciem igrzysk. Dziś FSB robi to samo, tylko teraz stało się to powszechnie znane dzięki Rodczenkowowi i innym informatorom.

Dokładnie tak. Wprowadzono pracownika do komisji antydopingowej na tych zawodach, wszystko odbyło się według tego schematu.

▶ Ciekawe, że liczni bohaterowie Pańskiej książki okazali się związani z należącą do Władimira Gusinskiego Grupą Most. Pisze Pan, że Gusinskij był agentem KGB pod pseudonimem Denis, i potem wziął do pracy ludzi z KGB. Filip Bobkow był u niego szefem zarządu analitycznego. Ale potem telewizja NTW weszła w konflikt z Putinem i Putin wykończył biznes Gusinskiego.

Właśnie dlatego, że – jak już mówiłem – Putin był obcy. Była szeroko rozpowszechniona opinia, że Bobkow poszedł do Gusinskiego na jakieś stanowisko. Nie, tej struktury Bobkow nie budował pod siebie – to było mini-KGB. Według tej analogii Korżakow stworzył Zarząd Ochrony Prezydenta, także taki mini-KGB.

▶ Grupa Most była mini-KGB?

Tak. Właśnie dlatego Bobkow ściągnął wielu pracowników V Zarządu. Zajmowali się poważną analityką, zbierali kompromat na politycznych działaczy tego okresu. Z inicjatywy Bobkowa Gusinskij wszedł

eprasa.pl 3197b25434

w starcie z Putinem, w efekcie stracił biznes i był zmuszony uciekać z kraju.

▶ To znaczy, że dwie grupy z KGB walczyły o strefy wpływu?

Tak. Znów powtórzę, że Putin pojawił się nieoczekiwanie, sam tego nie planował, to był przypadek. Stawiali na Łużkowa.

▶ W którym momencie KGB przestało się Panu podobać?

Dojrzewanie wewnętrznego protestu trwało latami. Sęk w tym, że ja nie zabiegałem o pracę w tej organizacji. Było w KGB takie powiedzenie: z ulicy i od pługa. Z ulicy – to ci, którzy przyszli nie z Wyższej Szkoły KGB, a z cywilnych uczelni, a od pługa – kto nie miał wpływowych krewnych. Ja byłem taki od pługa i z ulicy. Uczyłem się na studiach wieczorowych Wszechzwiązkowego Zaocznego Instytutu Prawa, teraz to Akademia Prawa Rosji. Obok leżał Instytut Państwa i Prawa, i marzyłem żeby skończyć studia i pracować w tym instytucie. Po ukończeniu trzeciego roku dostałem pismo: „Dla załatwienia sprawy otrzymania miejsca pracy w wybranym przez Was zawodzie prosimy zadzwonić pod taki numer telefonu". Zadzwoniłem, zaprosili mnie do poczekalni na moście Kuznieckim. Człowiek o nazwisku Aleksandrow, nazywany „Zgrzytem", powiedział do mnie: „Wiemy: służyliście w grupie wojsk sowieckich w Niemczech, trzy lata jesteście starostą grupy, dobrze się uczycie. Proponujemy wam pracę w naszej organizacji". Odpowiedziałem: „Trzy lata odsłużyłem w armii sowieckiej jako żołnierz i mi to wystarczy. W ogóle nie planuję 25 lat poświęcać służbie wojskowej". Ale nie na darmo nazywali go „Zgrzyt", tak oto mięciutkim głosem powiedział do mnie: „Powinniście wiedzieć, że odmawiając naszej organizacji, przejawicie polityczną nielojalność. U nas w związku z tym powstaje poważne pytanie, czy jest sens dać wam możliwość otrzymania wykształcenia, a tym bardziej pracy w obszarze organów ścigania". Od razu zrozumiałem. Myślę, „no cóż, pójdę, popatrzę". I to był mój błąd. Początkowo pracowałem w sekretariacie 10. Wydziału KGB, w jego skład wchodził areszt śledczy w Lefortowie. Ja i jeszcze wielu pracowników roznosiliśmy tajną pocztę po wszystkim oddziałach aparatu centralnego KGB, zdawaliśmy korespondencję do poczty polowej na Małej Łubiance. Potem zatrudnili mnie w 2. Oddziale 10. Wydziału, który zajmował się specjalnym sprawdzaniem sowieckich obywateli wyjeżdżających za granicę. Tam były dwa pododdziały: jeden zajmował się wyjazdami prywatnymi, zaś drugi tymi, którzy wyjeżdżali delegowani przez państwowe lub społeczne organizacje. Otrzymawszy awans na podporucznika, przepracowałem jeszcze rok. Potem zaproponowali mi przejście do V Zarządu. A ja, roznosząc dokumenty po różnych komórkach KGB, zachodziłem do V Zarządu, a tam widziałem na półkach TASS, APN, inne materiały. Zrozumiałem, jak wiele ciekawych informacji tam schodzi. To było moje marzenie! I tak znalazłem się w V Zarządzie. Tam pracował też Jewgienij Iwanow, kierujący potem w Most-banku grupą analityczną. Nasza komórka, 1. Wydział, zajmowała się inteligencją twórczą. Telewizja, instytuty naukowe, wszyscy literaci, Związek Pisarzy ZSRS, Instytut Światowej Literatury itd. Stanęła przede mną otworem zupełnie inna strona sowieckiej rzeczywistości. Wszystko to wywołało u mnie obrzydzenie. Po dwóch latach pracy napisałem raport: „Proszę mnie zwolnić, ponieważ nie widzę siebie w tej strukturze". Zwolnienie dowolnego pracownika – skandal. Więc po prostu mi to wyperswadowano. A rok później przeniesiono mnie do tzw. wydziału sportowego. Został założony w 1977 roku, w związku z przygotowaniami do moskiewskich igrzysk. Tam pracowałem. I przez 19 lat w ścianach organizacji nie spotkałem nawet jednego czekisty z „chłodną głową, gorącym sercem i czystymi rękami".

▶ Już 20 lat kraj znajduje się pod rządami czekistów z prezydentem-czekistą na czele. Mówił Pan niedawno, że spodziewa się rozpadu kraju i jest pewny, że z tej władzy nie będzie żadnego pożytku.

Nie będzie. Podobnie jak inni miałem w czasie pierestrojki nadzieję, ale w 1993 roku zrozumiałem, że nic się nie zmieni. W 1993 roku powiedziałem, że u władzy będą moi koledzy i ja w tym kraju żyć nie chcę. U władzy będą moi koledzy, a ja nie chcę, żeby moja rodzina żyła pod takim reżimem. Dlatego wyjechałem.

▶ A kiedy pojawiło się u Pana przekonanie, że KGB dojdzie do władzy?

Częściowo intuicyjnie, ale w końcu intuicja to siostra doświadczenia. Miałem swój biznes, na placu Majakowskiego było biuro, do mnie zachodzili byli koledzy. Nienawidzili Jelcyna, wszystkich jego wcieleń. Ja byłem po stronie Jelcyna, dlatego że gdyby nie on w 1991 roku, kraj znów by się stał Związkiem Sowieckim. Widziałem w tym wady, widziałem, jak wchodzą w konflikt byli koledzy. ■

eprasa.pl 3197b25434

Marcin Wolski

PARK DINOZAURÓW

Jak kraj długi i szeroki słychać pytanie, co zrobić ze „zdrowym jądrem Sądu Najwyższego"? (Zdrowym, nie myślę o tzw. mianowańcach prezydenta Dudy – jak nazywa ich totalna opozycja). Pomysłów jest kilka. I choć najwłaściwsze byłoby odesłanie całej kasty w stan wiecznego spoczynku, nasz dobrotliwy charakter narodowy wyklucza takie rozwiązania. Nie wchodzi w grę podarowanie całej „pięćdziesiątki+" jakiemuś krajowi mającemu autentyczne kłopoty z praworządnością, na przykład Turcji czy Korei Północnej – bo tam czcigodne ciało nie przetrzymałoby doby. Również nie wchodzi w grę dokooptowanie go do TSUE, bo jak wiadomo, Trybunał ten lubi sprawiać kłopoty Polsce, ale już sobie niekoniecznie.

Właściwie wysyłając swoich kolegów z Izby Dyscyplinarnej na płatne bezrobocie, Sąd w swej mądrości wskazał nam kierunek działania. Stan wyższej użyteczności publicznej. To jest to. Oczywiście pojawiłyby się głosy, dlaczego fundujemy tak pogodną starość tym wszystkim nominatom od Jaruzela po Komora. Odpowiem – należy się. Za wszystko! A poza tym kryłby się w tym przedsięwzięciu walor edukacyjny. Czy realny? Jest taka możliwość.

Oto stoi w Warszawie pałac. Józefa Stalina, który – jak wiadomo – był wielkim miłośnikiem prawa, i choć wprawdzie wysyłał prawie tysiącami do piachu prokuratorów i czekistów, to sędziów nie ruszał. Od lat wypływają pomysły, żeby ten PKiN rozebrać, ale po pierwsze się nie da, a po drugie po co? Można by przecież w ramach Muzeum Komunizmu utworzyć tam skansen „celebrytów sprawiedliwości", gdzie każdy zwiedzający mógłby oglądać te żywe skamieniny z minionych okresów. Wesołych pensjonariuszy (w togach albo w kostiumach kąpielowych) otaczałyby wirtualne fantomy ich ofiar, ludzi wykończonych lub przynajmniej zgnojonych przez wymiar sprawiedliwości. Dzięki intercomom można by nawet, pomimo szyby, zadawać każdemu pytania, dlaczego robił to, co robił, a w kiosku w hallu głównym nabyć maskotkę w postaci plastikowej pani Gersdorf (jako brelok do kluczyków) czy ołowianą podobiznę sędziego Tulei z magnesem na lodówkę. Przy okazji różni europejscy obrońcy mogliby w dowolnej chwili przyjeżdżać i widzieć, że nikomu nie dzieje się krzywda, a wręcz przeciwnie. Nazwa dla obiektu nasuwa się jako oczywista oczywistość – Park J. Nie tyle Jurajski, ile Jurystyczny. Z drugiej strony istnieje obawa, że ewentualna zmiana władzy mogłaby zaowocować uwolnieniem tych wszystkich eksponatów, a dzięki Spielbergowi wiemy, jak się to może skończyć. ■

ILUSTRACJA: CEZARY KRYSZTOPA/GAZETA POLSKA

CHOĆ NAJWŁAŚCIWSZE BYŁOBY ODESŁANIE CAŁEJ KASTY W STAN WIECZNEGO SPOCZYNKU, NASZ DOBROTLIWY CHARAKTER NARODOWY WYKLUCZA TAKIE ROZWIĄZANIA.

eprasa.pl 3197b25434

Tomasz Sakiewicz

Państwa na rozstajach

Porównując losy dwóch państw – Polski i Ukrainy – w ostatnich trzydziestu latach, można zobaczyć, jak wielką cenę trzeba zapłacić za brak wolności i zależność od innego mocarstwa, nawet jeżeli ta zależność przynosi jakieś korzyści.

Polska po odzyskaniu niepodległości przyjęła zdecydowanie prozachodni kurs na wejście do struktur NATO, a potem wspólnoty europejskiej. Nie stało się to jednak od razu. Kierunek NATO obrał dopiero rząd Jana Olszewskiego w 1992 roku. Wojska rosyjskie wyszły od nas w 1993 roku. Od 1992 roku próbowaliśmy usuwać elementy zależności od Moskwy – rosyjskie bazy, agenturę komunistyczną. Do NATO weszliśmy w 1997 roku. Proces wejścia do UE był kilkanaście lat dłuższy. W 2006 roku ostatecznie zlikwidowaliśmy WSI, od 1997 roku próbujemy dywersyfikować dostawy gazu i ropy. Udało się to realnie w 2016 roku. Od 2019 roku oficjalnie budowane są bazy dla NATO-wskich jednostek.

Ukraina poszła inną drogą. Pod naciskiem mocarstw pozbyła się broni atomowej i ogromnych ilości sprzętu, jakie miała po czasach sowieckich. Zrezygnowała na lata z wstąpienia do NATO, powiązała się siecią umów uzależniających ją od rosyjskiej gospodarki. Rozbudowany został system oligarchiczny, który czerpał zyski z poparcia Moskwy, lecz żerował na własnym państwie. Próba rozpoczęcia drogi do UE w 2013 roku została zablokowana przez władze, co wywołało rewolucję na Majdanie.

Efekty wyboru dwóch dróg rozwoju widać bardzo wyraźnie. Obecnie Polska ma około 70 proc. średniej unijnej na głowę mieszkańca i bardzo szybko tę różnicę zmniejsza. W tej chwili mamy jedną z największych armii w rejonie. Bezrobocie jest realnie bliskie zeru. Ukraina ma co najmniej trzykrotnie niższy poziom życia niż Polska. Mimo wielkich wysiłków i zagrożenia ze strony Rosji Kijów nie może sobie pozwolić na zakup najnowocześniejszego sprzętu wojskowego. Najbardziej jednak widać problemy, porównując sytuację demograficzną. Polska swój szczyt miała na poziomie 38 mln ludzi. Obecnie jest to ponad 37 mln mieszkańców. Luki spowodowane naszą migracją zostały zasypane przez napływ ludności ze Wschodu. Ukraina jeszcze 30 lat temu miała prawie 50 mln ludzi. Obecnie na terenach kontrolowanych przez to państwo mieszka kilkaset tysięcy mniej osób niż w Polsce. Kilka milionów utracili w Donbasie i na Krymie. Emigracja ukraińska nieustannie rośnie, a dzieci rodzi się coraz mniej.

Oczywiście nie jest tak, że to wybory samych Ukraińców spowodowały dzisiejsze problemy. W ostatnich trzydziestu latach Ukraińcy musieli bić się bardziej o wolność niż Polacy. Tej walki świat mocno nie wspierał. Myśmy swoje pięć minut w historii wykorzystali doskonale. Oczywiście dzisiaj musimy walczyć z zależnością od Berlina, który skutecznie wykorzystuje UE do budowania tej zależności. Ale mamy do tego silnego sojusznika – USA. Wejście do UE opłaciło się nam, ale prawdziwe zyski poczuliśmy dopiero w ostatnich latach, gdy przestaliśmy dawać się wykorzystywać. Skończył się gigantyczny wyciek pieniędzy z naszych finansów, wyciek wspierany zresztą szczególnie mocno przez Sąd Najwyższy – w swoim czasie uchwała SN bardzo pomogła oszustom VAT-owskim. Jest to jeszcze jeden dowód na to, że o niepodległość warto walczyć zawsze. To się po prostu opłaca. ■

POLSKA PO ODZYSKANIU NIEPODLEGŁOŚCI PRZYJĘŁA ZDECYDOWANIE PROZACHODNI KURS NA WEJŚCIE DO STRUKTUR NATO, A POTEM WSPÓLNOTY EUROPEJSKIEJ. UKRAINA POSZŁA INNĄ DROGĄ. ZREZYGNOWAŁA NA LATA Z WSTĄPIENIA DO NATO, POWIĄZAŁA SIĘ SIECIĄ UMÓW UZALEŻNIAJĄCYCH JĄ OD ROSYJSKIEJ GOSPODARKI.

eprasa.pl 3197b25434

CYFROWY POLSAT

MASZ INTERNET OD DOWOLNEGO DOSTAWCY?

MAMY DLA CIEBIE TV INTERNETOWĄ!

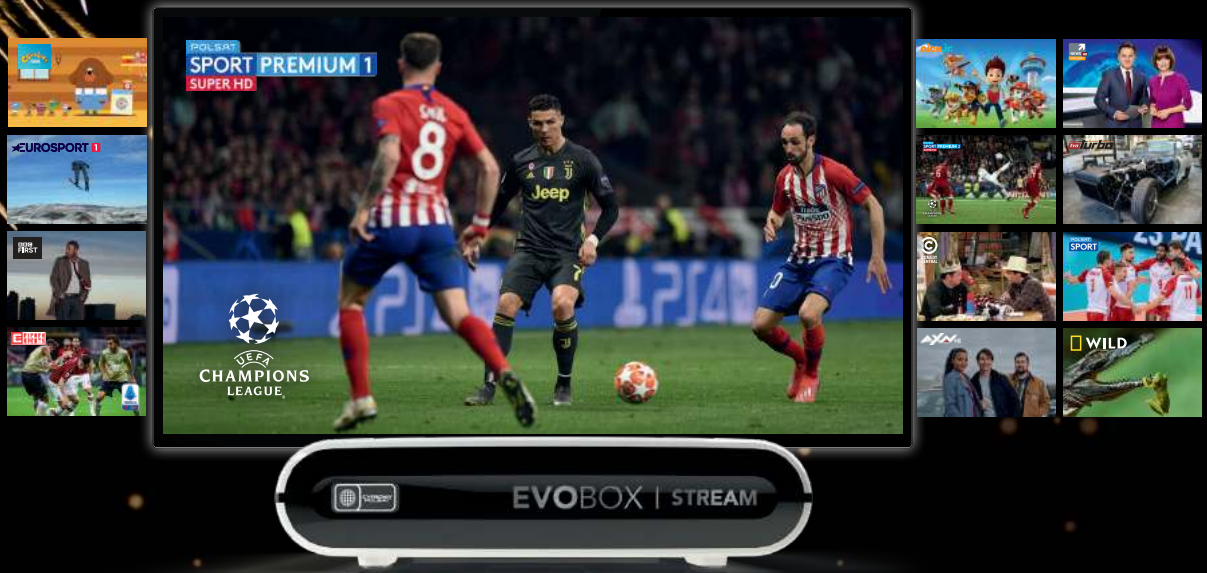

OTT

Na start ponad 100 kanałów 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Włączaj pakiety, kiedy chcesz, i płać tylko za te programy, które wybrałeś
Oglądaj wybrane programy nawet do 7 dni wstecz

Usługa wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s na jeden dekoder. Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów przy umowach pisemnych z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety i usługi. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty 1 zł za aktywację dekodera oraz opłat za dostęp do internetu. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej", dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.
Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. Fot. Getty Images. „Carter 2" © 2019 Sony Pictures Television Inc. Wszystkie prawa zastrzeżone.